

**GAYLE WILSON**

## PROLOG

Po plecach przeszły mu ciarki, bo choć wiedział, że będzie źle, rzeczywistość przerosła jego najgorsze obawy.

- A to skurczybyk... - W głosie policjanta Samuela pobrzmiewał swoisty szacunek.

Jared Donovan odwrócił wzrok od dużej kostki wybuchowego plastiku, która była ukryta nad windą, i spojrzał na swego towarzysza. Na skroniach policjanta widać było krople potu, twarz miał jak z wosku.

- Potrzebuję pomocy - powiedział Jared.

- Co ze sprzętem? - zapytał policjant. Na dole budynku zostawili robota, pancerny pojemnik i stroje ochronne.

Jared znów podniósł oczy ku ładunkowi. Wystarczyło kilkanaście dekagramów semtexu, by zakończyć lot Pan Am nad Lockerbie, a ten był wielkości dwóch regiel Szyb windy, w którym się znajdowali, biegł przez sam środek rządowego budynku. Nawet Jared nie bardzo wiedział, jakich zniszczeń dokonałaby eksplozja, a przecież w tej dziedzinie miał ogromne doświadczenie. Wolałby go nie mieć. W jednym z wybuchów zginął Jeff Matthews.

!mten ładunek nawet w przybliżeniu nie był tak duży, jak ten, ale sprawca zastawił pułapkę. Gdy tylko Jeff odsunął nieco szufladę, natychmiast wszystko wy-

Tytuł oryginału: Each Precious Hour Pierwsze wydanie: Harlequin Intrigue,

Redaktor serii: Grażyna Ordąga

Opracowanie redakcyjne: Władysław Ordąga

Korekta: Janina Szrajer Ewa Popławska

© by Mona Gay Thomas

© for the Polish edition by Arlekin - Wydawnictwo Harlequin

Enterprises sp. z o.o. Warszawa

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych czy umarłych - jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin i znak Harlequin Intryga i Miłość są zastrzeżone.

Skład i łamanie: Studio Q

Printed in Spain by Litografia Roses, Barcelona

ISBN ---X

Indeks

INTRYGA-

Po prostu wiedział, że nie wolno mu popełnić błędu, bo pierwszy z nich byłby zarazem ostatnim. Prześledził szybko druty prowadzące z baterii - jeden do ładunku i jeden do zegara. Prosty układ. Chyba... zbyt prosty. Przyjrzał się plastikowi, na którym widoczne były ślady ugniatania. Poczł jeszcze silniejsze ciarki.

Błyskawicznie przeanalizował wszystkie możliwości. Był prawie pewien, że kryła się tu jakaś pułapka. Przełącznik rtęciowy albo czujnik wysokości?

Delikatnie położył palce na jednym z przewodów wychodzących z baterii. Zbyt proste, pomyślał znowu, zbyt łatwe.

Szybko przeciął drut, oddzielając baterię od plastiku. Serce waliło mu w przyspieszonym rytmie. Na razie nic się nie stało.

Znalazł drugi przewód, który prowadził do zegara. Przeciął go pewną ręką. Czuł pulsowanie krwi w skroniach.

Wstrzymując oddech, uważnie przyjrzał się staromodnemu budzikowi.

- Wyżej - zwrócił się do Samuela.

Musiał zajrzeć za ładunek, bo sądząc po kształcie, było za nim coś jeszcze. Spojrzał na wskazówki zegara. Brakowało dziesięciu sekund.

Powoli i z wielkim wysiłkiem policjant dźwignął Ja-reda o dodatkowe piętnaście centymetrów. Wiedział, że Samuels nie utrzyma go długo. Wyciągnął szyję, zajrzał oza plastik i zobaczył jeszcze jeden przewód. Nie miał D°jcia, dokąd prowadził, ale musiał działać natychmiast, bo na nic więcej nie miał już czasu.

Ostrożnie przeniósł szczypcę nad bombą, delikatnie

—

leciało w powietrze. Miał na sobie najnowocześniejszy pancerz, lecz i to nie pomogło.

- Muszę się temu przyjrzeć - powiedział Jared.

- W porządku - chrapliwie mruknął Samuels. Był na granicy wytrzymałości nerwowej. Jared nie miał mu tego za złe, jako że on także był głęboko poruszony. Ale cóż, sam wybrał tę pracę i nie zamierzał pozwalać sobie na najmniejszą choćby chwilę słabości.

Policjant złączył dłonie w strzemię, dzięki czemu Jared mógł wspiąć się do góry, by spojrzeć śmierci w oczy. Nie robił tego po raz pierwszy, i miał nadzieję, że nie ostatni.

Teraz mógł dokładnie obejrzyć mordercze dzieło. Przełącznik czasowy, baterie i plastik. Budzik był nastawiony na dziesiątą, do której, według wskazówki, brakowało niespełna trzydziestu sekund.

- Długo jeszcze? - zapytał policjant ochrypłym szeptem.

- Niezbyt - spokojnie odpowiedział Jared.

Jego głos brzmiał zaskakująco spokojnie. Myślał tylko o urządzeniu, które miał przed sobą. Nawet tykanie zegara jakby ucichło.

Był zdany jedynie na siebie, nie miał bowiem czasu, by wezwać kogoś na pomoc lub sprowadzić sprzęt. Jak za dawnych czasów: jeden niczym nie osłonięty człowiek - i bomba.

Ręce policjanta zaczęły lekko drżeć, nie wiadomo, ze zmęczenia, czy też z poczucia zbliżającej się śmierci, lecz Jared zdawał się być absolutnie spokojny, jakby nie miały do niego dostępu żadne ludzkie emocje.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Myślę, że odpowiedzi senatora zadowolili wszyst

kich. - Robin McCord pewnym głosem mówiła do mikrofonów wyciągniętych w jej stronę. - Wypadek w Wietnamie był straszny, ale James McCord postąpił tak, jak zwykle to czynić zawsze, to znaczy wybrał najwłaściwsze rozwiązanie w trudnej sytuacji. Trudnej zarówno dla niego, jak i dla ludzi, którym uratował życie.

- Nadal więc uważacie, że senator może uzyskać nominację, mimo jego ostatniego... wyznania? - spytał Hugh Collins.

Collins reprezentował jedną z największych gazet i w przeszłości pisał o jej stryju korzystnie. Dzięki temu pytaniu Robin mogła przemycić dobre wieści, jakie nadeszły tego popołudnia.

Według ostatnich sondaży społeczeństwo zaakceptowało wyjaśnienie senatora, co zamyka sprawę - powiedziała. - Myślę więc, że czas już przejść do innych, dużo ważniejszych dla Ameryki tematów.

Robin uśmiechnęła się przyjaźnie. Należało to do jej obowiązków, z którymi coraz lepiej sobie radziła. Zaraz po ukończeniu college'u, jako wolontariuszka została asystentką swego stryja, a teraz, po dziesięciu latach, prowadziła waszyngtońskie biuro senatora z Teksasu.

wsunął dolne ostrze pod drut i przeciął go. Nie dochodziły do niego żadne dźwięki, tylko szum krwi i tykanie zegara, którego wskazówka zbliżała się do godziny dziesiątej.

Nagle budzik zadzwonił, wypełniając zamkniętą przestrzeń windy drażniącym hałasem. Samuels gwałtownie cofnął dłonie i Jared upadł na marmurową podłogę.

Potrzebował nieskończenie długiej sekundy, by zrozumieć, że żyje. Głęboko odetchnął. Budzik zadzwonił, bo wskazówka doszła do odpowiedniej godziny, ale detonacja nie nastąpiła, ponieważ bomba została rozbrojona.

- Nie ostrzegłeś mnie, że zadzwoni - warknął Samuels. Kiedy rozległ się dzwonek, policjant runął na podłogę. Jego twarz była spocona i szara jak popiół. - Powinieneś to zrobić. - W jego głosie strach i gniew walczyły o prymat.

- Nie pomyślałem o tym - powiedział Jared. Zataił, że nie spodziewał się usłyszeć dźwięku budzika, był bowiem pewien, iż fala uderzeniowa wybuchu najpierw rozszarpie ich obu, a potem zniszczy cały budynek.

- Przykro mi - usprawiedliwił się szczerze. Samuels wykazał się wielką odwagą, zostając z nim, i narażanie go na dodatkowy stres było niepotrzebne. Jared spojrzał na paczkę wiszącą nad nimi. - Powiedz im, by przysłali tutaj ludzi z pancernym pojemnikiem na ładunek.

Zerknął na policjanta, który spoglądał na niego jak na raroga. Może ma rację, pomyślał.

i

- Myślę, że nie uda się nam zadowolić wszystkich  
- rzuciła Robin do Carltona, który pracował dla jednej

z sieci telewizji kablowej.

Zerknęła na malowniczą grupę, jak zwykle przebraną w stroje z czasów biblijnych. Mimo chłodu nawiedzeni prorocy na bosych stopach mieli tylko sandały, co niewątpliwie groziło przeziębieniem. Ponieważ jednak głosili rychły koniec świata, najpewniej nie przejmowali się problemami zdrowotnymi, gdy trzeba było ratować duszę.

- A nawet gdyby była taka możliwość, nie skorzy stalibyśmy z niej - dokończyła cicho, by nikt z protestujących przeciwko zbliżającemu się przemówieniu McCorda jej nie usłyszał.

Robin uśmiechnęła się do kontestujących, by złagodzić napięcie, które zawsze się pojawiało, gdy wspomniano o niedawno ujawnionym incydencie z Wietnamu. Nauczyła się radzić sobie z tym, ale podobnie jak inni ludzie, była wstrząśnięta, kiedy przed dwoma dniami senator wyznał, co wydarzyło się podczas katastrofalnej misji.

McCord, w tamtych czasach młody porucznik, zastrzelił\* swego dowódcę, który podczas misji za liniami wroga zaczął wydawać bezsensowne rozkazy. Uniemożliwiały one osiągnięcie celu ekspedycji, a co gorsza, niepotrzebnie wystawiały na śmierć żołnierzy. Gdy podwładni zaczęli się buntować, kapitan postanowił zabić jednego z nich, lecz McCord był szybszy.

Robili, po przemyśleniu całej sprawy, doszła do

iosku, że jej stryj postąpił właściwie. W skrajnej sytuacji nie uciekł od odpowiedzialności i podjął trudną



Whitt Emory, szef kampanii wyborczej McCorda, zdecydował, że Robin zostanie rzeczniczką prasową. Ponieważ szczerze wierzyła w każde słowo, jakie wypowiadała o Jamesie Marshallu McCordzie, a przy tym uważała, że jest on najlepszym kandydatem na prezydenta Stanów Zjednoczonych, nadawała się do tej roli znakomicie i świetnie się z niej wywiązywała.

Whitt, ku zakłopotaniu Robin, proponując jej tę funkcję, powiedział:

- W naszym zespole jesteś najatrakcyjniejszą z kobiet. Przyda się nam długonoga blondynka, przekazująca miłym teksaskim akcentem informacje, -którymi zamierzamy zalać eter, zanim jeszcze senator oficjalnie zgłosi swoją kandydaturę.

Od tego czasu bratanica McCorda, tak jak działo się to dzisiaj, co i rusz oblegana była przez kamery.

- Wygląda na to, że jednak nie wszyscy zaakceptowali wersję senatora - powiedział Ted Carlton, spoglądając do tyłu.

Przed olbrzymim hotelem na Manhattanie, gdzie mniej więcej za tydzień senator miał wygłosić swoje „milenijne przemówienie”, paradowały pikiety. Im bliżej końca wieku, pomyślała Robin, tym więcej czubków wypełza na światło dzienne.

Oni się jednak nie liczyli. Ważne było to, że wśród przybyłych na miting byli zarówno znani już Robin zwolennicy McCorda, jak i spora grupka nowych osób, w oczywisty sposób życzliwie nastawionych do senatora. Od kiedy kampania nabrała rozmachu, była to stała tendencja.

Jej słowa, choć o niczym nie przesądzały, sugerowały jednak wyraźnie, że McCord, mimo hałasu wokół sprawy wietnamskiej, zamierza zgłosić swoją kandydaturę na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- Panie i panowie, proszę mi wybaczyć, że teraz was opuszczę - powiedziała Robin. - Jest zimno, a ktoś mi powiedział, że udało mu się zarezerwować dla mnie miły i ciepły pokoi Sami rozumiecie, że jak najprędzej chciałabym sprawdzić tę sensacyjną wiadomość.

Dziennikarze znowu wybuchli śmiechem, wiedzieli bowiem, że o tej porze niemożliwe było zdobycie pokoju w hotelu na Times Square. Rezerwowano je z rocznym wyprzedzeniem, ponieważ oczekiwano tłumów gości, pragnących wziąć udział w uroczystościach zakończenia roku. Była nawet nowa kryształowa kula, która miała opaść o północy.

Oczywiście James McCord, nim jeszcze ostatecznie zdecydował się na wystawienie swojej kandydatury, z odpowiednim wyprzedzeniem zarezerwował pokoje, i nawet salę balową na szczycie hotelu. Na wypadek gdyby wstępna kampania zakończyła się obiecującym Hatem, chciał mieć wszystko przygotowane do wygłoszenia deklaracji w wigilię Nowego Roku.

? Wspaniale jest znowu być tutaj. Dziękuję za powitanie! - Robin szeroko zamachała ręką.

Ruszyła ku szklanym drzwiom. Przyjemnie było

leżąc się w ciepłym i jasnym holu hotelowym, ale «ea zaczęła rozmawiać z parą zwolenników McCorbił ię-'e^ nieco zbyt °r^c- stało się tak dlatego, że nadal miała na sobie

decyzję, by ratować życie żołnierzy. Zrobił to samodzielnie i we własnym imieniu, jak na człowieka honoru przystało. Teraz należało o tym przekonać media, a w konsekwencji wyborców. Dzisiejszy wieczór stanowił kolejną ku temu okazję.

- Czy są jeszcze jakieś pytania? - spytała, rozglądając się po tłumie dziennikarzy, których już знаła prawie tak dobrze, jak członków nielicznego jeszcze sztabu wyborczego.

- Kiedy przybędzie senator? - spytał ktoś.

- Senator McCord zjawi się tu kilka dni po Bożym Narodzeniu.

- Czy jest teraz w Teksasie?

- Wraz z najbliższymi spędza święta w Altamirze - wyjaśniła Robin i spojrzała na coraz obficiej padający śnieg. - Żałuję, że mnie tam nie ma - dodała spontanicznie, wspomniawszy rodzinne uroczystości, w jakich uczestniczyła na olbrzymim ranczu McCorda.

Gdy usłyszała śmiech, zrozumiała, że popełniła gafę, by więc ułagodzić nowojorczyków, którzy są fanatycznie zakochani w swoim mieście, szybko powiedziała:

- Wówczas jednak nie mogłabym przeżyć tu świąt, które w Nowym Jorku są czymś tak bardzo szczegó

nym. Bardzo się cieszę, że znów jestem w tym cudownym mieście.

- A potem senator pojedzie do Iowa i New Hampshire, gdzie odbędą się pierwsze prawyborcy - podpowiedział któryś z dziennikarzy.

- Może dopisze nam szczęście i zaświeci dla nas słońce - odpowiedziała.

-

nie, które nawiedzały ją co pewien czas i sprawiały, że dni wydawały się nie mieć końca.

Musiała zastanowić się, czy nadal powinna uczestniczyć w kampanii McCorda, natomiast o innej sprawie, przynajmniej do sylwestrowego przemówienia senatora, postanowiła na razie nie myśleć.

- Dziękuję - powiedziała, wciąż onieśmielona swoją eksponowaną pozycją w kampanii.

- Lubią cię, a to połowa wygranej. Dodatkowe punkty zbierasz swoim podziwem dla senatora.

- Jest dla mnie jak ojciec - powiedziała.

Mimo że minęło tyle czasu od śmierci jej taty, takie stwierdzenie, choć całkowicie zgodne z prawdą, wciąż niełatwo przechodziło jej przez gardło. - Teraz masz okazję mu się odwdzięczyć. Pochlebiała jej wiara Whitta, że może pomóc swojemu stryjowi, ale przez to wszystko stawało się jeszcze trudniejsze. Miała wielki dług wdzięczności wobec Jima Torda i bólem napawała ją myśl, że wycofując się z kampanii, srodze by go zawiodła. A nie była to jedyna trudna decyzja, jaką w najbliższym czasie musiała podjąć. Inna

głową Whittowi i sięgnęła po kopertę, którą Mozył przed nią recepcjonista. W środku był klucz do •telowego pokoju i dwie wiadomości. Gdy je przeczytała, jej ręce zadrżały.

\*c od Jareda. Tak jak się tego spodziewała, a jed-

\*-.. No cóż, nie wiedziała nawet, czy był w mieście.

»e kontaktowali się od czasu jej ostatniego pobytu

WN owym Jorku. Zadzwoiła wtedy do niego, co okazało się ogromnym błędem. Mimo to...

plaszcz, lecz przyczyna mogła być inna. Robin była osobą zahartowaną, a jednak ostatnio łatwo ulegała dziwnym słabościom. Nadmiernie reagowała na zbyt zadymioną atmosferę lub nazbyt wysoką temperaturę co owocowało złym samopoczuciem.

Mogło to być wynikiem przemęczenia, jako że harmonogram zajęć miała wypełniony po brzegi. Sypiała mniej niż zwykle, a po przebudzeniu nie miała czasu, by choć kwadrans słodko poleniuchować w łóżku... lub też przeczekać w spokoju poranną słabość. To dopiero początek kampanii, a ona nie miała nawet czasu, by pomyśleć o swoich prywatnych marzeniach... mimo że znów była w Nowym Jorku. Gdzie przecież mieszkał Jared.

Obarczona licznymi obowiązkami, nie zamierzała

tym myśleć. Przynajmniej do czasu...

- Dobrze się czujesz?

Obok niej stał zatroskany Whitt Emory. Spostrzegła, że w zamyśleniu, w nie rozpoznanym przez innych gości przyszłej matki, złożyła swe ręce na łonie.

- Doskonale - odpowiedziała automatycznie. - Trochę tu za gorąco, szczególnie po tym, jak musiałam podczas zamieci odpowiadać na pytania.

- Trudno to nazwać zamiecią, przynajmniej jak na Nowy Jork. A poza tym, zrobiłaś dobrą robotę - powiedział Whitt. Wziął za dobrą monetę wyjaśnienia Robin zamierzał powrócić do jedyne go tematu, który naprawdę go interesował, czyli do kampanii McCorda.

Dobrze, że mi uwierzył, pomyślała. Nikomu nie powiedziała o swojej ciąży, ukrywała mdłości i zmęczenie-

. Od tej chwili wszystkie będą takie - powiedział ledwie skrywaną radością.

No cóż pomyślała, stryj uważał się za szczęściarza, gdy udało mu się pozyskać Whitta Emory'ego. Był tytanem pracy, a przy tym doskonale potrafił zdobywać fundusze. Równie ważne było to, że od dawna zajmował się polityką, oczywiście za kulisami.

- Wiem - powiedziała. - Nie martw się, rano będę w dobrej formie - zapewniła go.

- Liczę na ciebie.

Znów ją chyba ostrzegał... a może jest przewrażliwiona z powodu zmęczenia i lekkiej niedyspozycji? Przecież Whitt powiedział jej to, co zwykle się mówi w takich sytuacjach. Że po prostu na nią liczy.

A na niej można było polegać. Należała do osób cichych, pracowitych, solidnych i bystrych. Dotąd kryła się w cieniu,

co jej bardzo odpowiadało, i dlatego rodzina była zaskoczona, gdy Whitt powierzył jej tak bardzo eksponowaną funkcję. Oczywiście dobrze wiedział, co bi. Robin wierzyła w stryja i w to, co chciał zrobić dla Craju, więc z radością podjęła się zadania, by natchnąć ryców swoim zaufaniem. Za dobro, jakie od niego rzymata, była Jimowi McCordowi winna dużo więcej. Nie zawiodę cię - obiecała. Ani stryja, dodała w duchu.

Nie dziś wieczór, pomyślała. Tylko nie dzisiaj. Teraz 'owała rozgrzewającej kąpieli i jak najdłuższego ed Jutrzejszym spotkaniem. Rano na pewno że

^ystko będzie wyglądać znacznie lepiej.

ku dnia być może poradzi sobie z faktem, że

- Nic ważnego? - spytał Whitt.

- To co zawsze. Propozycja wywiadu z senatorem i prośba o wygłoszenie przemówienia na forum „Synów Samsona”. Kimkolwiek oni są.

- Sprawdź to - powiedział Whitt. - Zobacz, ile za nimi stoi głosów i w jakich okręgach.

Przytaknęła. Była naprawdę wyczerpana. To był długi dzień. Lot samolotem, droga z lotniska do hotelu, konferencja prasowa.

Tak dawno go nie widziałam, pomyślała nagle.

Trzy miesiące, trzy tygodnie i cztery dni, jeśli chciałaby być dokładna. Ale kto by tam liczył?

- Zadzwoń rano, zjemy śniadanie i zastanowimy

się nad planami - powiedział Whitt.

- Dobry pomysł - zgodziła się.

Przerzuciła na drugie ramię pasek ciężkiej od papierów torebki. Bolał ją krzyż, piekły oczy. W samolocie przeczytała większość uwag Whitta, dotyczących przemówienia senatora. Organizacja tego wydarzenia była głównym celem jej wizyty w Nowym Jorku. Tak więc rano czekają długa i wyczerpująca dyskusja.

Sama zgłosiła się do tego zadania, bała się bowiem świętować Boże Narodzenie w rodzinnym gronie. Mogłaby nie opanować pokusy i zwierzyć się bliskiej osobie, na przykład kuzynce Levi lub stryjowi Jimowi.

- O siódmej - powiedział Whitt. - Prześpij się, mar" nie wyglądasz. - Martwił się jej kondycją, ale jedno cześnie jakby ostrzegał, że teraz nie pora na żadne sła bości.

- To był długi dzień.

-

skupiony, o pewnej ręce i niezawodnej, błyskotliwej intuicji. No i dopisywało mu szczęście. Dlatego mógł ratować ludzkie życie. t

Do diabła, może zresztą nie ow strach, lecz świąteczna iluminacja ulic stała się przyczyną jego udręki? Weseli Mikołajowie z dzwoneczkami? Rozbrzmiewające wokół kolędy?

W ubiegłym tygodniu zrobił zakupy i wysłał paczki do rodziny w Connecticut. Wiedział, że gdyby nie obdarował najbliższych, w tym siostrzenic i siostrzeńców, matka





podział na niego szczególnie przygnębiająco. Nic na to nie mógł poradzić, jako że od dwóch tygodni trapiła go depresja.

Od czasu incydentu w budynku rządowym. Nie ma sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Jego umysł i ciało po raz kolejny zdały egzamin, ale Jared podczas akcji był śmiertelnie przerażony i teraz musi to zaakceptować, bo w jego zawodzie ignorowanie strachu niesie ze sobą śmiertelne niebezpieczeństwo.

- Spójrz lękom prosto w oczy i zostaw je za sobą - mruknął ponuro.

Do tej pory zawsze mu się to udawało. Za każdym razem, gdy przyszło mu rozbrajać niebezpieczny ładunek, po pełnej napięcia akcji szybko dochodził do siebie. Stawiał czoło strachowi i zapominał o nim.

Jedynym razem było inaczej, bo do tej pory pokonał panicznego lęku, jaki poczuł w budynku rządowym. Wiedział, że musi to zrobić, w innym wypadku nie będzie mógł nadal wykonywać swego zawodu.

A był w nim naprawdę dobry. Ostrożny, opanowany'

-Bjsod AJBJSOZ PIUIUB^ oiiusraiz ara ais om nSBZ o: po i  
ipizpsiMod g]aos ?n(-O^ZSM s?ppj oq 'XQZn fsDiBi o^q  
aijM OMOJS oupaf IUB JBUKJJ uaj BU O I(J 'psoiiui  
BUZZjqzaq qoi BOBZOB{ i|n

iqIS Op OD 'Oips^ZSM OJ UITOMS IjnOMZOd  
ZBJ ZDZSf BIUBqDO( DOU OJ B|Ca

KMOUIZOJ BU DOU B{Xq IU Ol BSMinjBJ/J B^f |  
BDfo IDJIUIS O IUB qDBuXzDjBZ qDXuBMIZ O n  
-SIUUIOdSM IN -ZJJTAVOd /V\ '?- '-

iqaid k

-IUIBZ IU Z 'Auflo>[ ZBJ od nUI BJBIZpaiMOd U BUQ

BiuBjszoj qoi BuXzaXzid

tS y(jBJS JCJ 'TUIBpOMOd pBU ]S I^BIMBUBJSBZ U 'nv -

pBSZOJ O ipiUUIodBZ 'qDBSUBUMUO{ O ipi^UI ^ O{

; i^q qosods jsoadM

tU XqOS §ZDI^

PTISJ>[O IS Bp IU

•uiaraarapds i uisniBpBzod ui/(uso {iui i\ -opoi;dsi

jsoadM ADOU foj is ipizpiM sra o§n{Q nro -zsarai UIXJ M

IUSBJM uiqoy z §is jBqooii ZBJ rajBjso

JI ]S pjBJjod ara jpupaf ZBJ

USJq IUJIIUZtU I

ozpjBq Aka 'AjizpaiMBu oS SJOJJI 'AZI

JimS AV yiOlZtA yĆDBZpiMTU JublM I IUpO§

J ----- feufojS

- Według ostatnich sondaży społeczeństwo akceptowało wyjaśnienie senatora, co zamyka spr ^ Myślę więc, że czas już przejść do innych, dużo w^ niejszych dla Ameryki tematów - mówiła z ekrai rzeczniczka prasowa Jamesa McCorda.

„Czas już przejść do...”. To był refren, który Jared powtarzał niemal od roku, to znaczy od śmierci Jeffa i od chwili kiedy Robin go opuściła. Czas już przyznać, że coś się skończyło, pogodzić się z faktami i zacząć żyć inaczej. Bez Robin McCord.

Tylko jak to zrobić? Niechciane wspomnienia znów zaatakowały go z potężną mocą. Nie potrafił się im przeciwstawić. Poczł dojmującą tęsknotę i bolesne poczucie straty.

Na ekranie usta Robin poruszały się, lecz on nie rozumiał słów. Kiedyś ta kobieta należała do niego, a on do niej. Byli ze sobą tak blisko, jak tylko jest to możliwe,, przeżywali cudowne upojenia miłosne, planowali wspólną przyszłość...

Gdy teraz Robin uśmiechała się z ekranu, znów poczuł dziwną błogość w sercu. I rozpaczliwą gorycz.

Rzeczniczka senatora McCorda znikła za szklanymi drzwiami hotelu.

Tak jak znikła z jego życia.

I nagle, po prawie czterech miesiącach, znów pojawiła. Senator stworzył komitet, który miał wydawać jego szansę na prezydenturę oraz zbadać fli wości pozyskiwania funduszy. W tamtym czasie działała w drugiej unii, jej zadaniem było dyski zbieranie potrzebnych informacji.

—

## ROZDZIAŁ DRUGI

- J ujrzałem: oto kuń trupioblady, a imię siedzącego na nim Śmierć" .

Głęboki głos wielebnego Larry'ego Avamore'a, który stał przy drugiej przecznicy, przecinał chłodne powietrze jak jeden z owych mieczy, które zawsze pojawiały się w jego kazaniach. Jednak tego ranka, mimo barwnej postaci pastora, szczęśliwie nie przybył ani jeden dziennikarz.

Robin wiedziała już, że Whitt starannie przygotował

tę „zaimprovizowaną” konferencję prasową, którą miała poprowadzić wczorajszego wieczora. Służyła ona u większego rozgłosu wietnamskiej historii.

Mogłaby mieć mu za złe, że jej nie uprzedził i ledwie hała z lotniska, z marszu musiała stawić czoło ?zom, generalnie jednak zgadzała się z Whittrzeba wykorzystywać każdą okazję, by przekapublicznej wersji senatora, dotyczącą ponureydydentu z przeszłości. Do tej pory żaden z potencykonkurentów McCorda nie wykorzystałmy sposób wietnamskiej tragedii, by zdyskredy-

«y z Apokalipsy św. Jana pochodzą z Biblii Tysiąclecia,  
\*"»\*\*. Poznań - Warszaw. (przyp. red.).

wionę i odrzucone, ostatnie ultimatum też nie przyjęte. Nie ma do czego wracać.

Kiedy Jared obudził się rano, Robin już wyszła. Od tego czasu nie rozmawiał z nią ani nie widział jej. Do chwili. Do dzisiejszego wieczora, kiedy jej obraz pojawił się na ekranie telewizora.

I natychmiast odżyły wspomnienia. Jared przycisnął pięści do czoła, jakby chciał odepchnąć te obrazy, zniszczyć je. Było to jednak niemożliwe.

Zgasił lampę, jedynie poświata ekranu telewizyjnego nieco rozjaśniała mrok. Zagłębiając się w myślach, Jared machinalnie obserwował pojawiające się i znikające postacie. Nagle sięgnął po telefon, przez długie sekundy trzymał rękę nad słuchawką. Wreszcie położył ją na kolanach.

To nie był czas na improwizację. Musiał sobie z wczasu ułożyć, co powie Robin, przemyśleć jej przypuszczalne reakcje i przygotować się na wszelkie ewentualności. Nie wiedział, jak się zachowa, gdy znów go

y• . Nic

Prawie cztery miesiące temu przyszła do niego, nie mówili. Teraz on wykona ruch. Może nawet p nien przyznać, że miała rację w pewnych sprawach. No cóż, być może tak było...

^

Początkowo nie rozumiała, jakim cudem znalazło się

Idzi, gdy nagle spostrzegła kamery telewizyjne,

l demonstracja przeciwko senatorowi

została więc starannie zainscenzowana

b Rbi e

ordowi została więc

zez dziennikarzy. Chodziło o to, by Robin przemasze-wała

wśród tłumu wykrzykującego antywojenne hasła, dzięki

czemu potencjalni wyborcy dowiedzą się, że senator z

Teksasu jest zapiekłym militarystą...

Tyle tylko, że nikt już nie panował nad sytuacją. Tłum falował, zapanował ogólny chaos. Gdyby ktoś potknął się i upadł na ziemię, z całą pewnością zostałby stratowany. Robin przeraziła się, że naprawdę może do tego dojść.

Nagle ktoś mocno ją pchnął. Zachwiała się i zaczepi-obcasem o krawężnik. By odzyskać równowagę,

chwyciła się czyjegoś ramienia. Natychmiast spostrzeg-  
należało ono do mężczyzny ubranego w polową  
kurtkę.

>dacz natychmiast zaczął na nią wrzeszczeć, jego i  
wykrzywiła furia. Krzyczał coś o McCordzie i Ar-mageddonie

owała wycofać się w kierunku hotelu, lecz nie  
tablic hlĆ S?przez demonstrantów, którzy trzymali  
islami. Górujący swym głosem nad tłumem  
re cały cytował Apokalipsę. Gdy pozostali  
Wle P\*\*\*\* dotąd stojący w karnym szeregu,  
^«bSt? \*"Jma {Biblia) "^^ ostatniej bitwy  
a- W znaczeniu ogólniejszym: krwawa wojna,

tować senatora z Teksasu, wszyscy obserwowali  
wiem wyniki sondaży opinii publicznej, które jak  
razie były mu przychylne. Należało za wszelką cen\*  
dopilnować, by tak działało się nadal. n?

Podjechała taksówka i odźwierny otworzył drzwi jednak gdy  
tylko Robin się w nich pojawiła, z tłumu kłębiącego się przed  
hotelem rozległy się okrzyki i gwizdy. Musiano ją rozpoznać  
dzięki wczorajszemu wystąpieniu w telewizji.

- Proszę poczekać - zadysponował odźwierny -  
muszę zorientować się w sytuacji.

- Powiedz McCordowi, że nic z tego nie będzie!

- wrzeszczał jeden z protestujących. - Nie pozwolimy,  
by nasz kraj znów pogrążył się w wojnie. Nie chcemy,  
by nasi chłopcy ginęli za wasze brudne interesy. Już raz

nas wysyłano w tym celu za ocean, ale powtórki na pewno nie będzie!

Mężczyzna, który wykrzyczał tę pogrózkę, stał za jednym z pracowników hotelu, starającym się <\*sa{® tłum. Ubrany był w wypłowiały mundur polowy, ^ rozpostarł w górze. Jego zaczerwienioną z em i mrozu twarz okalała potargana siwa broda.

- Dobrze wiemy, co knuje ten teksaski reWOIWowi wiec! - krzyknął w jej kierunku. - Powiedz senato że powstrzymamy jego apokalipsę. (ju

Odźwierny szepnął do niej, by ruszyła do P ^ szpalerem utworzonym przez ochroniarzy. ^oy J zrobiła trzy kroki do przodu, tłum zafalował i pękł. Robin, pochłonięta przez ciżbę, straciła czekającą na nią taksówkę.

wciągał ją w centrum malstromu , z którego prawie udało jej się uciec.

W tej walce liczyła się tylko siła i Robin zaczęła przegrywać. Tłum gęstniał i był coraz bardziej agresywny. Nawet krzyki Avamore'a ginęły w tym tumultcie. Wołanie o pomoc nie miało sensu.

Gwałtownie szarpnęła się i, o dziwo, wyrwała z uścisku brodacza. Nabrawszy nadziei, zaczęła przepychać się do przodu, gdy nagle spostrzegła, że na jej głowę zaraz opadnie gruby kij, od którego ktoś oderwał tablicę z hasłem. Cios jednak chybił, uderzenie dosięgło kogoś innego. Rozległ się przeraźliwy krzyk. Robin, by uchronić się przed kolejnym



atakiem, zasłoniła dłońmi głowę. Wiedziała, że nie ma żadnych szans. Czyżby nadchodziła śmierć?

Nagle jakaś potężna dłoń pochwyciła znów opadający na nią kij, a szerokie ramię otoczyło ją w pasie. Nieznany wybawiciel, wykorzystując swą siłę, zaczął gwałtownie przepychać się przez tłum, a ona, wciąż w jego objęciach, podążała wraz z nim.

Usłyszała wycie syren, dźwięk policyjnych gwizdków i bicie serca tajemniczego mężczyzny, do którego szeiokiej piersi była przytulona.

Błyskawicznie wyrwali się z tumultu i zatrzymali Przy ścianie hotelu. Nieznajomy zasłonił ją swoim ciałem przed tłumem. Wyciągnął ramiona ponad ich głowy, a dłonie oparł o kamienną fasadę budynku. Nie wi-  
Malstrom - prąd morski na Morzu Norweskim o gwałtownych wirach (przyp. red.).

zorientowali się, co się dzieje, ruszyli w kierunku hotelu, by również ich sfilmowały kamery. Mieli przecież swoje hasła do pokazania.

Robin otrzymała silny cios z tyłu i wpadła na jednego z proroków, przebranego w szaty sprzed dwóch tysięcy lat. Mężczyzna brutalnie odepchnął ją łokciem, a kiedy się odwrócił, na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie, a potem nienawiść.

Robin podniosła ręce, by złagodzić następny cios. Naprawdę zaczęła się bać. Tłoczący się wokół niej ludzie, którzy przed chwilą wyglądali jak niewinni dziwacy, przeobrazili się w

niebezpieczny, bezmyślny mot-łoch, zdolny do wszelkich okrucieństw.

Tłum znów zafalował i nawiedzony prorok gdzieś odpłynął. Robin szybko opuściła ręce, by chronić dziecko. Na razie było bezpieczne, gdyby jednak potknęła się i upadła... Na tę myśl ogarnęło ją przerażenie.

Musi się stąd jak najprędzej wydostać! Zaczęła gorączkowo przepychać się do przodu, niestety, znów znalazła się w środku ciżby, naciskana ze wszystkich stron. Od parujących oddechów zrobiło się duszno, czuła, że brakuje jej tlenu.

Nagle ujrzała przed sobą przerwę, a na jej końcu szklane drzwi hotelu. Chroniąc brzuch, zaczęła się przepychać w ich kierunku.

Zagrożenie przyszło z tyłu. Ktoś boleśnie chwycił ją za ramię. Nie miała szans, musiała się zatrzymać. Spojrzała przez ramię.

Brodacz. Tym razem nie wykrzykiwał wściekłych haseł, tylko nienawistnie patrząc na Robin, ponownie

Pewnie zaniepokoiły go jej łzy, ponieważ płakała tak rzadko.

Robin sądziła, że zużyła swój zapas łez po śmierci ojca, a potem, gdy zamieszkała u stryja, zauważyła, że mocno przeżywał, gdy ona lub Levi płakały. Pragnął, by jego dziewczynki były zawsze szczęśliwe.

- Nie - wyszeptała, a kolejna łza spłynęła po policzku. - Nic mi nie jest. To ty jesteś ranny.

Jared zapewne nawet nie czuł, kiedy go uderzono, zbyt bowiem podniecony był szaleńczą walką z tłumem. Pomacał

się za uchem, lekko wzruszył ramionami i znów przyłożył dłoń do kamiennej płyty nad głową Robin.

Trwali tak przez chwilę w milczeniu, wtuleni w siebie, tak bardzo bliscy... Boleśnie siebie spragnieni, zapomnieli o otaczającym ich świecie.

Lecz nie należeli już do siebie.

Jared odsunął się nieco i obejrzał za siebie, ona podążyła za jego wzrokiem. Po demonstrantach zostały tylko porzrzucone tablice i śmiecie.

- Dlaczego posłali właśnie ciebie? - spytała Robin.

Jared był członkiem miejskiej brygady pirotechnicznej i nie powinien być wykorzystywany podczas ulicznych zamieszek.

Spojrzał na nią z góry i leciutko zacisnął usta. Gdyby nie znała go tak dobrze, nie dostrzegłaby tego.

- Przyszedłem tu prywatnie, żeby się z tobą zobażyć - powiedział bez ogródek.

Jego oczy, poza zastygłym strachem i napięciem, były nieprzeniknione.

działała nic poza jego kurtką. Coś uderzyło o ścianę i Robin jeszcze mocniej przytuliła się do swego wybawcy.

Pachniał wilgotną wełną i zimowym powietrzem, a także, ledwie wyczuwalnie, wodą kolońską. Męski, dziwnie dodający otuchy zapach... i bardzo znajomy. Dlatego właśnie dodawał otuchy!

Podniosła głowę i ujrzała ciemny, gładko ogolony policzek oraz zarys szczęki. Znała tego mężczyznę. Był ranny, ze

skroni spływała mu strużka krwi, nie wyglądało to jednak zbyt groźnie.

Przymknęła oczy. Nie miała pojęcia, jak Jared ją znalazł, ale teraz liczyło się tylko to, że tego dokonał. Osłonił ją przed nienawistnym szaleństwem, ją i ich dziecko, o którym nawet nie wiedział. W jej oczach pojawiły się łzy.

Po chwili podniosła głowę, by spojrzeć na niego. Jego twarz, wciąż pełna gniewu i strachu, była jak wykuta z kamienia.

Nie bał się o siebie, bowiem Jared Donovan był najbardziej nieustraszonym człowiekiem, jakiego знаła. Na tym właśnie polegał problem. Z tego powodu wyrwała się z ramion, które teraz ją otaczały.

- Wszystko w porządku - pocieszył ją.

Skinęła głową, lecz nie była w stanie wydusić słowa.

- Już po wszystkim - dodał.

Mógł to ocenić tylko na podstawie ciszy, która nagle zapanowała przed hotelem, bo cały czas patrzył jedynie na Robin.

- Nie jesteś ranna? - zapytał cichym i zatroskanym głosem.

szansy na rozmowę „o nas”. A była ona bardzo potrzebna, bo Robin nosiła pod sercem ich dziecko.

- Mam pokój w tym hotelu - powiedziała.

Kiedy na nią patrzył, niemal widziała, jak wspomnienia przebiegają mu przed oczami. A może tylko jej się tak wydawało, ponieważ te same obrazy kłębiły się i w jej głowie.

Nagle, swoim zwyczajem, opanował się i znów jego twarz stała się nieprzenikniona. Był w tym zawsze dobry, pomyślała.

- No, to chodźmy tam - powiedział.

Puścił ją przodem w kierunku szklanych drzwi.

Zauważył, że pokojówki nie miały czasu na posprzątanie pokoju. Łóżko, choć nie posłane, nie wywoływało wrażenia bałaganu w pokoju. Nie walały się też żadne ubrania, gazety czy książki. Wszystko było na swoim miejscu, pod kontrolą i uporządkowane. O takim życiu marzyła Robin.

Dobrze rozumiał, dlaczego tak usilnie dążyła do ładu, nienawidziła improwizacji i chaosu. Jako dziecko przeżyła kataklizm, czyli śmierć rodziców. Runął wtedy cały jej świat. A teraz za wszelką cenę pragnie zabezpieczyć się przed powtórnią katastrofą. Wszystko ma być na swoim miejscu, zrozumiałe i stabilne.

To była największa przeszkoda między nimi.

Najpierw na raka piersi zmarła jej matka, a w rok później zginął ojciec. Robin miała wtedy dziesięć lat.

Wszystko, co kochała, uleciało w powietrze, przepadło. Mała dziewczynka mogła tylko łykać łzy rozpa-

- W jakiej sprawie? - zapytała. Natychmiast pomyślała o dziecku. Czyżby dowiedział się o nim? To było przecież niemożliwe, musiałby czytać w jej myślach.

- W naszej - powiedział.

Serce zaczęło jej łomotać. „W naszej”. Czyżby zmienił zdanie i był gotów porzucić tę straszną pracę? Czyżby wreszcie zrozumiał, że powinien zająć się własnym życiem?

Co było niemożliwe w sytuacji, gdy za każdym razem, kiedy jakiś szaleniec postanawiał coś wysadzić w powietrze, Jared narażał się na śmierć... Ceniła jego heroiczne wysiłki, dzięki którym uratował wiele istnień ludzkich, ale nie mogli stworzyć prawdziwej rodziny, gdy nie wiedziała, czy żegnając się rano przed wyjściem do pracy, nie widzi go po raz ostatni.

Mówiła mu to wiele razy, a on przekonywał ją, że inne żony dobrze sobie z tym radziły. Choćby jej matka. A po jej śmierci Robin, mała dziewczynka, córka policjanta. Tak, radziła sobie, nie czuła widma zagłady, gdy jej ojciec wychodził do pracy. Był wspaniałym, mocnym mężczyzną i jej ukochanym tatusiem, po śmierci mamy całą rodziną.

Aż któregoś dnia nie wrócił do domu. A ona wiedziała, że po raz drugi nie zniesie takiej straty. Dlatego, gdy dochodzili do tego punktu, ich dyskusje zamierały. Nie było już innych argumentów. Wreszcie Robin postawiła ultimatum, a Jared je odrzucił. Sprawa była skończona.

Teraz Jared powiedział, że chce mówić „o nas”, musiał więc wszystko jeszcze raz przemyśleć i wyciągnąć nowe wnioski. W innym wypadku nie byłoby żadnej

-

bławatkowych oczach. Łudząco podobnych do oczu Ja-mesa McCorda.

Robin była bardziej podobna do senatora niż jego rodzona córka i była mu niezwykle oddana. Czuła się jego dłużniczką,

ale przede wszystkim go kochała. Jared nigdy nie wątpił w szczerość uczuć Robin wobec stryja.

- Przyjrę się twojej ranie - powiedziała.

Dopiero gdy mu przypomniała o ranie, uświadomił sobie tępy ból głowy. Nawet nie poczuł uderzenia, był zbyt zaniepokojony o Robin.

- To nic - zlekceważył.

- Może trzeba będzie zszywać.

- Nie trzeba - powiedział z uśmiechem. - Nawet nie wiem, czym dostałem.

- Długim. Myślę, że ten cios był przeznaczony dla mnie.

- Co ich tak rozwścieczyło? - zapytał.

Robin potrząsnęła głową.

- Pewnie kamera. Wszyscy chcą, by pokazano ich w telewizji.

- I weszłaś w sam środek tłumu? - W jego pytaniu brzmiała niezamierzona krytyka. Po prostu nie rozumiał, dlaczego tam się znalazła.

- Byłam w środku - wyjaśniła. - Czekałam na ta ksówkę. Kiedy podjechała, zjawili się operatorzy i zaczęli filmować. Nie wiem, dlaczego tak bardzo mną się zainteresowali. Demonstranci, gdy tylko spostrzegli kamerę, dosłownie dostali amoku. Pewnie marzyli jedynie tym, by przez sekundę mignąć w popołudniowych wiadomościach...

-

czy, a potem, gdy zaczęła dorastać, wyciągnąć wnioski j z tragedii, jaką przeżyła.

Gdyby wiedziała, w jaki sposób Jared zarabia na życie, nigdy nie zaangażowałaby się uczuciowo w ten związek.

Brał udział w seminarium szkoleniowym pirotechników w Waszyngtonie i przypadkiem znalazł się na imprezie w Departamencie Stanu. Tam poznał Robin. Zaczęli ze sobą rozmawiać, wokół kłębili się ludzie, było gwarno.

Przesłyszała się, zrozumiała, że przyjechał na seminarium dotyczące komputerów.

W czasie tych dwóch tygodni widywali się każdego wieczora i nigdy nie rozmawiali o pracy. W ogóle rozmawiali niewiele. Zaczęli się kochać dokładnie w siódmym dniu znajomości.

Było cudownie i zupełnie inaczej, niż w dotychczasowych jej związkach. Ostatnio często zastanawiała się, jak doszło do tego, że nie dowiedziała się, czym Jared naprawdę się zajmuje. Czasami nawet nachodziła ją gorzka myśl, że byłoby lepiej dla nich obojga, gdyby poznała wówczas prawdę. Wtedy Robin natychmiast znikłaby z jego życia. Pozostałoby wspomnienie po miłej przygodzie miłosnej, lecz nie zdążyłaby narodzić się miłość.

- Przepraszam za bałagan - powiedziała.

- Nieważne - odparł.

Rozpięła płaszcz, zdjęła go i powiesiła w szafie. Starannie zawiesiła na wieszaku wełniany szal. Ciemna barwa płaszcza podkreślała jasną karnację skóry, a sweter o kolorze mchu odbijał się zielenią w jej niebieskich,



- W przeciwieństwie do innych czubków, o których nie można tego powiedzieć.

- Z tymi znam się całkiem dobrze - stwierdził. - Nie zapomnij mi dać znać, kiedy twoi szaleńcy zaczną wy sadzać w powietrze domy.

Szybko zrozumiał, że popełnił błąd. Mówił tak do Robin już wcześniej, i zawsze wywoływało to u niej fatalną reakcję. Niestety, mimo że obiecywał sobie dokładnie przemyśleć ich rozmowę, nie uczynił tego. Nie potrafił czekać, zbyt mocno pragnął ujrzeć kobietę, którą bezgranicznie kochał.

- Będiesz pierwszą osobą, do której zadzwonię - powiedziała gorzkim tonem, a w jej oczach pojawił się chłód.

Wpadamy w stare koleiny, pomyślał. Wszystko sprowadza się do tego, abym ustąpił i porzucił moją pracę... To niesprawiedliwe. Nigdy nie było. Pamiętał, jak jego ojciec zwykł go pytać, czochrając mu przy tym włosy, nawet kiedy Jared był już dorosły:

- Chłopcze, a kto ci powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

- Robin, kiedykolwiek wezwiesz mnie, przyjdę - zapewnił, starając się, by uwierzyła w jego szczerłość.

Przyjdzie. Tak jak przyszedł dziś rano. Ponieważ ją kochał i pragnął dać jej to wszystko, czego pragnęła...

Poza jednym. Poza sobą z jej marzeń. Bo takiego kogoś nie było. Istniał tylko jeden Jared Donovan, lecz jego Rb odtrąciła.

- Wiem o tym - powiedziała. Jej oczy złagodniały. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że choć się

- Przeciwnicy McCorda?

- Niektórzy na pewno tak - przyznała. - Chodzi przede wszystkim o jego poglądy dotyczące rozbudowy naszego nadwyreżonego systemu obrony. Ale więk szość z nich nie zna Jamesa McCorda, a tym bardziej jego programu. Wiedzą tylko tyle, że jest wymieniany jako potencjalny kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych.

- A oni nie chcą, by nim został.

Robin zastanowiła się przez chwilę.

- Whitt Emory, szef sztabu wyborczego Jima, wiąże ściśle jego kandydaturę z nowym tysiącleciem. Nawet planuje, by przemówienie na rozpoczęcie kampanii za częło się wraz z uderzeniem zegara o dwunastej w Sylwestra. Tutaj, na Times Square. Wydawało się, że jest to dobry pomysł, coś, co stryj Jim lubi, ale teraz... - Po trząsnęła głową, nie patrzyła już na jego twarz. - Teraz zaczynam się zastanawiać. Każdy wariat w Ameryce uważa, że stanie się coś złego, kiedy wskazówki zegara dojdą do dwunastej.

- I to cię niepokoi?

- Tak, bo stryj Jim łączony jest z tymi wszystkimi katastroficznymi przepowiedniami.

Jared spoważniał, lecz próbował zamaskować to uśmiechem.

- Ale tylko przez wariatów - powiedział.

- Sądząc po dzisiejszym poranku, to wystarczy.

- Chyba naprawdę nie przejmujesz się tymi czubka

mi sprzed hotelu? Robią dużo hałasu, ale tak naprawdę wydali mi się całkiem nieszkodliwi.

-

## ROZDZIAŁ TRZECI

W łazience czuć było zapach mydła, szamponu i perfum Robin. Jared wdychał tę kombinację niejednego ranka, po nocach, które wciąż prześladowały go siłą swoich wspomnień.

Stojąc w przejściu, zastanawiał się, czy Robin, tak jak on, również ulega magii pamięci i pragnie, by dzisiaj wydarzyło się to samo, co podczas ich ostatniego spotkania?

Rozum podpowiadał mu, że tamta noc była pomyłką. Po prostu znowu poddali się sile pożądania i zawirowali na karuzeli namiętności, choć powinni byli się tego wystrzegać. Jednak nie żałował tamtej nocy, choć później ze zdwojoną mocą cierpiał z powodu utraty Robin.

Tak też było dziś rano. Wystarczyło, że tylko ją dotknął, a natychmiast poczuł ogromne pożądanie. Nic się nie zmieniło, przynajmniej pod tym względem.

- Usiądź, będzie mi łatwiej przemyć ranę wodą - powiedziała.

Zatrzymał się w wejściu do łazienki, wdychając w płuca znajomą woń, a potem usiadł na opuszczonej pokrywie sedesu.

Odkręciła kran, zmoczyła ściereczkę, odwróciła się

' ' li I'I .

ii I li I ?ŚŚ

I I

\i

Ml. i

•

rozstali, to przecież kochali się nieprzemijającą miłością, która sprawia, że ludzie do późnej starości, nimi jedno z nich nie odejdzie na zawsze, wciąż z czułością trzymają się za ręce.

Szybko to zrozumieli, lecz potem Robin dowiedziała i się, czym naprawdę zajmuje się Jared. I nie potrafiła! tego zaakceptować.

- Pozwól, że zobaczę - powiedziała, wskazując na przeciętą skórę obok jego oka.

Pozwolił jej udawać doktora, chciał bowiem zyskać trochę czasu, żeby się zastanowić, jaki podać powód swojej wizyty. W ten sposób zyska pretekst, by pozostać tu trochę dłużej.

- Dobrze - zgodził się, udając, że się ociąga. Bez wiednie dotknął lepkiej od krwi rany i skrzywił się.

- Wygodniej będzie w łazience - zdecydowała Robin. Małe pomieszczenia mają swoje zalety, pomyślał.

Być może w łazience, gdy będą bliżej siebie, atmosfera nieco się... ociepli. Bo ten chłodny dystans był wprost nie do zniesienia.

- Mnie? Czy siebie?

- Nas.

Na dole powiedział, że właśnie dlatego chce się zobaczyć z Robin, nie był jednak pewien, czy ona gotowa jest do takiej rozmowy. I czy on sam jest gotów...

A może w końcu poradzi sobie z tym wszystkim i za jakiś czas znów z zapalem, bez psychicznych obciążeń, zacznie wykonywać swoją pracę? W takim razie, po co szuka u Robin pomocy? Po co zawraca jej głowę? Gdyby teraz wyznał jej wszystko, co naprawdę go nurtuje, postąpiłby uczciwie. Lecz nie potrafił. Jeszcze nie teraz.

- Nas już nie ma - powiedziała Robin.

- Lecz znów możemy być.

Przeklął swoją głupotę. Oczywiście powiedział prawdę, znów mogliby być razem, gdyby... No właśnie, gdyby Jared zrezygnował ze swojej pracy, która stanowiła sens jego życia, w jakiś sposób była nim samym. To takie proste, wystarczy zrezygnować z siebie, i po kłopotcie...

Robin znieruchomiała.

- Jak mam to rozumieć? - zapytała.

Sam nie wiedział, więc milczał. Sprowokował to pytanie, lecz nie potrafił na nie odpowiedzieć. Jak Robin ma to rozumieć? No właśnie, jak... Że wycofa się z brygady pirotechnicznej i zmieni zawód? Czy przyszedł tutaj, by właśnie to jej powiedzieć?

A tamte dzieci? Ewakuowano je z przedszkola, bo podejrzewano, że ktoś podłożył bombę. Stały po drugiej stronie ulicy, wystraszone, trzymając się za ręce.

do Jareda i przechyliła jego głowę, by lepiej przyjrzeć I się ranie.

- Nie jest źle - stwierdziła i wilgotną ściereczką zaczęła ścierać zakrzepłą krew. - Myślę, że nie będzie I śladu.

- A to pech - mruknął Jared i kątem oka zauważył, że Robin lekko się uśmiechnęła.

- Jasne, blizna dodałaby ci uroku - powiedziała nie mal kuszącym głosem, jakim zwracała się do niego, nim nastaly gorzkie dni. - Można by wymyślić jakąś gliniarską historyjkę o tym, jak na nią zapracowałeś. Oczywiście odpowiednio bohaterską.

- Na przykład o tym, jak wyciągnąłem z newralgicznego obszaru zamieszek kobietę, którą kocham?

Ręka trzymająca ściereczkę zawisała na kilka sekund nad jego brwią. Po dłuższym milczeniu Robin powiedziała:

- Taka wersja niezbyt nadaje się do poderwania młodej, miłej i wolnej panienci.

- Nie szukam młodej, miłej i wolnej panienci.

- A co robisz? - spytała Robin, znowu wracając do przemywania rany.

Dobre pytanie wymagało równie dobrej odpowiedzi, ale Jared jeszcze jej nie wymyślił. Choćby nawet takiej, która miałaby jakiś sens. Nie wykrętnej, ale prawdziwej, zawierającej w sobie to, co najważniejsze. Że podczas akcji w budynku rządowym bał się nie śmierci, lecz tego, że umrze, nim zdąży jeszcze raz ujrzeć Robin i wyznać jej swą miłość.

- Po prostu próbuję zrozumieć - powiedział.

Z korytarza rozległ się turkot wózka. Pokojówka, zbliżając się do pokoju, śpiewała coś po hiszpańsku.

Robin odwróciła głowę.

Jared zamknął oczy. Wiedział, że popsuł nastrój. Nie powinien tu przychodzić, nie mając przemyślanych wszystkich spraw. Jednak intuicja kazała mu pognać pod hotel, dzięki czemu Robin nie ucierpiała podczas zamieszek. Czyżby jego szósty zmysł dotyczył również jej?

Pokojówka zastukała do drzwi, przerywając ciszę.

Jared, nim wyszedł z łazienki, obejrzał w lustrze ranę. Rozcięcie było wystarczająco duże, by wywołać komentarze kolegów. Nie przejmował się tym, choć wolałby, aby chłopcy z jednostki nie domyślili się, że był pod hotelem podczas zamieszek. Jeśli jednak w prasowych relacjach z rozruchów ukaże się nazwisko Robin, zapewne prawda wyjdzie na jaw. Powszechnie sądzono, że ich związek należy do przeszłości, ale w takim przypadku znajomi zaczną spekulować...

No cóż, będzie to musiał jakoś przeżyć. Zresztą, co komu do jego prywatnych spraw, o ile nie przeszkadzają f-v w pracy. A przecież nie przeszkadzają. Jared Dono-van zawsze robił to, co do niego należało.

Nie mógł pozwolić sobie na żadne zaniechanie ani pomyłkę. Gdyby wtedy nie zaufał swojej intuicji, tamte dzieciaki już by nie żyły. On też, ale to jakby się nie Uczyło. Nie myślał o sobie, tylko o innych. Taki miał zawód. I to był jego problem.

Skinął głową pokojówce, która nie potrafiła ukryć zdumienia na widok jego rozoranej skroni.

Były o trzy przecznice za blisko od tej bryły semtexu. I Który jednak nie wybuchł.

Bo to Jared, a nie ktoś inny, rozbrajał ładunek. Jared Donovan, który jako jedyny z brygady posiadał szósty j zmysł i po prostu wyczuł, że jest jeszcze dodatkowy kabel. Posiadał dar, którego nie mieli inni. Dzięki temu dzieci ocalały. Nie tylko zresztą one.

Wszyscy w wydziale wiedzieli o nadzwyczajnej intuicji Donovana. Opowiadano o niej dowcipy, krążyły legendy.

Jared nie pysznił się swymi wyjątkowymi zdolnościami, lecz uważał je za otrzymany od losu dar, którym ma obowiązek dzielić się z innymi. Dar, który ratuje ludzkie życie.

Lecz Robin tego nie rozumiała.

- Nie wiem - powiedział cicho. - Naprawdę nie wiem, jak powinnaś to rozumieć. Brakowało mi Ciebie. To wszystko.

- Właśnie to chciałeś mi powiedzieć? Po to tu przyszedłeś? - W jej głosie nie słychać było żadnych emocji. Ani oskarżenia, ani gniewu, ani żalu. Po prostu nic.

- Przyszedłem tutaj, ponieważ... - Sam nie wiedział, co ma dalej mówić. Przecież wszystko już sobie tyle razy powiedzieli. - Ponieważ cię kocham - wyznał wreszcie szeptem.

Położył swoje dłonie na jej biodrach.

Robin nie odsunęła się od niego.



Pochylił głowę, by ustami dotknąć jej warg, a wtedy odwróciła głowę. Zdjął ręce z jej bioder. Cisza wibrowała w powietrzu.

\_ W tym roku zostaję w Nowym Jorku. - Nie wyjaśnił jej, dlaczego podjął taką decyzję. Prawda była taka, że nie chciał, by wypytywano go o Robin i jego pracę, gdy on sam nie znał odpowiedzi.

Widać było po jej oczach, że pragnęła dowiedzieć się wielu rzeczy, lecz milczała, podobnie jak on.

- Dziękuję za wyratowanie mnie z opresji - powiedziała wreszcie.

- Chciałbym cię jeszcze zobaczyć. - Nie powinien był tego mówić, ale nie mógł się powstrzymać.

- Po co? - spytała.

- Już ci to powiedziałem. - Bo ją kochał. Nie zamierzał znów tego powtarzać.

- To nie jest dobry pomysł - stwierdziła Robin. - Oboje o tym wiemy. Jared, przecież nic sienie zmieniło.

Te pozornie proste słowa były jak dynamit, kryło się w nich tak wiele. Odczuł dreszcz niepokoju, jakby dotykał tajemniczego ładunku. Najważniejszego sekretu ich związku.

Nic się nie zmieniło, to prawda. Lecz jeśli chodzi o niego...

~ Co zamierzasz robić podczas świąt Bożego Narodzenia? - spytał.

Zawahała się, nie miała więc żadnych planów.

- Jeszcze nie wiem - odparła w końcu.

- Spędźmy je razem.

Błagają? Być może. To zależy, jak na to spojrzeć.

I

- O co ci chodzi? - zapytała z bólem w oczach. - Przemysł to - nalegał. - Tylko o to proszę. Długo milczała, wreszcie skinęła głową.

z oo y - § OUUIM o <zoo oN

- ...tezy do przemówienia senatora na zjeździe weteranów z Wietnamu, Robin?

Otrząsnęła się z głębokiej zadumy.

- Pracuję nad tym - powiedziała, mając nadzieję, że Whitt zadowolony się tą lakoniczną odpowiedzią.

Nie była w stanie skupić się na pracy, i dobrze wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Oczywiście nie chodziło o zamieszki, które zresztą pokazano w wieczornych wiadomościach, ale o spotkanie z Jaredem.

„Kocham cię”. Jeżeli Jared to powiedział, musiał być naprawdę zdesperowany, ponieważ zawsze z największym trudem mówił o swoich uczuciach. Na ogół musiała domyślać się, co naprawdę chciał powiedzieć. Rozgryzała jego aluzje, analizowała język ciała, notowała w pamięci pytania, na które unikał odpowiedzi. Czytała z jego oczu.

Dziś rano nie musiała tego robić. Prosił ją, by poszła z nim na kolację oraz wspólnie spędziła Boże Narodzenie. Jego działania, choć dość niezręczne, były czytelne: szukał z nią

bliskości. Jego uczucia były oczywiste. Kochał ją. Czy jednak zamierzał wreszcie podjąć ową de-tyzję, o którą tyle razy go prosiła?

\* może tylko liczył, że znów mu ulegnie, jak tamtej nocy?  
~ Dopiero pracujesz? - powtórzył Whitt z niedowie-z^nieniem. - Przecież ustaliliśmy, że będzie to gotowe na asiaj. Mamy wiele do zrobienia przed Sylwestrem. Robin zignorowała krytykę, ^ie jestem pewna, czy to dobry czas. Na konferencję? - zapytał zaskoczony Whitt.

- Dobrze, zastanowię się - powiedziała, by zaraz do dać: - Mam umówione spotkanie i jestem już spóźniona. Naprawdę muszę iść.

- W porządku. Dziękuję za opiekę medyczną. Spojrzała na ranę.

- Słaby ze mnie doktor, nawet cię nie zabandażowałam. Czy chcesz...

Jared potrząsnął głową, a potem uśmiechnął się.

- Jak myślisz, uwierzą mi, gdy powiem, że skaleczyłem się przy goleniu?

- Raczej nie.

Znowu zapanowała niezręczna, przygniatająca cisza.

- Zadzwoń do ciebie - zaproponował wreszcie, prawie pewny, że Robin powie, by się nie kłopotał.

- Będę w różnych miejscach - powiedziała.

No cóż, stało się, pomyślał w rozpaczy. Ona jednak mówiła dalej głosem cichym i niepewnym:

- Zostaw wiadomość, jeśli nie będzie mnie w hotelu.

- Dobrze.

Odwrócił się i już miał przejść przez drzwi, lecz nagle, pod wpływem impulsu, pochylił się i pocałował J w czoło. By to szybki, niewinny, prawie braterski pocałunek, serdeczny, ale nic więcej.

Zaskoczyła go, gdy pochyliła się do przodu i oparte policzek o jego pierś. Jednak po sekundzie odstępowała o krok. I umknęła wzrokiem.

Teraz powinien już wyjść, wiedział o tym. I zrobił to. Usłyszał zamykające się za nim drzwi. Ciągle czuł znajomą, prowokującą woń perfum.

- Sprawa z Wietnamu nie zaszkodziła senatorowi - powiedział z naciskiem Paul Farley. - Wszystkie przeprowadzone sondaże dowodzą, że nie spadły przez to jego notowania zarówno jeśli chodzi o wiarygodność, jak i popularność.

- Jeszcze nikt nie próbował wykorzystać tej historii - zauważył Whitt. - Wezmą się za to. Przed końcem kampanii na pewno ktoś to zrobi, choćby przez złośliwość, ale może okazać się to skuteczne działanie.

- Większość uważa, że McCord, biorąc pod uwagę okoliczności, postąpił słusznie i odważnie. Zachował się jak prawdziwy przywódca.

Katie powiedziała to, co jako człowiek senatora powiedzieć powinna, lecz w jej głosie pobrzmiwała cieniutka sardoniczna nuta, co zaniepokoiło Robin. Sama uważała, że stryj postąpił słusznie w krytycznej sytuacji. By ratować

oddział przed zagładą, zabił dowódcę, który oszalał. Udowodnił, że potrafi podejmować trudne decyzje. Jednak Katie w głębi duszy nie akceptuje takiej opinii, z czym mimowolnie się zdradziła, nie zapanowawszy nad głosem. Jakby drwiła ze zdania Robin, a tym samym z McCorda.

- Sprawa wietnamska nie zaszkodziła Clintonowi
- przypomniał Paul.
- Nadal istnieje możliwość, że historia powróci - powiedział Whitt. - U wielu ludzi ta wojna do dziś wzbudza silne emocje, choć Clintonowi udało się jakoś je przetrwać.
- Charyzma - zasugerowała Katie. - Wygląd, może nawet seksapil.

- Nie, na przemówienie rozpoczynające kampanię. Nie wiem, czy to dobry pomysł, wiązać je z początkiem nowego tysiąclecia.

Whitt był niemile zdziwiony. W spokojną rozmowę, która miała zakończyć pracowity dzień, wkradło się napięcie.

Naprawdę nie interesowało jej, co myślą inni. Tylko ona, spośród osób wchodzących w skład sztabu wyborczego, znalazła się dziś rano w środku szalejącego tłumu. Nie widzieli tego, co ona zobaczyła, oglądali tylko migawki telewizyjne. Robin natomiast poznała gniew tłumu i mogła przyjrzeć się demonstrantom. To byli niesamowici i niebezpieczni ludzie.

- Wprowadzenie kraju w nowe tysiąclecie jest centralnym punktem całej kampanii - powiedział Emory.

- Chodzi o zmiany, nowe idee, sprzeciw wobec obecnej sytuacji, atak na waszyngtoński establishment. Chodzi o wzbudzenie nadziei na lepszą przyszłość z McCor-dem jako prezydentem nowego tysiąclecia.

- Dla wielu ludzi nowe milenium oznacza koniec naszego świata, a nie początek nowej, świetlanej ery

- ostrzegła.

- Może dla czubków - wtrąciła Katie Chang - ale to jest dobry trick. I my pierwsi o tym pomyśleliśmy. - Po trząsnęła głową, jej błyszczące czarne włosy omiotły ramiona. - Nie można porzucać ustalonej linii tylko dlatego, że kilku Judzi zniekształca jej sens.

- Nie chcę, by stryj Jim był łączony z apokaliptycznymi nastrojami, szczególnie teraz, gdy ma na głowie jeszcze inny problem.

-

Aż do czasu demonstracji myślała o dziecku z dystansem, jej ciąża i przyszłe macierzyństwo wydawały się jej trochę nierealne. Nagle, w samym środku bezsensownej szamotaniny, zrozumiała, że ta mała istotka stała się dla niej wszystkim. I właśnie wtedy pojawił się Jared. Był to niezwykle splot okoliczności, który mógł w istotny sposób wpłynąć na sposób postrzegania wydarzeń przez Robin oraz wyostrzyć jej reakcję.

Przypomniała sobie brodacza, jego wściekłość i miotane groźby. Twarze innych ludzi, ogarniętych furią niszczenia. Fanatyzm religijny Avamore'a. Wrzaski demonstrantów.

Nienawistne hasła na plakatach. To nie były wytwory jej emocji. Ci ludzie byli rzeczywisci. I przerażający.

- Nie przesadziłam. Po prostu ci ludzie... nie wyglą dają na normalnych, a ich widzenie świata jest znie kształcone. McCord stał się swoistym piorunochronem dla wszystkich ruchów milenarystycznych. Ich przedstawiciele są obecni podczas każdego jego przemówie nia, i przybywa ich coraz więcej.

- Nie wydaje mi się, by senator niepokoił się nimi  
- powiedział Whitt.

- Taki już jest, nie poddaje się żadnym lękom - przyznała - szczególnie wtedy, gdy uważa, że robi to, co należy. Jednak naszym zadaniem jest chronić go przed wariatami, a nie zachęcać ich do działania. A my ich ściągamy do senatora, odliczając dni dzielące nas od nowego tysiąclecia.

Mówiła z coraz większą pasją, bo to przecież jej ro-

- Bardzo dobry wizerunek medialny - dodał cicho Whitt. - To twoje zadanie, Robin. Przynajmniej w tej chwili. Po oficjalnym zgłoszeniu kandydatury McCorda sztab wynajmie kogoś, kto ma większe doświadczenie w tych sprawach. Do tego czasu pracujemy bez zmian.

- Nie obawiam się incydentu wietnamskiego - powiedziała Robin. - Gdybyście widzieli tych ludzi...

- A może przesadzasz? - przerwał jej Paul. - Ponieważ byłaś w to zamieszana osobiście.

Może tak jest, przyznała Robin w duchu. Była przerażona i całkiem możliwe, że jej obraz wydarzeń jest wypaczony.

Bała się zresztą nie tyle o siebie, co o dziecko, które nosiła pod sercem. To dziwne, ale ten incydent spowodował, że jej nie narodzone jeszcze maleństwo stało się istotą bardziej rzeczywistą niż dotąd. Wreszcie stało się prawdziwym dzieckiem, które trzeba chronić i kochać. Jej dzieckiem. I Jareda.

Do dzisiejszego rana jej ciąża była problemem, który należało w stosownym czasie rozwiązać. Ustalić z Whitem dalszy udział Robin w kampanii, wyjaśnić stryjowi Jimowi, że nie może wyjść za Jareda, bowiem mimo zbliżającego się nowego milenium, wyznaje zasady dotyczące dobra i zła, które pochodzą ze starego tysiąclecia. No i oczywiście powiadomić Jareda, że niedługo zostanie ojcem.

Doszło do tego, ponieważ po zerwaniu z nim przestała zażywać pigułki antykoncepcyjne i gdy cztery miesiące temu znów się kochali, Robin nie była zabezpieczona.

- Skoro tak uważasz, to może też tam nie powinnaś być - zasugerowała Katie.

- Katie - powiedział Whitt ostrzegawczo.

Spojrzała na Whitta, a następnie na Robin.

- Chcę tylko powiedzieć, że jeśli nie. jesteś przekonana do tego, co robimy... - Znów wzruszyła ramionami.

- Jestem absolutnie przekonana do kampanii mojego stryja, lecz nie do jej milenijnego akcentu. To po



prostu jest niebezpieczne. Dziś rano przekonałam się o tym na własnej skórze.

- To hasło stało się nośne i coraz więcej ludzi kojarzy je z senatorem McCordem - przypomniał jej Whitt.
- Nie powinniśmy odrzucać pomysłu, który okazał się propagandowo nośny. - Na chwilę przerwał. - Jednak jeśli ktoś jeszcze myśli podobnie jak Robin, powinien to teraz powiedzieć.

Rozejrzał się po sali. Byli tu obecni najbliżsi współpracownicy McCorda. Jeżeli senator osiągnie dobry wynik w pierwszych prawyborach, do sztabu dołączy wielu fachowców, którzy pracować będą aż do przyszłorocznych listopadowych wyborów. Jeśli jednak wynik będzie słaby, wówczas wszystko się skończy.

Wtedy Jim McCord i Robin wrócą do Teksasu. Nie przerażała jej ta perspektywa.

- Podoba mi się to, co dotychczas zrobiliśmy - powiedziała Katie. - Uderzyliśmy we właściwe struny.
- Sondaże to potwierdzają - dodał Paul, spoglądając na swój komputer. - Naród, pod kierunkiem prawdziwego przywódcy, wkracza w nowe tysiąclecie. Odważny prezydent, który w razie potrzeby potrafi podejmo-

dzina była zagrożona. Niewiele brakowało, aby dzisiejszego ranka straciła swoje dziecko.

- Podjęliśmy decyzję, że rozpoczęcie kampanii se

natora związane będzie z nowym milenium. Scenariusze do radiowych i telewizyjnych prezentacji promocyjnych zostały już napisane, a plakaty wydrukowane. Machina już ruszyła i nie powinniśmy jej zatrzymywać, bo wywoła to fatalne wrażenie. Poza tym wydaliśmy na to sporo pieniędzy i nie wolno nam ich zmarnować.

Whitt uważał, że właśnie finanse zdecydują o tym, kto wygra wybory i osobiście kontrolował wpływy i wydatki. Robin nie miała o tym zielonego pojęcia, ale stryj powiedział jej, że idzie im bardzo dobrze. Teksań-czycy mają głębokie kieszenie, szczególnie zamożni ranczerzy, wśród których byli liczni przyjaciele McCorda, a ludzie ekscytowali się kampanią.

Może spowodował to pomysł Whitta, by przedstawić McCorda jako symbol zmiany. Koniec starego porządku i początek nowego. To brzmiało wspaniale.

- Nadal uważam, że należy zwrócić większą niż do tej pory uwagę na tych ludzi. Powinniśmy poprosić FBI o sprawdzenie ich przywódców - zaproponowała Robin. - Przynajmniej tych, którzy stale pokazują się tam, gdzie akurat przebywa stryj Jim.

- Mogę porozmawiać z FBI - zasugerował Emory.

- Myślę, że rozdmuchujemy to do karykaturalnych rozmiarów - powiedziała Katie i lekceważąco machnęła ręką.

- Nie było cię tam - zaproponowała Robin. - Nie widziałś ich.

-

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział Jared. Sie  
dział w fotelu w jej pokoju i przeglądał program imprez  
kulturalnych. Podniósł głowę, kiedy otworzyła drzwi.

- Dzięki, jak miło to usłyszeć - odparła Robin. Zdję  
ła płaszcz i powiesiła go w szafie. - Jeśli jeszcze ktoś mi  
powie, że wyglądam na zmęczoną...

Przerwała, zbyt wyczerpana, by wymyślić jakąś dowcipną  
groźbę. Nie była pewna, czy jest w stanie rozmawiać z  
Jaredem. Ale cóż, gdy już tu był, nie miała wyboru.

- Jak się tu dostałeś? - zapytała z pewną niechęcią  
w głosie. Naprawdę wolałaby być sama.

- Pokojówka mnie zapamiętała, a poza tym pokaza  
łem jej swoją odznakę. Uznała, że skoro jestem gliną  
i rano widziała mnie w twoim pokoju, to można mnie tu  
wpuścić.

Jared miał na sobie czarne spodnie i niebieski sweter, który  
podkreślał jego ciemną cerę i oczy.

- A kto jeszcze powiedział ci, że wyglądasz na zme  
czoną? - spytał.

- Whitt, wczoraj wieczorem - powiedziała. - Ostat  
nio mam kłopoty z kondycją i po pracy po prostu padam  
z nóg.

-

wać trudne decyzje. To ty wymyśliłaś taki wizerunek, Robin, i  
podoba się on wyborcom. Byłoby dużym błędem, gdybyśmy  
teraz cokolwiek zmienili. Ludzie czekają na to przemówienie.  
Myślę, że nie mamy wyboru.

- Robin, wygląda na to, że zostałaś przegłosowana.

- Muszę zaakceptować wasze decyzje. Jednak proszę, abyście nie lekceważyli tych ludzi.

- Jak już obiecałem, zwrócę się do FBI - powiedział Whitt. - Pamiętaj jednak, Robin, że idzie nam naprawdę dobrze, a to się liczy. Nie martw się tak bardzo.

Może i miał rację. Na pewno lepiej niż ona znał się na problemach bezpieczeństwa, pozostali obecni zresztą też ją w tym przewyższali. Powinna skupić się na swojej robocie... i na sprawach osobistych.

To znaczy w jak najlepszym świetle przedstawić prasie ostatnio ujawnione wydarzenia z przeszłości McCorda. Musiała też podjąć ostateczne decyzje dotyczące Jareda. I ich dziecka.

innego nie miała w ustach, ponieważ poranny incydent zakłócił jej harmonogram zajęć i nie starczyło czasu na lunch.

- Niewiele - przyznała.

- Może byś chciała coś przekąsić?

Z uwagi na dziecko powinnam się dobrze i regularnie odżywiać, pomyślała z troską. Dotąd nigdy nie martwiła się takimi sprawami.

Była jednak zbyt zmęczona, by gdzieś jeszcze wychodzić. Marzyła jedynie o tym, by przebrać się w koszulę nocną i wsunąć się pod kołdrę. Oczywiście, z Jaredem... Dzieliło ich tyle nie rozwiązanych spraw, a jednak miło jej było, że jest przy niej.

- Może coś zjemy w pokoju? - zapytał, biorąc ze

stolika kartę dań. - Jak ci się podoba taki zestaw: sandwich z pieczoną wołowiną i zupa jarzynowa?

To był dobry pomysł. Będzie mogła wreszcie zdjąć buty i wyciągnąć się na łóżku.

- Albo sałatka z krewetek - kusił, a ona czuła coraz większy głód.

Było lepiej, niż mógł sobie wyobrazić. Po pierwszej, nieprzychylniej reakcji, teraz Robin była wyraźnie zadowolona, że Jared jest w jej pokoju. Ucieszyło go to ogromnie.

Patrzyła na niego z zadumą. Oto siedział przed nią ojciec jej... ich dziecka. Jared ma prawo wiedzieć o nim. Przed powiedzeniem mu prawdy powstrzymywało ją tylko jedno: dokładnie wiedziała, jak zareaguje na tę wiadomość.

- Sam coś wybierz, zdaję się na ciebie - powiedziała.

Cieężko usiadła na łóżku.

- To był długi dzień - powiedział Jared, spoglądając na zegarek.

- Tak będzie do końca kampanii.

- Ale lubisz to?

- Raczej tak - przyznała. Nie było to do końca prawdą. Kochała i ceniła stryja, dlatego z zaangażowaniem pracowała dla niego. To wszystko.

- Zauważyłem, że twoi fani do tej pory stoją przed hotelem.

- Weszłam bocznym wejściem.

- Wprowadzili tutaj funkcjonariuszy.

- Dodatkowa ochrona hotelu?

- Najlepsi w Nowym Jorku.

- To twoja robota?

Zaśmiał się. Robin prawie zapomniała, jak przyjemny był to dźwięk.

- Nie mam takich wpływów. Sądzę, że zrobił to McCord.

- Albo Whitt - zasugerowała Robin. Może jednak Emory potraktował tamto wydarzenie poważniej, niż jej się wydawało?

- Lub też władze hotelu - powiedział Jared. - Nie lubią, gdy coś przeszkadza ich gościom.

Miał rację. Wzmocniona ochrona nie musiała mieć nic wspólnego z McCordem lub kampanią prezydencką. Jej stryj przyjedzie do Nowego Jorku dopiero po świętach, a jutro jest Wigilia.

- Jadłaś coś? - spytał Jared.

Poza śniadaniem i pączkami, przez cały dzień nic

- Dobrze się czujesz? - spytał cicho.

Przytaknęła. Złączone dłonie trzymała na kolanach, z trudem panując nad tym, by nie dotknąć Jareda.

- Możesz przebrać się w łazience, a ja w tym czasie zadzwonię - zaproponował.

- Dziękuję za łaskawe pozwolenie - powiedziała sucho - szczególnie że to moja łazienka.

Znowu uśmiechnął się.

- Zawsze mówiłaś, że jestem władczy.
- Zawsze miałam rację.

Gdy wstał, wydał się jej teraz wyższy, niż pamiętała, bardziej męski i jeszcze potężniejszy.

- To prawda. W wielu sprawach to ja się myliłem, a nie ty - powiedział.

Zrobiła wielkie oczy, ale zanim zdołała coś odczytać z jego twarzy, wziął menu i podszedł do telefonu.

Robin wstała i wyjęła szlafrok z szuflady. Jej koszula wisiała na haczyku obok drzwi łazienki. Była dość obszerna, a więc bezpiecznie maskująca. Wprawdzie ciąża praktycznie była jeszcze niewidoczna, ale Jared tak dobrze znał jej ciało...

Skierowała się do łazienki, wciąż słysząc jego słowa: „W wielu sprawach to ja się myliłem, a nie ty”.

- Dobrze? - spytał Jared. Pytanie było zbędne, skoro prawie nic nie zostało na tacy.

Gdy on czekał na przyniesienie jedzenia, Robin wzięła prysznic. Przysłuchiwał się szumowi wody i wspominał dni, kiedy robili to razem. W obecnej sytuacji lepiej było nie przywoływać tych obrazów.

- Dobrze, a ty się przebierz w coś wygodniejszego. Podszedł do łóżka, pochylił się nad Robin i delikatnie zsunął z jej nóg pantofle. Następnie zaczął masować obolałe po całym dniu chodzenia stopy.

- Przemarzałaś- powiedział. - Te buty nie nadają się na taką pogodę. To nie Teksas.

Spojrzał na nią, a ona dostrzegła w jego oczach coś, za czym tak bardzo tęskniła...

- Masz rację - przyznała cicho, odpędzając pokusę, by pogłaskać go po twarzy. By go pocałować... Tak bardzo chciałyby wszystko między nimi naprawić. Lecz to nie było takie proste...

Jared nadal masował jej stopy, przynosząc Robin olbrzymią ulgę. Jego wprawne palce odnajdowały wszystkie bolesne miejsca.

- Na co więc masz ochotę? - zapytał.

Niebezpieczne pytanie, szczególnie w tej chwili...

To przecież był Jared, mężczyzna, któremu nigdy nie potrafiła się oprzeć. Delikatny i miły, dobry i opiekuńczy, a przy tym stanowczy i odważny. Rycerski i mądry. Byłby wspaniałym mężem i ojcem.

Niestety nie potrafiła pominąć zawodu, jaki wykonywał. Szanowanego i tak bardzo potrzebnego, a nawet szlachetnego, który jednak tak bardzo ją przerażał. Zbyt dobrze pamiętała dzień, w którym zginął jej ojciec. To wspomnienie wciąż do niej wracało i wiedziała, że nie zniosłaby, gdyby to samo przytrafiło się Jaredowi.

- Myślę, że pieczeń wołowa będzie dobra - powie działa dziwnym tonem, wciąż zadumana nad smutnymi wspomnieniami. Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie o to chodzi. Martwię się, jaki będzie następny krok tych ludzi.

- Boisz się, że mogliby ci coś zrobić?



- Nie o siebie się boję. Oczywiście byłam przerażona, ale nie ja jestem ich celem. Chodzi im o stryja Jima. Oni... - zawahała się - polują na niego. Za wszelką cenę nie chcą dopuścić, aby został prezydentem.

- Z powodu tego wydarzenia w Wietnamie?

- Niektórzy być może tak, ale groźniejsze jest co innego. Większość pikietujących przejęta jest zbliżającym się nowym tysiącleciem. Krążą różne wróżby na ten temat, cytuje się Biblię, głównie Apokalipsę...

- To całe gadanie o końcu świata? A jaki ma to związek z planami politycznymi McCorda?

- Nie miało żadnego, dopóki sami nie powiązaliśmy tych dwu spraw, planując zgłoszenie kandydatury na ostatni dzień roku. W naszej kampanii pokazujemy stryja jako przywódcę, który najlepiej ze wszystkich będzie umiał wprowadzić naród w nowe tysiąclecie, i w tym też kontekście wykorzystujemy wietnamski incydent. Wyjaśniamy, że w momencie śmiertelnego zagrożenia podjął jedyną słuszną, choć bardzo drastyczną decyzję, na jaką potrafi się zdobyć tylko prawdziwy przywódca. Sugerujemy, że właśnie taki człowiek potrzebny jest narodowi w niebezpiecznych czasach. Jednak tym ludziom kojarzy się tylko to, że on jest jakoś...

- Związany z niebezpiecznymi czasami - odpowiedział Jared.

Ich oczy spotkały się.

- Właśnie - przyznała.

Kiedy Robin w końcu wyszła z łazienki, ubrana w obszerną aksamitną koszulę, wyglądała znacznie lepiej.

A teraz zjadła dobry posiłek. W końcu udało mi się to zorganizować, pomyślał. Nie było to wiele, ale tro-skliwszej opiekuńczości Robin by teraz zapewne nie zniosła.

- Byłam bardziej głodna, niż sądziłam.

Położyła łyżkę obok pustego talerza po zupie i oparła się o poduszkę.

- Chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

Więź między nimi była tak silna, że bez trudu wzajemnie wyczuwali swoje nastroje i Jared wiedział, że Robin czymś się poważnie martwi.

- Nie ma wiele do opowiadania. Po prostu nie podoba mi się to, co się dzieje - powiedziała.

- Mówisz o tym, co stało się dziś rano? Jeśli tak, to nie sądzę, by przy policjantach...

- Nie w tym rzecz - przerwała mu - a raczej nie tylko w tym. Być może to poranne zamieszanie było tylko wierzchołkiem góry lodowej, symptomem poważniejszej choroby.

- Nauczyłaś się tak mówić na kursach dla rzeczniczek prasowych? - spytał Jared, rozbawiony stylem jej wypowiedzi. - Jako policjant mogę ci powiedzieć, że to, co widziałem dziś rano, nie było wierzchołkiem niczego. Nic nie znacząca pikietka przypadkowo przerodziła się...

- Uważasz, że przesadzam?

- Miałaś prawo się zdenerwować, przecież znalazłaś się w samym środku szalejącego tłumu.

-

go z biblijnym końcem świata? Po jakimś czasie wszystko wracało do normy, bo ludzkość, w co głęboko wierzę, ma potężną wolę przetrwania. A że głupich nie sieją, tylko sami się rodzą... Od kiedy tylko pamiętam, zawsze jacyś wariaci prorokowali nadejście Armageddonu. Każda większa potyczka na Bliskim Wschodzie czy głośniejszy zamach terrorystyczny wywołują takie apokaliptyczne nastroje, ale poza tym nic się nie dzieje. Myślę, że przypisujesz tym czubkom zbyt wielkie znaczenie.

- Avamore ma sporo zwolenników.

- I co z tego? Ilu ich tak naprawdę może być?

- Nie wiem, pewnie niewielu w proporcji do całego elektoratu, ale są coraz głośniejsi. Avamore, być może przypadkiem, wykorzystuje bardzo zręczną sztuczkę propagandową, to znaczy słowom przeciwnika nadaje nową i niekorzystną dla mówcy treść. Stryj Jim ma określone poglądy na sprawy międzynarodowe, a w szczególności jest zwolennikiem zwiększenia naszej militarnej potęgi, natomiast ten nawiedzony prorok, posiłkując się biblijnymi przepowiedniami, kojarzy to wszystko z końcem świata. W ten sposób senator McCord miałby stać się przywódcą, który powiedzie naród ku zagładzie.

- Dlatego, że zawsze był proizraelski oraz przeciwstawiał się pompowaniu pieniędzy w upadający blok komunistyczny, bo uważał, że należy je przeznaczyć na budowę amerykańskiego systemu obronnego? Wielu ludzi tak uważa, ale to przecież nie prowadzi do apoka

lipsy.

- Mówi się, że jeśli oparty na komputerach system

-

- Zrezygnujcie więc z milenijnego wątku kampanii

- To właśnie zaproponowałam, lecz nikt mnie I poparł. Co więcej, wszyscy zlekceważyli moje obawv

- Może mieli rację?

- Może-zgodziła się jS- - Ty również sądzisz żezh to wszystko rozdmuchuję f- ~ W jej głosie czuć było zniechęcenie. Po raz drugi te.^g° dnia bezskutecznie próbowała przekonać kogoś i^° swoich \*& Czyżby napła wdę przesadzała w swoicH^ °'awach?

- Nie znam się na tyCH^h sprawach, ale myślę że jesi jeszcze zbyt wcześnie, h,py przewidzieć, jak naprawdę ludzie zareagują na milenijne hasło waszej kampanii Zresztą, jak dla mnie, brzr/™ °no całkiem nieźle x. Z,Tak'ak °ni je ^P\*^ Przekr^ili. Dla nich James McCord jawi się niejako przywódca nowego typu prowadzący kraj ku wspania/fej P^yszłości, lecz ku katastrofie. Wierzą, że nowe ty /^ciecie przyniesie ludzkości niesłychane zagrożenia i gaśnie z nimi stryj im się ko- Jared zaśmiał się.

- Co najmniej od dw^ch l^ słyszemy, że wkrótce niebo zwali się na nasze grf^wy- Sieć energetyczna prze stanie funkcjonować, giej^a, banki i gospodarka runą system obronny się rozSwPie' a wszystkie komputerv' wysiądą. J

- Nie są to obawy zur/We bezzasadne - przyno

niałamu.      \*\*    \_^

- Jasne, ale to przeciek nie ^^ koniec świata  
Wielkie awarie, katastrofy, ^zysy i upadki najwię-  
kszych imperiów już sięćj?rzały, ale co to ma wspólne-

-      Jak myślisz, co by wtedy zrobili? - spytała Robin.  
Jared uciekł od tematów osobistych i znów skierował  
rozmowę na demonstrantów. Robin przypuszczała, że było to  
wynikiem jego niezdecydowania.

- Ci wariaci? Nie wiem, bo kto zrozumie szaleńców.  
Ale normalni ludzie zapewne staraliby się wyprostować  
to wszystko, co było złe w ich życiu - powiedział.

- A przede wszystkim, co?

- Próbowałiby pogodzić się z tymi, których skrzyw-  
dzili, staraliby się naprawić to wszystko, co było złe  
w ich stosunkach z bliskimi.

- Właśnie to byś zrobił?

- A ty nie? - zapytał, patrząc jej w oczy.

Przytaknęła.

- Nie sądzę jednak, żeby do tego była konieczna aż  
taka groźba.

Aluzja była oczywista i Jared świetnie ją zrozumiał. No cóż,  
przyszedł tu, twierdząc, że chce porozmawiać  
ich związku, lecz teraz unikał tego tematu jak ognia  
Robin zaczęła go ponaglać. On jednak nie potrafił  
złożyć tej jedynej obietnicy, która mogłaby naprawić  
ich związek.

- Ludzie często unikają prawdy o sobie i innych, ale widmo Sądu Ostatecznego może ich skłonić do głębszej refleksji i zmusić do działania.

- A ty chcesz znać prawdę?

- Staram się żyć z nią w zgodzie.

Zapadła dłuższa cisza, którą przerwała Robin.

- Jared, sądzę, że próbujesz mi coś przekazać, lecz nie dociera to do mnie.

obronny zawiedzie w wyniku pluskwy milenijnej, to Rosjanie albo Chińczycy, lub też jacyś terroryści wykorzystają okazję i zaatakują.

- Szczerze w to wierzysz? - spytał.

- Nie, ale oni tak.

- Oczywiście może się zdarzyć totalna awaria komputerów, ale już jest za późno, by temu przeciwdziałać. Potem wszystko zostanie naprawione, straty zostaną policzone, i życie potoczy się dalej. To nie ma nic wspólnego z końcem świata - powiedział z lekkim rozbawieniem. - Gdybym wierzył w apokaliptyczne przepowiednie, natychmiast rzuciłbym pracę i wyjechał gdzieś, gdzie nie jest tak cholernie zimno.

- Naprawdę? - spytała drwiąco. - Na przykład gdzie? Zawsze myślałam, że duszą i ciałem należysz do Nowego Jorku oraz że twoja praca jest dla ciebie absolutnie wszystkim.

- Być może. Tu są moi przyjaciele, a moja robota potrzebna jest ludziom.

- Rozumiem. Z tego wynika, że niczego nie chcesz zmieniać.

- Myślałem, że mówimy o sytuacji hipotetycznej, czyli o końcu świata. Wtedy rzeczywiście należałoby postępować inaczej.

- A więc przyznajesz, że pewne rzeczy byś zmienił?

- Każdy by tak się zachował - powiedział Jared.

- Gdyby ci wariaci sprzed hotelu naprawdę wierzyli w te brednie o Armageddonie, o których prawią kaza nia, na pewno nie marnowaliby czasu na paradowanie tam i z powrotem po ulicy.

-

- To znaczy?

- Kiedy zginął Jeff, wmawiałem ci, że to był przypadek i że mnie nic takiego przytrafić się nie może. Nie dałaś się na to nabrać, ale po jakimś czasie ja sam zacząłem w to wierzyć. - Przerwał na chwilę. Wreszcie musiał jej to wyznać, choć nie wiedział, jaka będzie jej reakcja. - Teraz jednak wiem, jak bardzo się myliłem. To może spotkać każdego z nas, niezależnie od posiadanych umiejętności i zastosowanych zabezpieczeń.

- Coś się wydarzyło - domyśliła się.

Unikając jej wzroku, skinął potakująco głową.

- Zrozumiałeś, że nie jesteś nieśmiertelny.

- Nigdy za takiego się nie uważałem.

- Odrzucałeś jednak myśl, że również tobie może

przytrafić się coś złego. Nawet wtedy, kiedy zginął Jeff.

- Pirotechnik nie powinien zadrećzać się takimi obawami, bo nie mógłby wykonywać swojej pracy.

- Zacząłeś jednak o tym myśleć - powiedziała bez cienia triumfu w głosie. Robin współczuła Jaredowi i starała się go zrozumieć. Wiedziała, że nie jest mu lekko. - Co to oznacza dla nas?

- Nie wiem - odparł szczerze. Cały czas pamiętał tamtych dzieciach, stłoczonych na chodniku. - Była bomba - dodał cicho.

Do tej pory nie udało się ustalić, kto ją tam podłożył.

ten dziwny, dwuznaczny telefon z pogroźką... Cała ta sprawa była bardzo niejasna.

Jedno było pewne: gdyby Jareda tam nie było... Przeszył go dreszcz. Wiedział, że gdyby zdjął ręce z kolan, Robin zauważyłaby ich drżenie.

^

- Sam nie wiem, czy mam ci coś do powiedzenia...

- Mówiłeś, że chcesz porozmawiać o nas - przypomniała mu. - Myślałam, że może...

- Coś się zmieniło - powiedział otwarcie.

To prawda, lecz sam nie wiedział, co. Jednego był pewien: pragnął być z Robin do końca swych dni. Nie mógł jednak jej tego powiedzieć wprost, bo wszelka aluzja dotycząca śmierci działała na nią fatalnie. Nie mogła znieść, że podczas każdej poważniejszej akcji narażał swoje życie, tak jak to robił jej ojciec.



Do incydentu w budynku rządowym Jared właściwie nie zastanawiał się nad tym, że w każdej chwili może zginąć. Jakby nie przyjmował tego do wiadomości. Jednak tamto wydarzenie go odmieniło. Zaczął odczuwać paniczny lęk, że nagle i ostatecznie urwie się niespełniona linia jego życia.

- Może coś się zmieniło, ale... nadal nie jestem go tów zrezygnować z pracy - powiedział. - Jednocześnie .. nie potrafię zrezygnować z ciebie. Czyli z nas.

Jednym słowem wszystko po staremu, pomyślała ze smutkiem Robin. Powiedziała kiedyś, że nigdy nie zostanie żoną pirotechnika, i miała ku temu oczywiste powody. Ponieważ Jared nie zrezygnował z pracy, ona zrezygnowała z niego. Każde z nich podjęło decyzję, sprawa wydawała się zakończona. Teraz jednak Jared znów się pojawił, wyznał jej miłość oraz oświadczył, że nie zamierza zmieniać zajęcia.

- A więc nic się nie zmieniło - powiedziała bezna miętym głosem.

- Ja się zmieniłem - odparł.

-

- To nie musiałeś być ty - powtórzyła z uporem.

- A gdyby któreś z tych dzieci było naszym dzieckiem? Czy również wtedy namawiałabyś mnie, bym zostawił tę robotę innym?

Źrenice Robin rozszerzyły się nieco. Nigdy dotąd nie mówili o dzieciach. Nie zaszli aż tak daleko, bo wcześniej ich związek się rozpadł z wiadomego powodu.

- Jeff Matthews był ojcem - powiedziała cicho. - Czy po jego śmierci ktoś zatroszczył się o jego synów?

Oczywiście cała jednostka. Wciąż ktoś zabierał ich na mecze albo na ryby, koledzy Jeffa pamiętali o nich. Lecz nigdy już nie zobaczą swojego taty.

- Nie mam żadnej odpowiedzi - powiedział.

Bo nie miał. Czuł się jak w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Praca stanowiła sens jego życia. Urodził się ze szczególnym darem, którym dzielił się z innymi, ratując im życie. Kim będzie Jared Donovan, gdy z tego zrezygnuje? Odstępcą. Nikim.

Nie dopuścił, by tamte przedszkolaki zginęły. Lecz nadal pracując jako pirotechnik, nigdy nie będzie miał własnych dzieci, bo Robin się na to nie zgodzi. Sama została sierotą w wieku dziesięciu lat i nie dopuści, by jej dzieci były narażone na to samo. By, jak chłopcy Jeffa, musiały wychowywać się bez ojca.

Każde z nich pozostało więc przy swoim zdaniu. Sprawa była beznadziejna.

- Powinnaś się wyspać - zdecydował, kończąc tym samym dyskusję.

Spojrzała na niego. Wyczytał w jej oczach, że oskarża go o ucieczkę.

- I niemal wybuchła? - spytała cicho po długim milczeniu.

- Na jednym z pięter budynku było przedszkole. Nie wiem, czy ten terrorysta wiedział o tym, ale... ładunek był na tyle potężny, by zniszczyć wszystko. Nie było już czasu, by sprowadzić na górę sprzęt.

- Rozbroiłeś ją - powiedziała. - Bez żadnego zabezpieczenia.

- Przez cały czas myślałem, że wylecę w powietrze. Byłem przekonany, że ten drań zastawił pułapkę. Patrząc na bombę, oczekiwałem wybuchu. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia o tych dzieciach. Ale już postanowiłem... Przerwał, wahając się, czy ma jej to wyznać.

- Postanowiłeś wycofać się z tego - powiedziała. - Opuścić jednostkę. Pozwolić, by od tej pory ktoś inny stapał po polu minowym.

- Gdy wyszedłem z budynku, byłem tak przerażony, że prawie nie byłem w stanie iść. I wtedy zobaczyłem te dzieci. Ustawili je w rzędzie na chodniku po drugiej stronie ulicy. Trzymały się za ręce. Po prostu długi rząd dzieciaków. Niektóre były trochę wystraszone, inne po traktowały to jako zabawę. No wiesz, przyjechały wozy strażackie i policyjne, coś się działo. Te dzieci były o krok od śmierci. Gdyby mnie tam nie było...

- Ktoś inny by to zrobił - przerwała Robin. Wtedy właśnie tak myślał, ale to nie był dobry argument. Ani trochę...

- Jednak to moje ręce rozbroiły tę bombę. - Darował sobie drastyczne szczegóły akcji, nie chciał jeszcze bardziej przerażać Robin.

od końca świata - powiedziała. - Świetnie bym do nich pasowała. Zaciekawiony spojrział na nią. Uśmiechała się.

- Chodzą w sandałach - wyjaśniła. - Nawet po

śniegu.

- Trudno, by ktoś, kto uważa, że nadchodzi koniec świata, martwił się o przeziębienie. Jednak ty...

- Wiem - powiedziała, nadal się uśmiechając.

- Zadzwoń - obiecał.

Tym razem nie zatrzymywała go. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie na chwilę. Nie wiedzieć dlaczego, znów pomyślał o chłopcach Jeffa... i o dzieciach, które mógłby mieć z Robin...

Mógłby... No cóż, przynajmniej gdy zginę, nikogo nie osierocę, pomyślał nagle.

Wiedział jednak, że w najbliższym czasie będzie musiał podjąć bardzo ważne i ostateczne decyzje.

Lecz odejście z oddziału też byłoby ucieczką.

- Jutro znów czeka mnie długi dzień - powiedziała.

- Jutro jest Wigilia.

- Tak, wiem...

Robin obiecała, że zastanowi się nad wspólnym spędzeniem świąt, ale do tej pory nie dała żadnej odpowiedzi. Sytuacja była niezręczna i Jared wiedział, że nie powinien narzucać swojego towarzystwa, bo wszelka presja z jego strony pogarszała tylko sprawę, lecz mimo to rzucił na pożegnanie:

- Zadzwoń do ciebie jutro. - A gdy przytaknęła zmęczonym gestem, który mógł oznaczać zarówno przyzwolenie, jak i rezygnację, szybko dodał: - Chyba że sobie tego nie życzysz?

To było głupie pytanie. W ten sposób dawał Robin możliwość, by raz na zawsze pokazała mu drzwi.

- Najbliższe dni mam wypełnione po brzegi. Im bliżej Sylwestra, tym robi się coraz bardziej gorąco. Już ci to mówiłam.

- Chcesz, bym zostawił ci wiadomość?

- Tak chyba będzie najlepiej - powiedziała.

Wreszcie zmusił się, by ruszyć w kierunku drzwi.

- Załóż łańcuch - przypomniał.

- Oczywiście.

- Śpij dobrze, Robin.

Już w drzwiach zatrzymał go jej głos.

- Dziękuję za masaż stóp. Bardzo mi pomógł.

- Powinnaś kupić sobie wygodniejsze buty - polecił jej cicho. Znowu był władczy.

- Chyba powinnam przyłączyć się do tych proroków

mnóstwo innych prac, jakie mogłaby wykonywać. Z tym nie było problemu.

Problemem był jej stryj. Nie spodoba mu się jej panińska ciąża, a już zupełnie nie zaaprobuje faktu, że Robin nie zamierza wychodzić za mąż. Z przerażeniem myślała o czekającej ją wkrótce rozmowie na ten temat. Nie mogła z tym już zwlekać. Jim McCord cenił uczciwość, jedną z wartości, które starał się wpoić jej i Levi.

- Nie zazdroszczę ci - powiedziała Katie.

Robin wzdrygnęła się. Czyżby Katie czytała w jej myślach?  
- O co ci chodzi? - spytała niezbyt uprzejmie.

- Musisz rozmawiać z każdym, kto chce dostać kawałek McCorda - wyjaśniła z uśmiechem. - Decyduwać, komu co przypadnie. A to trudne i niewdzięczne zadanie.

- Dobrze wiem, co jest ważne dla stryja Jima, nato miast nie zawsze rozumiem priorytety Whitta.

- To proste - powiedziała Katie. - Emory liczy głosy i tylko to jest treścią...

- Wydaje się, że usłyszałem coś o głosach - za brzmiał głos Whitta za plecami Robin.

- Robin zastanawia się, jak rozplanować czas senatora. Zaproponowałam, by zrezygnować z pozornie nawet prestiżowych spotkań na rzecz takich, gdzie zbierać się będzie większa liczba potencjalnych wyborców - wyjaśniła Katie i uśmiechnęła się do Whitta.

Wyjaśnienie Katie nieco przeinaczało sens ich rozmowy, ale nie warto było tego prostować. Skoro Katie chce zdobywać punkty u szefa kampanii, to niech to

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Tak więc wszystko zrobione? - spytała Katie.  
Robin spojrzała znad szklanki lemoniady i zdała sobie sprawę, że myślą znowu jest setki kilometrów stąd.

- Chyba tak - powiedziała obojętnym tonem.

W ciągu dnia systematycznie wykreślała z listy kolejne załatwione sprawy, zdecydowana, by nie dać Whittowi powodów do narzekań. Gdyby nie uparł się, by koniecznie

przyszła na to przyjęcie, na pewno jej by tu nie było. W tym tłumie i tak nikt nie zauważyłby nieobecności bratanicy senatora McCorda.

Z trudem zwalczyła pokusę, by zdjąć pantofle na wysokim obcasie i postawić stopy na dywanie. Pewnie i tego nikt by nie spostrzegł. Tak jak miała nadzieję, że nie zauważono, iż jej koktajlowa sukienka nagle zrobiła się zbyt ciasna w pasie...

Będzie musiała sprawić sobie nowe ciuchy lub złożyć rezygnację. Wiedziała, że byłaby to dezercja. Od dziesięciu lat pracowała dla Jima McCorda i trudno jej było sobie wyobrazić, że nie będzie uczestniczyła w jego walce o prezydenturę.

Niedługo i tak Whitt wycofa ją sprzed kamer, bo niezamężna i ciężarna bratanica senatora w roli rzecznika prasowego nie jest dobrym pomysłem, było jednak

Robin przed powrotem do domu. Jednak teraz mieli już to za sobą. Jake Edwards, brat człowieka, którego McCord musiał zabić trzydzieści lat temu, umarł, i z jego strony nie groziła już zemsta.

Robin była przekonana, że zdecydowanie McCorda wcale nie osłabło, raczej wręcz przeciwnie.

- Nie sądzę, byś musiał się tym martwić - zapewniła.

- Jeśli McCord zamierza zrezygnować - powiedział Whitt - chciałbym wiedzieć o tym wcześniej.

- A z pewnością ciebie pierwszą o tym powiadomi

- zasugerowała Katie, uśmiechając się do Robin.

Katie Chang wyglądała tego wieczora szczególnie atrakcyjnie. Miała na sobie jaskrawy kombinezon z czerwonego jedwabiu, w którym wiele kobiet wyglądałoby prostacko, lecz świetnie pasował do jej egzotycznej karnacji i delikatnej urody. Powinnam tej kobiecie zazdrościć, pomyślała z rozbawieniem Robin, która w trosce o całość szwów swej sukienki starała się nie oddychać zbyt głęboko.

- Ho, ho! - z wyraźnym podziwem, cicho zawołała Katie.

Robin nie powędrowała za jej zachwyconym wzrokiem, wiedziała jednak, że obiekt zachwytów Katie musiał być kimś naprawdę wyjątkowym. Panna Chang słynna była z tego, że bardzo interesuje się mężczyznami i wykazuje się w tej materii dużym znawstwem. Żartowano w sztabie, że ma w sobie czuły radar, dzięki czemu w największym tłumie zawsze potrafi zlokalizować najprzystojniejszego faceta i spowodować, by zaprosił ją na kolację.

robi. Jim McCord panował nad sytuacją i pozycja Robin w sztabie była nie zagrożona, chyba że sama zrezygnowałaby z udziału w kampanii. Rodziny teksaskie znane były z solidarności.

Dla Whitta i Katie, patrzących na Amerykę z nowojorskiej perspektywy, Teksas był odległą i prawie egzotyczną prowincją. Podobnie zresztą myślał Jared. Jednak dla Robin i jej stryja ranczo Altamira i rodzina stanowiły centrum życia. To były więzy, które nigdy nie pękają. Nawet wówczas, gdy



jej ciąża z człowiekiem, który stawiał warunki wykluczające małżeństwo, bardzo nie spodoba się senatorowi.

Oczywiście Robin była gotowa wycofać się z kampanii, gdyby jej osoba okazała się kłopotliwa dla stryja lub gdyby musiała ustąpić miejsca komuś bardziej doświadczonemu. Nie musiała jednak martwić się, że zostanie wymanewrowana przez kogoś takiego jak Katie.

- Czy już wszystko zostało opracowane? - zapytał Whitt.

- Senator będzie miał zajętą prawie każdą godzinę, jaką spędzi w Nowym Jorku. Znienawidzi mnie za to - powiedziała Robin.

Whitt zaśmiał się.

- Nie zrobi tego, bo chce dobrze wypaść w Iowa.

- Mam nadzieję, że tak będzie - odparła Robin.

- W ostatnich tygodniach wiele się zdarzyło i obawiam się, czy determinacja McCorda trochę nie osłabła.

Senatorowi grożono śmiercią i musiał na kilka dni zniknąć ze sceny publicznej. Tylko zapewnienie szeryfa Richardsa, że jej stryj ma się dobrze, powstrzymało

- Naprawdę? - zdziwił się Emory.

Jared przytaknął. Nie lubił podczas towarzyskich pogawędek opowiadać o swej pracy, ale większość ludzi reagowała na wiadomość, że pracuje w policji, tak jak Whitt, czyli z pewnym zaskoczeniem.

- Tutaj, w Nowym Jorku? - zapytał Whitt.

- Tak jest - potwierdził Jared powściągliwie.

- Jakie to interesujące - powiedziała Katie.

Jared spojrział na nią i uśmiechnął się. Może nie w taki sam sposób, w jaki zwykł to czynić, gdy patrzył na Robin, ale jednak odczuła bolesne ukłucie w sercu. Była zaskoczona gwałtownością swej reakcji.

- Jeśli ktoś pasjonuje się papierkową robotą, to tak  
- przyznał Jared.

- Właśnie tym się zajmujesz? - spytała Katie, której prawie udało się nadać pytaniu niewinny ton. - Przekła dasz papierki?

- Przez większość czasu - wyjaśnił i znów się uśmiechnął. - Nasza robota tylko w telewizji wygląda podniecająco.

- Jared pracuje w jednostce pirotechnicznej - po wiedziała Robin.

Sama nie wiedziała, dlaczego tak postąpiła. Zachowała się jak masochistka, bowiem Katie przepadała za twardymi mężczyznami, którzy za nic mieli wszelkie niebezpieczeństwa. Bardzo ją to podniecało, a teraz Robin wprost sprowokowała ją do działania.

- Jesteś pirotechnikiem? - spytała Katie, a jej oczy zrobiły się jeszcze większe. - Czy dobrze usłyszałam? To znaczy, że zajmujesz się...

- Robin?

Nie spodziewała się go w tym miejscu. Odwróciła się i natychmiast musiała przyznać, że reakcja Katie była jak najbardziej zrozumiała. W czarnym smokingu i białej

wieczorowej koszuli Jared prezentował się wspaniale... i obco. Niewiarygodnie przystojny nieznajomy, uznała.

- Co do diabła robisz tutaj? - spytała.

- Nasz wydział zawsze dostaje kilka zaproszeń na takie imprezy i poprosiłem o jedno z nich.

Zapytał wzrokiem, czy ma coś przeciwko temu. Sama nie wiedziała. Oczywiście przyjemnie jej było, że przyszedł tu specjalnie dla niej, z drugiej strony jego obecność krępowała ją.

A może po prostu czuła się nieswojo, ponieważ miała na sobie zeszłoroczną, zbyt ciasną sukienkę i stopy bolały niemiłosiernie, gdy Jared promieniał elegancją i urodą. No i ta Katie, wprost pożerająca go wzrokiem. ..

Czyżbym była zazdrosna, zastanawiała się Robin. Nie miała do tego prawa, sama przecież z nim zerwała i nadal, z uwagi na sytuację, nie żałowała swej decyzji.

- Jestem Katie Chang. - Wyciągnęła ku niemu swą śliczną dłoń.

Zakłopotana Robin pospiesznie zajęła się prezentacją.

- To jest Jared Donovan - powiedziała, gdy delikatnie ujął palce Katie. - Mój stary przyjaciel. Jared, a to jest Whitt Emory, szef kampanii stryja Jima.

- Wydział? - spytał Whitt, wyciągając rękę.

- Policja - powiedział Jared, witając się z Whitem.

-

nastrój jeszcze się pogłębił, gdy dojrzała błysk w oczach Katie.

- Chciałabym kiedyś posłuchać o tym jednym pro

cencie - powiedziała panna Chang. - O tym absolutnym strachu.

- To nie jest budujący widok - odparł Jared i znów się uśmiechnął. - Dorośli mężczyźni, którym trzęsą się kolana.

- To nic złego odczuwać strach - powiedział Whitt.

- Ważne jest, co z tym uczuciem się robi.

- Ma pan rację, ale nie wszyscy to rozumieją.

- Może nigdy nie przeżyli prawdziwego strachu.

- Wietnam? - spytał Jared głosem równie cichym, jak głos Emory'ego.

- Szmer w pompce - wyjaśnił Whitt, dotykając piersi. - Może mi pan wierzyć lub nie, ale naprawdę chciałem tam pojechać i walczyć.

Wszyscy milczeli przez chwilę, onieśmieleni szczerością tej wypowiedzi, oczywiście poza Katie.

- Może byś udzielił mi szybkiej lekcji rozbijania bomb? - spytała.

- Tak naprawdę... - Jared zawahał się. - Tak naprawdę, to miałem nadzieję, że uda mi się namówić Robin, byśmy poszli gdzieś wypić coś przed snem.

Bardzo chciała przyjąć to zaproszenie. Po pierwsze usunęłaby Jareda z pola rażenia Katie, no i mogłaby wreszcie urwać się z tego przyjęcia, choć to nie spodobałoby się Whittowi. Teraz jednak nie dbała o to.

- Robin nie pije - powiedziała Katie. - Czyżbyś nie spostrzegł tego podczas waszej dwuletniej znajomości?

- Rozbrajaniem bomb - wpadł jej w słowo Whitt i spojrzał na Jareda. - Musisz lubić niebezpieczne życie.

- Moja praca w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach polega na absolutnej nudzie i w jednym procencie na absolutnym strachu. - Robin niejedną raz słyszała tę sentencję. - Stanów pośrednich brak.

Zaśmiali się, poza Robin oczywiście.

- Od dawna się znacie? - spytała Katie.

- Od prawie dwóch lat - odpowiedział Jared.

- Robin, czyli nie łączy was stara przyjaźń, jak to przedstawiałaś... lub może w tak krótkim czasie zdążyliście się tak dobrze poznać?

Robin nie odpowiedziała.

- Jak dostał się pan do jednostki pirotechnicznej?

- zapytał Whitt.

- Poprzez wojsko - wyjaśnił Jared - podobnie jak większość kolegów. - Skoncentrował się na Whittcie, by zatuszować skrepowanie, spowodowane pytaniem Katie.

- Wielu chłopców zaznajamia się w wojsku z amunicją - powiedział Whitt - ale niewielu zostaje zawodowymi pirotechnikami.

Jared uśmiechnął się, jak zwykł to czynić, kiedy ktoś próbował zgadnąć, dlaczego facet nie wyglądający na szaleńca wybrał taką właśnie profesję.

Robin wiedziała, że lubił ryzyko, ale nie to było decydujące. Ogromne znaczenie miał dla niego fakt, że mógł ratować

ludzkie życie. I z tym jego pragnieniem przegrałam, pomyślała gorzko. Jej wrogi wobec świata

- Cieszę się, że cię poznałam. Mam nadzieję, że kiedy nie będziesz miał... innych zajęć, opowiesz mi o swojej pracy.

- Oczywiście - zgodził się Jared. Wziął Robin pod ramię, która, nim wstała, szybko wcisnęła pantofle na nogi.

- Dobranoc - powiedziała do Katie i Whitta. - Zo baczmy się jutro.

- Zjedźmy razem śniadanie - zaproponował Emory.

- Chciałbym usłyszeć, jaki jest rozkład zajęć senatora na przyszły tydzień.

- Może jednak, z uwagi na okoliczności, będzie to późne śniadanie? - rzuciła Katie, lecz Whitt zignorował jej złośliwą uwagę.

- Około dziewiątej - zasugerowała Robin.

- Dobrze - zgodził się.

- Bawcie się dobrze - dodała Katie i swymi czarnymi oczami chłodno spojrzała na Robin.

- Zrobimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił Jared. - Gdzie masz płaszcz? - zapytał Robin.

- Zostawiłam w szatni - odpowiedziała i ruszyli do wyjścia. - Co o nich myślisz? - nie mogła się powstrzymać od pytania.

Spojrzał na nią uważnie, z dziwnym wyrazem twarzy.

- Wydają się być mili - powiedział ogólnikowo.

Była rozczarowana tą odpowiedzią, z drugiej jednak strony cieszyła się, że Jared nie przejawiał żadnego zainteresowania osobą Katie.

- Od kiedy jesteś abstynentką? - zapytał.

Znów zapadła krępująca cisza.

- Tak naprawdę chodziło mi o to, by rozładować napięcie - powiedział Jared i spojrzał pod stół. Po czym radośnie się uśmiechnął.

Powędrowała za jego wzrokiem. No cóż, bezwiednie uległa pokusie i zrzuciła pantofle, z rozkoszą masując obolałe stopy o cudownie szorstki dywan. Zachichotała.

- Rozładować napięcie? - spytała Katie, najwyraźniej niezadowolona.

Nie mogła ścierpieć, że nie była w centrum zainteresowania, w którym, dzięki manewrom Jareda, znalazła się Robin. Donovan wyraźnie, choć grzecznie, ignorował piękną Azjatkę, całą swą uwagę kierując na pannę McCord. Kolejny ruch należał do Robin.

- To taki nasz żart - wyjaśniła, patrząc Jaredowi w oczy.

Nagle, poza rozbawieniem, dostrzegła w nim coś, czemu nigdy nie była w stanie się oprzeć.

- Chętnie... rozładowałabym napięcie - powiedziała z wesołym błyskiem w oczach.

- Miło było mi poznać was. - Jared zwrócił się do Whitta i Katie. - Na pewno spotkamy się znowu, kiedy senator przyjedzie do Nowego Jorku.

- Przyjaciele Robin są naszymi przyjaciółmi - po wiedział z uśmiechem Emory, ściskając mu dłoń.
- Pani Chang - powiedział Jared, podając jej rękę. Katie była wściekła, choć starała się nie pokazać tego po sobie. Z trudem rozluźniła usta, by wreszcie promiennie się uśmiechnąć.

Wreszcie musi mu powiedzieć o dziecku. I tak będzie y, że zbyt długo z tym zwlekała, lecz za nic nie chcia-a, by sam wszystkiego się domyślił, od czego był zresztą o krok.

Zastanawiała się, czy tę rozmowę lepiej odbyć w ho-elu, czy też w mieszkaniu Jareda? Jeśli pójdą do niego,

każdej chwili będzie mogła pod byle pozorem wyjść i przerwać spotkanie... gdyby zaistniała taka potrzeba.

Lecz z tym miejscem wiążą się niebezpieczne wspo-inienia, szczególnie dotyczące ostatniej wspólnej nocy, wtedy to zostało poczęte ich dziecko...

- Chodźmy do mnie - powiedziała cicho.

- Nigdy nie piłam dużo. - Tak było w istocie, choć miała swoje ulubione trunki. Teraz jednak wszystko się zmieniło, ale za nic nie chciała, by Jared domyślił się, że przyczyną jej wstrzemięźliwości jest ciąża. - Dobrze o tym wiesz - dodała niepotrzebnie. Robiła z tego zbyt wielki problem, a Jared był bardzo bystry.

- Ze słów Katie wynikało, że nigdy nie pijesz - po wiedział.



- Niewiele o mnie wie, bo rzadko spotykamy się na gruncie towarzyskim. Niedawno, podczas małego party, odmówiłam wina, bo byłam bardzo zmęczona, i stąd pewnie wyciągnęła takie wnioski. Czasami...

Przerwała. Wiedziała, że podaje zbyt wiele szczegółów, jak ktoś, kto ma coś do ukrycia. Jared na pewno to spostrzegł.

- Czasami? - powtórzył jej ostatnie słowo.

- Źle sypiam po alkoholu.

- Pierwszy raz o tym słyszę.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - spytała nieco zbyt ostrym tonem.

- Chyba nie.

Na szczęście w tej chwili szatniarka podała jej płaszcz, co przerwało rozmowę.

- Dokąd pójdziemy? - zapytał.

- Naprawdę chcesz się napić?

- Nie, chyba że ty masz ochotę na drinka.

- Nie - powiedziała cicho.

- To może kolejny masaż stóp?

- Wystarczy, bym tylko mogła zdjąć buty.

- Pójdziemy do mnie czy do ciebie?

-

muszkę i rozluźnił kołnierz koszuli. Te proste zmiany sprawiły, że wyglądał jeszcze bardziej pociągająco. Trochę rozczochrany, swobodny.

Trudno się dziwić, że Katie miała na niego chętkę. Robin odczuwała to samo, choć zarazem wiedziała, że za chwilę czeka ich bardzo trudna i bolesna rozmowa.

- Nie mam apetytu - powiedziała. Przynajmniej nie najedzenie, pomyślała. Gdyby nie dziecko, natychmiast naląaby sobie whisky.

- Napijesz się czegoś? - spytał Jared, jakby czytając w jej myślach.

- Nie, ale ty się nie krępuj, jeśli tylko masz ochotę na drinka.

- To był długi dzień - powiedział. - Co z tym masażem stóp? Zrobić ci?

Ta propozycja odroczy wyrok o kilka minut. Być może widzą się po raz ostatni. Gdy powie mu o dziecku i odmówi małżeństwa, między nimi może dojść do zerwania wszelkich kontaktów.

- Tak, proszę.

Usiadła na krawędzi łóżka, on jednak nie podszedł do niej od razu. Jakby się wahał. Zawsze świetnie wyczuwał jej nastroje i wiedział, że jest bardzo zaniepokojona. Zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje.

Jednak po chwili zaczął masować jej stopy. Czowała ciepło jego palców. Przymknęła oczy.

- Dzisiaj nie są tak zmarznięte - powiedział.

- Nie byłam zbyt długo na dworze.

- Są trochę spuchnięte.

- Dużo dzisiaj chodziłam.

-

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Jared siedział w tym samym fotelu, co poprzedniego wieczora, gdy Robin, po wzięciu prysznicą, wyszła z łazienki. Miała na sobie ten sam szlafrok i była bosa.

- Chcesz coś zamówić do jedzenia? - spytała.
- A ty jesteś głodna?

Sprawdziła w lustrze, że szlafrok dobrze maskował jej ciążę. Niestety, poza tym ujrzała bladą, napiętą twarz, spuchnięte stopy i lekko drżące dłonie.

Pod pretekstem założenia czegoś na siebie, skryła się na kilka minut w łazience, by zebrać myśli, teraz jednak uznała, że nie był to dobry pomysł. Przebijając się w szlafrok, mimowolnie mogła zasugerować Jaredowi, że jest zainteresowana nie tylko rozmową, co było jak najbardziej niewskazane.

Przyprowadziła go tutaj, by powiedzieć mu o swej ciąży, choć wcale się do tego nie paliła. Wprawdzie wiedziała, że Jared ucieszy się z faktu, iż wkrótce zostanie ojcem, lecz reszta nie będzie już zapewne tak miła.

Obawiała się jego reakcji na fakt, że tak długo zwlekała z tą wiadomością. On pewnie zażąda, by się pobrali, a ona odmówi. I wtedy rozpęta się piekło...

Kiedy przebierała się, Jared zdjął czarną jedwabną

^

- Wiem.
- Ale to nie jest łatwe.
- Dlaczego?
- Bałam się twojej reakcji.
  - Zależy ona od tego, co zamierzasz dalej z tym zrobić.

- A czego po mnie oczekujesz? - spytała. Coraz bardziej bała się tego, co za chwilę Jared jej powie.

- Nigdy nie zadawaj pytania, na które nie chcesz usłyszeć odpowiedzi.

Wstrzymała oddech. Na samym początku krótko zastanawiała się nad przerwaniem ciąży, lecz teraz czuła cudowną więź ze swoim dzieckiem.

- Jest już trochę za późno na aborcję - powiedziała, wyraźnie zdegustowana jego słowami.

- Boże! Robin, przecież znasz mnie dobrze - odparł ostro.

Miał rację, to była niepotrzebna prowokacja z jej strony, spowodowana rozdrażnieniem. Jared nosił w portfelu zdjęcia wszystkich dzieci swych sióstr i braci i szczerze przejmował się ich losem. Z drugiej strony ucieszył ją jego gniew, bo rozwiązał wszelkie wątpliwości, które jednak gdzieś się w niej tliły.

- Tak, znam cię dobrze - powiedziała - lecz mimo to nie wiem, o co ci chodziło, kiedy powiedziałaś, abym nie zadawała pewnych pytań. Myślę, że będzie lepiej, jeśli powiesz mi wprost, czego po mnie oczekujesz.

Pokiwał smutno głową.

- Tego, co zawsze, od pierwszego dnia naszej znajomości. Pragnę, abyś została moją żoną.

Przytaknął. Wciąż delikatnie masując... a raczej pieszcząc jej stopy, zapytał:

- Chciałabyś mi o tym opowiedzieć?

Tak samo zwrócił się do niej wczoraj. Była pewna, że nie chodziło mu o jej służbowe sprawy lub kłopoty z nawiedzonymi prorokami.

- Wiesz, prawda? - spytała cicho.

Było coś niewiarygodnie cudownego i intymnego w fakcie, że wiedział, choć mu o tym nie wspomniała ani słowem.

- Mam trzy siostry i trzy szwagierki - powiedział spokojnie. - Jestem wujkiem i stryjkiem dla dwanaściorga dzieci. Możesz mi wierzyć, dobrze znam objawy ciąży.

Wciąż delikatnie masował jej stopy. Nie wiedziała, czy ta cisza, która między nimi zapadła, jest zwiastunem burzy, czy też pokoju?

- Gniewasz się? - spytała wreszcie.

Podniósł wzrok.

- Dlatego, że jesteś w ciąży?

- Że ci nie powiedziałam.

- A zamierzałaś?

Przytaknęła.

- Dziś wieczór?

Znowu przytaknęła.

- Mogłaś mi powiedzieć wczoraj wieczorem.

Ruch jego kciuka na stopie działał hipnotyzująco, podobnie jak spokojny ton głosu. Nie wyczuwała w nim gniewu.

- Próbowałam - powiedziała.

- Czy kiedykolwiek żałowałaś, że go znałaś? - po

wtórzył pytanie.

- Żałowałam, że tak bardzo go kochałam. Kiedy umarł, byłam wściekła i rozgoryczona. Nigdy mu tego nie wybaczyłam. Chwilami nienawidziłam ich oboje za to, że mnie opuścili. Jednak matkę zabrała choroba, i to było jakoś zrozumiałe, natomiast on jakby... sam sprowokował swoją śmierć. Byłam przeraźliwie samotna, czułam się zdradzona. Straciłam moje miejsce na świecie. Chciałam ze sobą skończyć.

Nie to pragnął usłyszeć, lecz z niechęcią musiał przyznać, że Robin z całą pewnością mówi najgłębszą prawdę o sobie.

Stryj Jim włożył wiele pracy i serca, by mogła pokonać rozsadzający ją gniew. On jedyny ją rozumiał, zapewne dlatego, że sam również poznał to uczucie.

Było jeszcze coś. Stryj, gdy postanowił zająć się polityką, namawiał brata, by ten porzucił pracę w policji i objął zarząd rancza. Gdyby propozycja została przyjęta, ojciec najpewniej żyłby do dzisiaj. Towarzyszyłby córce przez wszystkie lata, a teraz z radością oczekiwałby wnuka.

Jednak odrzucił tę ofertę, przejęty misją dbania o porządek publiczny. Podobnie jak Jared. Po kilku miesiącach, podczas rutynowej kontroli drogowej, jakiś pijak strzelił mu prosto w serce. Odszedł, a Robin...

„Nigdy mu tego nie wybaczyłam”. Te słowa wstrząsnęły nią. Nigdy dotąd świadomie tak nie pomyślała, teraz jednak wiedziała, że naprawdę to czuła. Do dziś nie wybaczyła ojcu, że zostawił ją samą.

Oczywista szczerłość tych słów podniosła ją na duchu. Jared nadal ją kochał i chciał tego dziecka. Wyglądało to na wysłuchaną modlitwę. W jej sytuacji większość kobiet byłaby o tym przekonana...

Głęboko się zadumała.

Milczenie przerwał Jared.

- Czy to coś zmienia?

- Między nami?

- Czy zmieniłaś zdanie na temat naszego małżeństwa? Robin?

Wrócili więc do poziomu elementarnego. Niestety, mimo że wielokrotnie przerabiali ten temat, nigdy nie udało się jej wyjaśnić Jaredowi wielu spraw. O jej ojcu. O niej samej. O tym, co czuje.

- Moja matka umarła, kiedy miałam dziewięć lat, a w następnym roku zginął ojciec. Kochałam go nad życie. Był wszystkim, co miałam, był moim całym światem. Kiedy zginął, też chciałam umrzeć. Wiele czasu upłynęło, zanim wróciła mi wola życia...

Jared utkwiał wzrok w jej twarzy. Wciąż trzymał jej stopę w dłoniach, lecz już nie masował. Znieruchomiał.

- To był straszny ból - wyszeptała. - Nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić. Nie sądzę, by ktokolwiek umiał to zrobić.

Pragnęła, by coś powiedział i oderwał jej myśli od bolesnych wspomnień. On jednak długo milczał.

- Czy ból był tak wielki, że wolałabyś nie poznać swojego ojca, byle tylko uniknąć tego cierpienia? - spytał wreszcie.

W pierwszej chwili nie zrozumiała, o co ją pytał.

Puścił jej stopę i wstał. Jego ruchy były gwałtowne.

- Nie jesteś już skrzywdzoną małą dziewczynką, Robin, tylko dorosłą kobietą. Najwyższa pora, byś to zrozumiała i zgodnie z tym zaczęła się zachowywać.

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

- Ludzie po prostu umierają - powiedział Jared. - Każdego to czeka. Wszyscy tracą swoich rodziców. Jedni wcześniej, inni później. Jutro możesz zginąć, przechodząc przez ulicę, lub też zarazić się jakąś paskudną bakterią. Ja też mogę. Nie sposób jednak normalnie żyć, gdy wciąż się o tym myśli. Gdy się drży przed tym, co nieuniknione. To świadome pielęgnowanie fobii. To infantylne i tchórzliwe!

- Jak możesz?!

- Mogę, bo odrzucasz nasze życie, zabijasz szansę na szczęście, które jest w zasięgu naszych rąk. A wszystko dlatego, że nie próbujesz przezwyciężyć dzieciennego strachu przed czymś, co zdarzyło się ponad dwadzieścia lat temu. Jak długo jeszcze będziesz pozwalać, by śmierć twojego ojca niszczyła ci życie?

- Nie pozwalam na to.

- Pozwalasz, pozwalasz - powiedział gniewnym tonem, pełnym poczucia wyższości. - Jesteś zbyt wielkim tchórzem, by się do tego przyznać, dlatego zasłaniasz się tą całą gadaniną, że nie chcesz, by nasze dzieci przeżyły to samo, co ty, oraz o moim rzekomym egoizmie. Lecz z nas



dwojga to nie ja jestem egoistą. Zamierzasz wychować nasze dziecko beze mnie, ponieważ tylko jedno jest dla ciebie ważne: by wszystko było po twojemu. Zachowujesz się jak niedojrzała, widząca tylko czubek własnego nosa

-

Nie wybaczyłaby również Jaredowi, gdyby zginął. Znów stałaby się skrzywdzonym dzieckiem, wściekłym na cały świat, obrażonym na Boga i ludzi. Być może nie zdołałaby już się z tego podnieść.

- Byłaś wstrząśnięta, gdy chłopcy Jeffa zostali bez ojca...- powiedział w zamyśleniu.

- Byłoby lepiej, gdyby nigdy go nie poznali i nie pokochali.

- Lepiej w ogóle nie mieć ojca, niż stracić go, będąc dzieckiem?

- Tak - powiedziała z uporem.

- Sama w to nie wierzysz!

- W co ja wierzę...

Głęboko zniechęcona, umilkła. Jared był na granicy wybuchu gniewu, tak więc ta rozmowa traciła sens. Zawsze starała się postępować rozsądnie i logicznie, wielokrotnie w racjonalny sposób próbowała mu wyjaśnić, co czuła, gdy jej ojciec zginął, i jak ta tragedia wpłynęła na jej życie.

Jared udawał, że słucha, lecz tak naprawdę nic do niego nie docierało. Gdyby spróbował ją zrozumieć, wiedziałby, że Robin nie będzie w stanie przejść przez takie piekło jeszcze raz. A on teraz chce narażać jej dziecko -jego dziecko - na to samo...

- Wierzę w to, Jared. Zawsze wierzyłam - powie  
działa z naciskiem.

Ją również zaczynał ogarniać gniew. Nie zasłużyła na to, by z takim uporem odrzucać jej słowa. By stale ignorować jej uczucia. A robił to mężczyzna, którego kochała.

Zdawać by się mogło, że jej cicho wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu i wciąż emanowały swą treścią.

Robin wstała. Była tak blisko Jareda, że mogłaby wyciągnąć rękę i poczuć pod dłonią silne bicie jego serca. Bardzo chciała tak zrobić.

Pragnęła, by ją objął. By powiedział, że nic z tego, czego tak bardzo się bała, nigdy nie nastąpi. By obiecał, że zawsze będzie przy nich, kiedy ona lub ich dziecko będą go potrzebowali.

Lecz nie zrobił tego. Zacisnął usta, w jego oczach był chłód. Jakby nic z tego, co powiedziała Robin, nie dotarło do jego uszu.

No cóż, pomyślała z rozpaczą, wszystko stało się jasne. To nie ona i dziecko są najważniejsi dla Jareda, lecz ci wszyscy bezimienni ludzie. Dla nich gotów jest narażać życie, natomiast żona i nie narodzone jeszcze maleństwo rzucają gdzieś na drugi plan. Pan i władca cierpiący za miliony oraz pętająca się w tle rodzina. Taka jest hierarchia ważności według Jareda. Taka jest jego wizja szczęśliwego życia.

Robin nigdy się na to nie zgodzi. I nigdy mu tego nie wybaczy.

Odwrócił się, wziął muszkę z oparcia fotela i po sekundzie zniknął w ciemnym korytarzu. Dźwięk zatraskiwanych drzwi zawisł w powietrzu, tak jak jej ostatnie słowa.

„Nie chcę bohatera, który tak bardzo będzie zajęty narażaniem życia dla innych, że dla nas nic mu już nie zostanie". Problem polegał na tym, że zdawała sobie

smarkula. W bezmyślny sposób kryjesz się w kokonie, wymyśliłaś sobie jakiś mityczny, bezpieczny świat. Ale nic z tego, moja droga, bo takiego świata po prostu nie ma! Czas dojrzeć i przejrzeć na oczy.

- Nie traktuj mnie jak idiotki! - krzyknęła z wściekłością w głosie. - Urodziłam się na tej ziemi i nawet ja, mimo mego, jak to raczyłeś zauważyć, infantylizmu, spostrzegłam, że życie jest pełne zagrożeń. - Czują się głęboko dotknięta jego uwagami. - Dlatego musimy zrobić wszystko, by je chronić. Nie wolno ignorować niebezpieczeństw, lecz prowokować może je tylko ten, kto żyje wyłącznie na własny rachunek. Nie powinien tym obarczać innych, a już szczególnie swych najbliższych. Natomiast ryzyko, które ty wciąż podejmujesz...

- Jest konieczne! - przerwał jej brutalnie. - Uratowałam wiele istnień ludzkich i nie muszę nikogo za to przeproszać. Twoja pogarda dla mojej pracy...

- Na Boga, nie gardzę twoją pracą, o czym dobrze wiesz. Nie chcę też żadnych przeprosin - powiedziała zmęczonym tonem. Ta rozmowa coraz bardziej przypominała dialog głuchych.

- Więc czego chcesz?

- Chcę męża, który nie wróci do domu w zamkniętej trumnie, bo taką po prostu ma pracę. Chcę prawdziwego ojca dla dziecka. Takiego, który przyjdzie na pierwszy mecz ligi szkolnej czy na uroczystość ukończenia szkoły. Nie chcę bohatera, który tak bardzo będzie zajęty narażaniem życia dla innych, że dla nas nic mu już nie zostanie. To nie są wielkie wymagania, Jared. Chcę normalnej rodziny, tylko tyle.

-

energię i pomysłowość swego stryja, by się tego nie obawiać, ale na to nie miała już żadnego wpływu.

Na rozmowę ze stryjem specjalnie wybrała moment, gdy jechali limuzyną z lotniska do hotelu. Dzięki temu zarówno nikt im nie przeszkadzał, jak też mieli niewiele czasu, bo przed hotelem czekała horda reporterów, a potem McCord był już do wieczora bardzo zajęty.

- Czy chcesz, bym wróciła do domu? - spytała.

- Teraz?

- Whitt uważa, że po twojej deklaracji na moje miejsce będzie musiał przyjść ktoś z dużo większym doświadczeniem. Będziesz potrzebował naprawdę świetnego rzecznika, który poradzi sobie z nowymi problemami. Zaniepokoiły mnie pewne rzeczy - dodała ostrożnie.

- Nie zamierzam odstawiać cię na boczny tor, kochanie. Tylko od ciebie zależy, jak długo będziesz dla mnie pracować - zdecydował McCord.

- Dziękuję, ale wkrótce moje walory, które skłoniły Whitta do postawienia mnie przed kamerą, ulegną, jak by tu rzec, pewnym zaokrągleniom - powiedziała po godnie.

- Zawsze będziesz najładniejszą kobietą, jaką ci biedni, przemarznięci nowojorczyacy mieli szansę ujrzeć - zapewnił szarmancko. - Oczywiście oficjalnie tego powiedzieć nie mogę, bo byłby to koniec mojej kariery, ale uważam, że tylko w Teksasie rodzą się prawdziwie piękne dziewczyny.

- Oj, stryjasku, a gdzie się podziała twoja polityczna poprawność? - Wybuchli śmiechem.

-

sprawę, nawet jeśli on tego nie wiedział, jak wielkie to było kłamstwo.

- Chcesz, abym z nim porozmawiał? - spytał łagodnie James McCord.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziała Robin, uśmiechając się do niego. - Jestem już dużą dziewczynką. Nie chcę, byś za mnie rozgrywał moje bitwy.

Stryj skinął głową, ale nadal patrzył jej w oczy, jakby pragnął dotrzeć do jej myśli, a może serca.

Powiadomienie stryja o ciąży okazało sienie tak trudne, jak się obawiała. Jim McCord kochał ją, o czym zawsze wiedziała. Jego miłość uporządkowała jej chaotyczne dzieciństwo, dzięki niej uwierzyła w sens życia. Stryj przejął się sytuacją Robin, ale nie zamierzał prawić jej kazań. Po prostu przyjął do wiadomości, że jego bratanica jest w ciąży i

zamierza samotnie wychować dziecko. Nie zdradziła, kto jest ojcem, ani nie powiedziała, dlaczego nie chce za niego wychodzić, a McCord nie dopytywał się o szczegóły. Zachował się z dyskretną tolerancją i głęboką, subtelną czułością.

Zapewne to, że niedawno sam przyznał się do tego, co zdarzyło się w Wietnamie i musiał stawić czoło niewybrednej i napastliwej krytyce, złagodziło jego postawę. Tak przynajmniej sądziła Robin. W każdym razie James McCord okazał jej dużo więcej zrozumienia, niż oczekiwała.

Oczywiście było wielce prawdopodobne, że w jakiś sposób spróbuje ingerować w sprawy Robin, o ile tylko uzna, że będzie to dla niej korzystne. Zbyt dobrze znała

- Nie w tym rzecz - powiedziała Robin. - Nie chodzi również o twoich szacownych oponentów, którzy, jak na razie przynajmniej, nie wyciągają tej sprawy, bo sondaże są po twojej stronie.

- W takim razie...

- Przyciągnęliśmy niezłe stado wariatów.

- To nie ma znaczenia. - McCord uśmiechnął się, lecz Robin pozostała poważna.

- Mamy ekologów, religijnych dziwaków, różnego rodzaju proroków, którzy przepowiadają sądny dzień i którym słowo milenium nie schodzi z ust. Whitt uważa, że przesadzam, ale ja się ich boję.

- Zawsze się tu plątali i nigdy nic z tego nie wynikało. - McCord, zupełnie jak Katie, zlekceważył obawy

Robin.

Była rozczarowana, liczyła na większe zrozumienie z jego strony. W ostatnich tygodniach grożono mu zamachem i sądziła, że będzie bardziej uczulony na te sprawy.

- Wiem - zgodziła się. - Ale jest ich coraz więcej, a ich agresja wzrasta. Mogą stać się naprawdę niebezpieczni.

- To jest cena, jaką się płaci za uprawianie polityki. Każdy kandydat ma swoich oponentów, a nawet nie przejednanych wrogów...

- Lecz nie każdy kandydat wiąże swoją kampanię z nadejściem nowego tysiąclecia - przerwała mu. - Dla niektórych jest to synonim końca świata. A to wszystko zmienia. Przynajmniej ja tak sądzę.

Ponieważ była bardzo zaaferowana, a tak naprawdę

- Poważnie mówiąc, dobrze sobie radzisz i chciałbym, abyś jak najdłużej pełniła rolę mojej rzeczniczki.

- To z oczywistych powodów nie potrwa już długo, a ja nie wiem, czy do czasu mojej nieuniknionej dymisji uda mi się nadać kampanii taki ton, o jakim myśli Whitt. Szczerze mówiąc... - Choć nie chciała się jeszcze wycofywać, musiała to powiedzieć. - Szczerze mówiąc, będąc w ciąży, nie jestem tak sprawna, jak dawniej. Nieregularne posiłki, bezsenne noce, podróże po całym kraju, to wszystko coraz bardziej mnie wyczerpuje. A to zaledwie początek walki, wszystko, co najważniejsze, dopiero przed nami.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, bacznie się jej przyglądając.

- Rewelacyjnie, jak na ciążarną, wyniki badań też mam dobre. Jestem jednak przemęczona, potrzebuję więcej snu i bardziej regularnego trybu życia. Nie dam już dłużej rady być rzecznikiem, nie podołam wymaganiom, jakie stawia mi Whitt, natomiast równie ważne rzeczy mogę robić w domu albo w waszyngtońskim biurze.

- Chodzi nie tylko o ciebie, ale także o twoje dziecko. - McCord serdecznie ujął jej dłoń. - Wybierz to, co uznasz za najlepsze.

- Dziękuję. - Robin uśmiechnęła się.

- Powiedziałaś, że zaniepokoiłaś się owym incydem. - Tak określał wietnamską tragedię, jakby starając się ukryć ją za tym słowem. Robin wiedziała, że nadal trudno mu było mówić o niej wprost. - Paul uważa, że nikt się tym specjalnie nie przejmuje.

-

wsze pragnął kandydować na prezydenta, a teraz był bliski urzeczywistnienia tego marzenia.

Sondaże wyraźnie wskazywały, że miał realne szansę na zwycięstwo, mimo naturalnych wątpliwości, jakie wśród wyborców mógł budzić wietnamski incydent. Senator był bliski spełnienia swego życiowego celu i Robin, która wspierała go całym sercem i umysłem, za nic nie chciała, by pikietujący przed hotelem tłum obrzucił go błotem. By zbrukał jego osobę i to, co dotychczas w swym życiu osiągnął.



Powiadomiła już dyrektora hotelu, że w związku z przyjazdem senatora może być potrzebna dodatkowa ochrona. W obecnej sytuacji nie chciała prosić Jareda, by skłonił szefa miejscowego posterunku do prewencyjnych działań, liczyła jednak, że personel hotelu poważnie potraktuje jej ostrzeżenie.

Kiedy samochód zajechał na miejsce, demonstranci stali w ciemności, poza oświetlonym obszarem przed wejściem. Nie było widać napisów na tablicach, jakie mieli ze sobą, za to ich wrzaski rozlegały się z całą mocą.

Gdy portier otworzył drzwi limuzyny, rozbłysły telewizyjne reflektory i reporterzy zaczęli filmować przyjazd głównego, według ostatnich sondaży, kandydata na prezydenta. Robin wiedziała, że obecność mediów na pewno skłoni pikietujących do bardziej energicznych działań.

Wyskoczyła z auta i starała się osłonić stryja przed wścibskim okiem kamer, ponieważ McCord, który w Wietnamie stracił nogę i nosił protezę, podczas wysiadania z samochodu wyglądał dość nieporadnie.

wystraszona, McCord przestał się uśmiechać, by jej nie urazić.

- Zrozum, kochanie, to jest dobra strategia. Paul twierdzi, że odnosi skutek - powiedział.

- Ale nie taki, jakiego potrzebujesz.

- Nie możesz dopuścić, by ci narwańcy wytrącili cię z równowagi. Czym tak cię rozdrażnili?

- Nieustannie organizują pikiety i demonstracje oraz wysuwają pod twoim adresem oskarżenia.

Uświadomiła sobie, że zabrzmiało to bardzo niewinnie. Jakby ci ludzie, których tak bardzo się obawiała, jedynie korzystali z prawa do wolności słowa, chronionego przez Konstytucję.

Przemilczała jednak szamotaninę przed hotelem i swój w niej udział, bowiem przestraszony stryj mógłby odesłać ją do Altamiry, by nie narażać dziecka. A ona nie była gotowa do odejścia. Jeszcze nie.

- To tylko słowa - powiedział McCord.

Lecz to nie słowa zraniły Jareda, pomyślała Robin.

- To tylko słowa, dziecinko - powtórzył po chwili milczenia. - To, co naprawdę złe, zostawiliśmy już za sobą. Chcę, żebyś odpoczęła i myślała tylko o tym, co przed nami. A przecież wiesz, ile czeka nas roboty. Nie przejmuj się narwańcami, którzy potrafią tylko gadać.

W porównaniu z Jakiem Edwardsem, bratem zabitego dowódcy McCorda, ci ludzie rzeczywiście, poza gadaniem, nie zrobili nic, musiała przyznać Robin. Poza tym nie chciała swymi, być może niewczesnymi, obawami, zepsuć stryjowi owej szczególnej chwili. Od kiedy tylko sięgała pamięcią, James Marshall McCord za-

- Są naciski, aby Kongres odebrał panu wojskowe odznaczenia, ponieważ splamił pan żołnierski honor. Co pan o tym sądzi?

Senator uniósł ręce i dziennikarze ucichli, oczekując odpowiedzi.

Nim jednak McCord zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się wysoki i nieco dziwny, ale wyraźny głos:

- Hej, Jimmy! Pamiętasz mnie? Bo ja ciebie nie zapomniałem, ty morderco!

Senator gorączkowo rozejrzał się, lecz w ciemności nie sposób było dostrzec, kto krzyczał. Reporterzy znowu zaczęli zadawać pytania, ale McCord, zwróciwszy się do kamer, powiedział tylko:

- Wybaczcie, ale muszę zabrać moją bratanicę z tego zimna.

Drżącą ręką chwycił ją za ramię i ruszył w kierunku szklanych drzwi. Robin, zaskoczona jego nagłym odwrotem, tak podobnym do ucieczki, uważnie spojrzała na stryja.

Twarz miał bladą, a na czole, mimo mrozu, pojawiły się krople potu. Idąc do hotelu, nadal rozglądał się, jakby wzrokiem pragnął przebić ciemność, z której dobiegł ten upiorny, prześmiewczy głos...

Posypały się pierwsze pytania i senator zwrócił się do wyciągniętych mikrofonów. Robin starała się nie słyszeć wrzasków demonstrantów.

Ponieważ sądzono, że McCord już teraz ogłosi swój udział w wyborach, przed hotelem zgromadziło się mnóstwo dziennikarzy.

Okrzyki dochodzące z ciemności przybrały na sile:

- Morderca! Armageddon! Dzień Gniewu Bożego!

Plac zalała kakofonia nienawiści. Wprawdzie

McCord zaczął mówić, lecz żądni sensacji dziennikarze coraz bardziej byli zainteresowani dochodzącymi z ciemności wrzaskami.

- Szanowni państwo, niestety, dzisiaj jeszcze nie mogę złożyć mojej oficjalnej deklaracji - silnym głosem powiedział McCord. - Chciałbym jednak podziękować, że zechcieliście przyjść w ten zimny wieczór, by mnie przywitać.

- Panie senatorze, czy zamierza pan zgłosić swoją kandydaturę w przededniu Nowego Roku? - spytał jeden z reporterów.

- Mogę jedynie zdradzić, że tuż przed wybiciem północy złożę ważne oświadczenie - powiedział z uśmiechem. - Dlatego mam nadzieję, że w owej wyjątkowej chwili spotkamy się na tym placu.

Natychmiast padły następne pytania:

- Senatorze, w jaki sposób może wpłynąć na pańskie polityczne losy fakt, że w Wietnamie zabił pan dowódcę swojego oddziału?

- Czy sądzi pan, że wyborcy zignorują tamto wydarzenie podczas głosowania?

-

Mógłby zająć się szkoleniem kandydatów na pirotechników. Piętnaście lat służył w pierwszej linii i wszyscy zrozumieliby jego decyzję, nikt nie uznałby tego za dezercję. Oczywiście poza nim samym. Lecz to zachowałby dla siebie.

Mógłby też przejść do grupy śledczej albo do laboratorium FBI. Do obu tych zadań był odpowiednio przygotowany, co

więcej, z uwagi na jego kwalifikacje już mu proponowano takie przeniesienie.

Nigdy jednak nie wspomniał o tym Robin, bo wiedział, że gdyby się o tym dowiedziała, natychmiast zaczęłaby na niego mocno naciskać. Okazałoby się, że z równym pożytkiem może robić coś innego, a rozbieraniem bomb zajmą się inni.

- Nie jesteś jedynym pirotechnikiem - mawiała mu często.

Te słowa prześladowały go. Za każdym jednak razem, gdy o nich pomyślał, widział trzymające się za ręce przedszkolaki, stojące przed gmachem rządowym.

Otrząsnął się. Zrozumiał, że nie posunął się do przodu ani o milimetr, a przecież Robin niedługo wyjedzie z Nowego Jorku, by udać się w przedwyborczą trasę i po szesnaście godzin na dobę pracować dla swojego stryja. A przez ten cały czas w jej łonie rozwijać się będzie ich dziecko, o którym powiedziała mu dopiero teraz, i tylko dlatego, że sam doprowadził do ich spotkania. Dziecko, które zamierzała wychować sama, bez jego udziału. A on się na to w żaden sposób nie mógł zgodzić.

Odebrał telefon, dzwoniła jego matka. Poza Jaredem,

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jared na dnie duszy wciąż łudził się, że uda mu się przekonać Robin do swoich racji, wiedział jednak, że szansę na to są znikome. Od dawna też zdawał sobie sprawę, choć nigdy z tym się nie zdradził, że rozwiązanie, jakie proponowała Robin, dałoby się wprowadzić w życie.

Musiał się spieszyć z podjęciem decyzji, bo czas naglił. Robin pod sercem nosiła dziecko, którego tak bardzo pragnął i

o którym marzył od chwili, gdy tylko się poznali. Powinni być razem, powinni stworzyć prawdziwą rodzinę. Przecież są dla siebie stworzeni.

Teraz wszystko zależało od niego. Oskarżał Robin egoizm, strach i niedojrzałość, lecz czy sam był bez winy? Do takich wniosków doszedł podczas długiego, samotnego Bożego Narodzenia.

W te dni panował wyjątkowy spokój, jakby wszyscy szaleńcy i terroryści również postanowili wypocząć,

Jared nie był wzywany do żadnej akcji. Trudno mu było wysiedzieć w domu, chętnie zająłby się czymś, co rozproszyłoby jego niewesołe myśli, jednak telefon uparcie milczał. W samotnej zadumie Jared zastanawiał się więc nad sytuacją, w jakiej znalazł się on sam oraz Robin i nie narodzone maleństwo.

- Pański brat? - spytał Jared.

Oczywiście wiedział o kogo chodzi, ale pozwolił, by konwersacja toczyła się swoim torem. Było mu trudno uwierzyć, że siedzi przy kieliszku w małym barze z człowiekiem, który według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. W jakiś sposób oczekiwał, że nie polubi Jamesa McCorda. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest inaczej.

- Mój brat - powiedział McCord cicho. - Najlepszy oficer policji, jakiego miało hrabstwo Star w Teksasie. Teraz też mają niezłego. - Uśmiechnął się. - Oczywiście miałem swoje uprzedzenia zarówno wobec brata,

jak i jego następcy.

- Rozumiem. - Jared skinął głową.

McCord naprawdę posiadał swoisty urok i charyzmę, a przy tym dyskretny dystans wobec samego siebie. Emanował tym całą swoją postacią. Z całą pewnością dawało mu to wiele punktów w prezydenckim wyścigu.

- Robin myśli, że jesteś podobny do jej ojca - po wiedział senator. - Zapewne dlatego między innymi za kochała się w tobie, co zresztą przychodzi jej z wielkim trudem. Zawsze było mi z tego powodu przykro. Robi łem wszystko, co mogłem, by pomóc jej przyjść do siebie po śmierci rodziców, ale chyba nie dość.

- Ona pana uwielbia - powiedział ostrożnie Jared.

- Postępowałem tak, by być jedynym mężczyzną w jej życiu. Oczywiście wiedziałem, że nie potrwa to długo. Wiem, że zachowałem się egoistycznie, starając się uchronić Robin przed wszelkim złem tego świata.

-

wszyscy jej synowie i córki wraz z najbliższymi spędzali u mej święta. Matka jak zwykle wyczuła, że czymś poważnie się martwi. Gdy już zostanie sama, pewnie zadzwoni jeszcze raz, by dowiedzieć się, o co chodzi.

Gdy znów usłyszał dzwonek, stłumił w sobie nadzieję, że w słuchawce odezwie się Robin. Łudził się, że tak jak obiecała zatelefonuje do niego w pierwszy dzień świąt. Miała dać odpowiedź, c\*y razem spędzą ten czas. Teraz jednak, wbrew swoim \*asdom, nie dotrzymała słowa. No coż, ich ostatnia rozmowa

Mimo wszystko trudno było mu uwierzyć, by Robin nie była tak samo jak on zainteresowana znalezieniem wyjścia z tej patowej sytuacji, w jakiej się znaleźli.

Podniósł słuchawkę. Był pewien, że znów dzwoni matka.

- Halo - powiedział.

- Jared Donovan?

Usłyszał dziwnie znajomy głos, choć słyszał go po raz pierwszy. Ten sam rozwlekły sposób mówienia, przedłużone samogłoski. Zupełnie jak Robin. Ten mężczyzna musiał pochodzić z Teksasu.

- Tak, tu Donovan.

- Panie Donovan, tu James Marshall McCord. Myśle, że powinnis'my się spotkać.

- To decyzja Robin, a nie moja - powiedział spokojnie Jared. - Nie mogę zmienić jej zdania. Proszę mi wierzyć, próbowałem.

- To tradycja rodzinna McCordów. Upór. Jej ojciec był najbardziej upartym osłem, jakiego znałem.

-

- Doceniam to, panie senatorze, ale nie mam pojęcia prowadzeniu rancza.

- Tylko o bombach.

- Wiem o nich dużo - powiedział cicho Jared.

- Trzeba mieć wiele odwagi, by stąpać po dynamicie.

- Większość ludzi uważa to za wariactwo. Za igranie ze śmiercią.

- A ty jej szukasz?



- Nie, proszę pana.

- Znałem takich, którzy jej szukali. W Wietnamie. Ludzi, którzy zachowywali się, jakby chcieli zginąć.

kilku takich, którzy pragnęli, by zginęli inni.

Jared wiedział z prasowych doniesień, że McCord zastrzelił swojego dowódcę, ponieważ ten oszalał i niepotrzebnie narażał podwładnych na śmierć.

- Czy widziałeś jakieś migawki z mojego wczorajszego przyjazdu do Nowego Jorku? - spytał senator.

- Niestety, nie - odparł Jared.

- To dobrze. Nie jestem z siebie zadowolony. Po zwolilem, by coś odciągnęło moją uwagę - powiedział McCord. - To brak profesjonalizmu, czy może po prostu sprytu. Zawsze trzeba wiedzieć, jak się zachować, gdy filmują cię kamery. Nawet jeśli twoje myśli błądzą gdzieś setki kilometrów stąd, musisz wyglądać, jakbyś wszystko kontrolował. Wczoraj wieczorem to mi sienie udało.

Wypił kolejny łyk whisky, spojrział uważnie na Jareda i znów się uśmiechnął:

- Czy często przesłuchujesz podejrzanych?

Teraz cieszę się, że będę miał wnuki, nie spodziewałem się jednak, że dla pierwszego z nich będę nie tylko dziadkiem. Że będę musiał stać się dla niego również ojcem.

Jareda opanowała fala zazdrości i gniewu. Robin postępowała nieuczciwie. Również McCord to rozumiał.

- Mnie też to się nie podoba - powiedział Jared.

- Wiem, trochę dowiedziałem się o tobie. Musiałem też spotkać się z tobą osobiście. W dzisiejszych czasach nic nie wiadomo. Ludzie mają dziwne pojęcie o odpowiedzialności.

- Pan mnie sprawdzał? - zapytał Jared.

- Nie odpowiada ci to, prawda? Nie liczę jednak, że będę cię za to przepraszał. Robin jest dla mnie jak rodzony dziecko. Chciałem się spotkać z mężczyzną, z którym się związała. Gdy skłoniłem moją córkę, by podała mi twoje nazwisko...

- Robin nie zamierzała tego zrobić... - przerwał mu gwałtownie.

- Bo zna mnie zbyt dobrze. Wiedziała, że chciałbym się z tobą spotkać i jak widać, miała rację.

- Ale nie powiedziała panu, dlaczego nie chce za mnie wyjść?

- Synu, zrozumiałem to od razu, gdy tylko dowiedziałem się, czym się zajmujesz. Wtedy wiele rzeczy zaczęło się układać.

- Z powodu ojca Robin.

- Namawiałem go, by stał się zarządcą mojego rancha. Teraz zaproponowałbym to tobie, ale stanowisko jest już zajęte. - Lekko się uśmiechnął.

-

tym, co się wydarzyło... lub też zdawało się McCordo-wi, że się wydarzyło. Jared nie wierzył w głosy zza grobu. Senator chyba też, jak mógł wnosić z jego tonu.

- Wczoraj naprawdę myślałem, że słyszę głos Ed-

wardsa. Mówię ci, ścierpła mi skóra. Ale... - McCord  
zawahał się, jego oczy znowu stały się nieobecne. - Mi  
nęło już trzydzieści lat. Jak po takim czasie można  
dokładnie pamiętać czyjś głos?

- Być może chodzi o to, że nazwał pana w sposób,  
w jaki tylko on to robił. Chodziłoby więc o słowa, a nie  
o brzmienie głosu.

- Do takiego wniosku w końcu sam doszedłem.  
Z pewnością ktoś wiedział, co może doprowadzić mnie  
do furii.

- Żeby źle pan wypadł przed kamerami?

- Może. Albo tylko chciał przypomnieć mi, co się  
zdarzyło,

- Kto jeszcze wie, jak Edwards się do pana zwracał?

- Wielu chłopców z jednostki, no i wszyscy z naszej  
drużyny. Oczywiście niewielu nas już zostało.

Głęboko się zamyślił, a potem nagle wyjął z kieszeni kłosek  
papieru i spojrzał na Jareda.

- Mam tu coś, co chciałem ci pokazać, tyle że Robin  
nie powinna się o tym dowiedzieć. To by ją tylko zmar  
twiło. Tak więc nie mów jej o tym, dobrze?

- Oczywiście, senatorze.

Jared nie zamierzał przysparzać dodatkowych stresów Robin.  
Był jednak ogromnie zdziwiony, że McCord dzieli się  
sprawami tak delikatnej natury z kimś, kogo dopiero poznał.

- Nie - powiedział Jared. - To nie moja specjalność.

- Szkoda, bo bardzo chciałbym ci coś powiedzieć.

Zastanawiam się, dlaczego o nic mnie nie pytasz.

- Na pewno wciąż robią to inni. Jednak zadam panu jedno pytanie. Co odciągnęło pańską uwagę wczoraj wieczorem?

- Głos zza grobu - powiedział cicho.

- Zza grobu? - powtórzył Jared.

Czyżby McCord wierzył w spirytystyczne bzdury? No cóż, wielu twierdziło, że aby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych, nie można być całkiem normalnym...

- Wiem, jak mało wiarygodnie to brzmi. No cóż...

- Przerwał na chwilę. - Ktoś wczoraj krzychał do mnie z tłumu demonstrantów, który krył się w ciemnościach. Nie widziałem jego twarzy, ale wydało mi się, że poznaję jego głos. Intonację, akcent. Coś znajomego. Może to, że wołał na mnie „Jimmy”. Przez całe życie tylko jeden człowiek tak do mnie mówił. Nienawidziłem tego. I nie nawidziłem owego faceta.

Jared czekał. Oczy McCorda nic nie wyrażały.

- Senatorze, nie bardzo rozumiem...

- Zawsze zastanawiałem się, czy to, że go nienawidziłem, odegrało jakąś rolę w tym, że go zabiłem. Musiałem powtarzać sobie miliony razy, że nie, ale gdzieś tam we mnie tkwi obawa, że jednak tak.

- Chodzi o tego faceta z Wietnamu? - spytał Jared, nagle umieszczając tę dziwną rozmowę w jakimś kontekście. Nie rozumiał jednak, dlaczego McCord mu o tym opowiada, poza oczywistym faktem, że był poruszony

-

z nich może być zapowiedzią groźnych działań. Każdy sygnał powinien być sprawdzony. - Jared oddał kartkę McCordowi. - Niezależnie od tego, jak śmieszne sprawia wrażenie. Robin niepokoiła się charakterem pańskiej kampanii. Uważa, że wasze milenijne hasło przyciąga wariatów.

- Zgadzam się z panem - przyznał McCord. - Co dla pana oznacza „sądny dzień”, panie Donovan? - po wtórzył słowa użyte w liście.

- Koniec świata - powiedział Jared i wzruszył ramionami.

- Właśnie, dla mnie też. Ale jak oni zamierzają do niego doprowadzić? - McCord uśmiechnął się. - Oczywiście mogą mnie zabić, ale to przecież jeszcze nie >ędzie koniec świata...

- Tylko zadzwonię, by ich uprzedzić, że już jadę - powiedział McCord. - Sztab będzie zaskoczony, że iotrę wcześniej. Jestem gadułą i gdy spotkam się : kimś, często przedłużam rozmowę. Rozbija to harmonogram ułożony przez zespół i doprowadza do szaleństwa faceta odpowiedzialnego za mój program - przy-iał z pokorą senator, wyjmując telefon komórkowy.

- To zadanie Whitta Emory'ego? - spytał Jared.

Jechali limuzyną senatora do hotelu, gdzie McCord

spotkać się z przewodniczącymi związków nauczycieli.

Mityng był wyznaczony na godzinę dziewiątą, do Lórej, według zegarka Jareda, brakowało jeszcze dwu-ziestu minut.

Powinni zdążyć przed czasem. Tak więc lokalwiek układał plan, będzie zadowolony.

- To twój rewir, może chciałbyś więc rzucić na to okiem - zaproponował senator.

Chodziło zatem o sprawę o posmaku kryminalnym, jako że Jared służył w policji. Czuło się, że McCord ma wiele szacunku dla ludzi tej profesji.

- Oczywiście, jeśli pan sobie tego życzy - powie dział Jared.

McCord podał mu kserokopię napisu złożonego z liter wyciętych z gazet.

- Ktoś wsunął to dziś w nocy pod moje drzwi, kiedy spałem. Na szczęście oryginał schowałem w bezpiecznym miejscu.

Jared uważnie przeczytał tekst. Ktoś żądał, by McCord wycofał się z wyścigu o prezydenturę i ogłosił to w przededniu Nowego Roku.

Jared nadal nie rozumiał, dlaczego McCord powiedział mu o tym głosie, który usłyszał wieczorem, oraz dlaczego pokazał mu tę kartkę. Politycy często byli narażeni na różne przykre incydenty i nie powinni się nimi specjalnie przejmować.

- Ile pogroźek związanych z pańską kandydaturą dostał pan do tej pory?

- Do diabła, a któż by to zliczył? - odpowiedział pytaniem McCord.

- I wszystkie okazały się tylko czczymi pogroźkami, jak sądzę.

- Myślisz, że robię z igły widły - po długiej ciszy mruknął senator.

- Nie. Kiedy się pracuje w moim fachu, wszystkie

takie zdarzenia traktuje się poważnie, bowiem każde

-  
wał też jakiejś rady, dotyczącej jego matrymonialnych problemów.

- Było mi naprawdę miło poznać cię, Donovan. Mam nadzieję, że tobie i Robin uda się dojść do porozumienia. Nie jest łatwo samemu wychowywać dziecko, nawet jeśli można liczyć na pomoc ze strony rodziny. Oczywiście nie zostawimy Robin samej, niezależnie od tego, co się wydarzy. Sądzę jednak, że pragniesz uczestniczyć w życiu swojego dziecka.

- Oczywiście. Bardzo byłbym wdzięczny... gdyby ona dała mi jakąś radę, w jaki sposób mógłbym przekonać Robin...

- Mów do mnie Jim - zaproponował McCord, przezywając jego niezdecydowaną prośbę. - No cóż, nie liczyła to, że moja bratanica zmieni zdanie na temat twojej pracy. Po prostu ma ku temu oczywiste powody, synu. Powinieneś poważnie się nad tym zastanowić.

Ton głosu senatora był bardzo życzliwy, lecz słowa, które wygłosił, niezbyt spodobały się Jaredowi.

- Dziękuję za whisky - powiedział.

- Muszę się spieszyć. - McCord szykował się do wyjścia z limuzyny, która podjeżdżała na miejsce. - Muszę przekonać nauczycieli, że jestem tym, który wprowadzi nas bezpiecznie w nowe tysiąclecie. To wielka odpowiedzialność. - W jego oczach pojawiła się autoironia. - Ale obiecuję ci, że jeszcze porozmawiamy.

Wiem, gdzie cię szukać.

Jared skinął głową. McCord otworzył drzwi ze swojej strony. Na chodniku stało wielu ludzi, którzy czekali na przyjazd senatora. Ze względu na przyciemnione

- Nie, za mój harmonogram odpowiedzialna jest Robin - powiedział McCord. Jego oczy poweselały. Ktoś odebrał jego telefon. - Jestem w drodze. Mówiłem, że się nie spóźnię. Będę tam za... - Pytająco spojrział na Jareda, który pokazał mu dziesięć palców. - Za około dziesięć minut. - Przez chwilę słuchał rozmówcy. - Dobrze. Do zobaczenia. - Wyłączył telefon i schował go do kieszeni. - Czyż te wynalazki nie są wspaniałe? - Roześmiał się kpiąco.

Powszechnie uważano go za teksaskiego nieokrzesanego, który czuł się nieswojo na salonach władzy. Było to niezgodne z prawdą, uznał Jared, ale McCord chętnie taki właśnie wizerunek podtrzymywał i robił z niego świetny użytek.

Choć był starym politycznym wyjadaczem, który świetnie czuł się na Kapitolu, uważano go za prostego, swojskiego faceta z głową na karku. Akcentował swoje teksaskie pochodzenie, przywiązanie do ziemi i rodziny, jak również niezłomność charakteru i umiejętność podejmowania decyzji, emanując przy tym niezłomnym urokiem. Nic dziwnego, że hasło: „Nowy przywódca na nowe tysiąclecie" zostało tak dobrze przyjęte. Wnosił w życie polityczne ożywczą jakość i miał duże szansę wygrać jesienią.



McCord zaproponował, by Jared pojechał z nim do hotelu, a potem wrócił limuzyną do domu.

- Będziemy mogli jeszcze trochę porozmawiać i lepiej się poznać - powiedział senator.

Jared zgodził się na to bez protestów, pozostając niewątpliwie pod urokiem stryja Robin. Po cichu oczeki-

- Wierzę ci, bo znam dobrze mojego stryja.

- Zadzwoił do mnie - powiedział Jared, ciągle czując potrzebę usprawiedliwienia się. - Poprosił mnie o spotkanie.

- Próbował nakłonić cię do ślubu?

- Dobrze wiedział, kogo tak naprawdę należy nakłaniać do ślubu.

Przez chwilę milczała.

- Jest bardzo bystry i domyślny - zgodziła się. - Czy zaoferował ci inną pracę?

Jared roześmiał się na tak precyzyjne pytanie. Z ulgą zauważył, że Robin również, mimo marsa na twarzy, była leciutko rozbawiona.

- Jeszcze nie - powiedział.

- Wkrótce to zrobi. Lubi innym urządzać życie. - W jej głosie zabrzmiał gorzki ton.

- Nie wiem, czy bym poradził sobie na posiedzeniach, jakie zwołuje senator.

- A gdybyś potrafił, czy przyjąłbyś wówczas tę pracę?

- Nie jestem do kupienia, nawet przez twojego stryja  
- mruknął ze złością.

- Ja dla niego pracuję. Czy myślisz, że mnie kupił?

- Należysz do rodziny. Zresztą, po co w ogóle o tym mówimy? Przecież nie zaproponował mi pracy.

Pamiętał jednak o wzmiance dotyczącej prowadzenia rancza. Formalnie nie była to oferta, ponieważ McCord powiedział, że ma kogoś do tej pracy, ale...

Robin zaśmiała się.

. - Zaręczam ci, że to zrobi. Powinieneś być na to przygotowany.

szyby i to, że siedział po przeciwnej stronie samochodu, Jared nie mógł ich rozpoznać. Usłyszał, że McCord po wyjściu z auta z kimś rozmawia.

Opuścił szybę i spojrzał na demonstrantów. W jakiś sposób uniknęli kontroli ochrony, ale poza tym, że tłoczyli się wokół auta i wznosili okrzyki, nie sprawiali innych kłopotów.

Przez nie zamknięte przez McCorda drzwi ktoś wślizgnął się do samochodu. Jared odwrócił się, przekonany, że to senator, który pomylił miejsce spotkania z nauczycielami.

Lecz ujrzał kogoś innego.

Robin była tak samo zaskoczona, jak on. Natychmiast odwróciła się, by wyjść na zewnątrz, gdy w drzwiach pojawiła się głowa McCorda, który powiedział:

- Macie sobie co nieco do powiedzenia. Wasze dziecko jest w drodze. Już czas, byście zaczęli myśleć nim, a nie o własnych odczuciach. Wybierzcie się na przejażdżkę. Gus nic nie usłyszy przez przegrodę.

- Stryju... - zaczęła Robin z pretensją w głosie.

Wyraźnie czuła się oszukana. Przypuszczała, że również Jared maczał w tym palce.

- Nie chcę tego słyszeć, Robin - powiedział senator.
- Oboje się w to wpakowaliście i jesteście za to odpowiedzialni. A rozmowa nic nie kosztuje.

Szybko zamknął drzwi, by nie słyszeć jej protestów, limuzyna ruszyła. W samochodzie zapadła cisza.

- Nie miałem z tym nic wspólnego - wyjaśnił Jared.
- Odwróciła się, wyraźnie zagniewana, gdy jednak spojrzała mu w oczy, nieco się rozluźniła.

rację. No cóż, podczas wielu samotnych godzin co nieco przemyślał.

- Czy mógłbyś wyrazić się jaśniej? - zapytała w na pięciu.

Przez lata podświadomie był przekonany, że bez niego jednostka pirotechniczna przestanie istnieć. Było to oczywistym wyrazem jego pychy. Być może również, jak to kiedyś sugerowała Robin, był uzależniony od zwiększonych dawek adrenaliny?

- Myślałem o pewnych innych możliwościach - przyznał.

- Lecz nigdy mi o tym nie wspomniałeś.

- Jeszcze nie podjąłem żadnej decyzji.

Spojrzała mu w oczy.

- Po prostu... zastanawiasz się nad tym.

Nie spodobał mu się ton jej głosu. Zawahał się. Nie chciał podejmować zobowiązań, których nie byłby w stanie dotrzymać.

Robin zastukała w szybę odgradzającą ich od kierowcy. Gdy Gus odwrócił się, pokazała gestem, by podjechał do krawężnika. Samochód zaczął przeciskać się w kierunku chodnika.

- Co robisz? - spytał zaniepokojony Jared.

- Wysiadam - oznajmiła. - Gus zawiezie cię, gdzie tylko zechcesz. Miło było cię znowu widzieć, nawet jeśli musiał to zorganizować stryj Jim.

- Jak rozumiem, nasza rozmowa dobiegła końca - powiedział z gniewem Jared. Miał nadzieję, że Robin ucieszy się, gdy wyzna jej, iż zastanawia się nad nowymi możliwościami. Jednak zamiast tego...

-

- On martwi się o ciebie - powiedział Jared.

- Zawsze martwi się o mnie i o Levi. Chce wygładzić wszystkie wyboje na naszej drodze. Dlatego spotkał się z tobą. Koniecznie chce nas doprowadzić do ołtarza.

- Dlatego zaprosił mnie do tego samochodu? - spytał Jared. - Pewnie kierowca ma przykazane, by nie wracał do hotelu, zanim nie pocałujemy się i nie pogodzimy.

Mówił z pełną ironii agresją, lecz gdy wspomniał o pocałunku, atmosfera nagle się zagęściła. Wspomnienia nasuwały się same.

- To bardzo możliwe - powiedziała Robin. -

W przypadku Jima McCorda niczego nie można wykluczyć, gdy coś sobie postanowi.

- On naprawdę wie, co robi. Nie chcę być z dala od naszego dziecka. Nie wierzę też, byś ty tego chciała.

- Naprawdę to marzę tylko o jednym, a mianowicie, byśmy nie sprzeczekali się na ten temat. To do niczego nie prowadzi. I boli.

- Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić - powiedział cicho Jared.

Pragnął tylko ją kochać oraz troszczyć się o nią i dziecko.

- Ale ranisz mnie, Jared. Sprawia mi ból, kiedy mówisz, że jestem infantylna, ponieważ nie chcę, abyś zginął. Nie rozumiem, dlaczego upierasz się, by co rusz narażać swoje życie. Możesz zająć się czymś innym, równie przydatnym dla społeczeństwa.

- Wiem - powiedział.

Otworzyła szeroko oczy. Po raz pierwszy przyznał jej

nie powietrza pchnęło go do przodu. Nie upadł, tylko w kilku sekundach dopadł Robin, która zastygła w przerażeniu.

Rzucił ją na ziemię i przykrył własnym ciałem, by osłonić przed deszczem gorącego metalu i roztopionego szkła, który zaczął na nich spadać. Właściwie tylko tyle zostało z limuzyny, w której siedzieli kilka sekund wcześniej.

- Przynajmniej dla mnie. To do niczego nie pro

wadzi. Łudziłam się, że coś się zmieni, że ty się zmieni  
łeś. Myślałam, że w końcu zrozumiesz, co naprawdę  
czuję.

- Wiem, co czujesz.

- Być może, ale co z tego wynika? Nic. Nadal nie  
zamierzasz niczego zrobić.

- To nie jest...

- Przyznaję się do wszystkich win, o które mnie  
oskarżasz - przerwała mu. - Być może jestem tchórzli  
wa, niedojrzała i co jeszcze tylko chcesz. Chodzi jednak  
to, że nie chcę... nie potrafię żyć w nieustannym stra  
chu - dokończyła cicho, z rezygnacją w głosie. - I nie  
chcę o tym więcej mówić.

- A co postanowimy w sprawie dziecka? - zapytał.  
Limuzyna podjeżdżała już do krawężnika.

- My nic nie postanowimy - powiedziała, chwytając  
klamkę. - Natomiast ja zamierzam je urodzić i kochać.  
wychować najlepiej, jak będę potrafiła. Niestety... -  
Jej głos na moment załamał się. - Niestety, innej odpo  
wiedzi już nie mam.

Otworzyła drzwi i zaczęła wychodzić z auta. Próbował ją  
powstrzymać, lecz szybko cofnęła ramię. Natychmiast  
wyskoczył z samochodu.

- Do diabła, Robin! - zawołał ze złością i ruszył za  
nią. - Robin, poczekaj! - Nawet nie zwolniła, co jesz  
cze bardziej go rozgniewało. - Nie jesteś już w Teksa  
sie, tu jest niebezpiecznie! Dostyc już tego! - krzyknął.

- Wygrałaś.

Wraz z falą uderzeniową usłyszał wybuch. Ciśnie-

Za bardzo martwił się o Robin, by zwracać uwagę na swoje obrażenia. Dopiero gdy przekonał się, że nic się jej nie stało, pobiegł ratować szofera.

Gusowi udało się otworzyć drzwi i wydostać z auta. Jego ubranie płonęło. Jared ruszył ku niemu. Wydawało mu się, że minęła wieczność, zanim tam dotarł. Zrzucił na niego swoją kurtkę, którą zdążył zerwać z siebie, a potem przycisnął go do ziemi i zaczął gasić ogień. Ostatnie płomienie zdusił gołymi dłońmi.

Wkrótce usłyszał wycie syren, pojawiły się wozy strażackie, policyjne i karetki. Dopiero później dowiedział się, że Robin przez telefon komórkowy wezwała pomoc.

- To chyba wszystko - powiedział lekarz. - Siostra powie panu, jak dbać o ranę i oparzenia, ale poza drobną niewygoda...

- A co z kobietą, która przyjechała ze mną? - zapytał Jared. - Wysoka, rudawa blondynka. Piękna, miała na sobie granatowy płaszcz.

- Ach, ta. Czeka na zewnątrz. Przynajmniej była tam kilka minut temu - powiedział lekarz.

- Czy ktoś ją zbadał? - zapytał Jared.

- A powinniśmy? Nie wspominała o żadnych obrażeniach.

- Jest w ciąży.

Lekarz spoważniał.

- Który miesiąc? - spytał rzeczowo.

- Koniec czwartego.

- To wszystko powinno być w porządku - powie dział. - Oczywiście możemy ją zatrzymać do jutra na

-

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Miał pan szczęście, panie Donovan - powiedział lekarz.

Nawet nie wiesz, jak duże, pomyślał Jared, krzywiąc się, gdy pielęgniarka wbijała mu igłę, by znieczulić okolice rany.

Doktor stwierdził, że wystarczy kilkanaście szwów oraz kilka opatrunków, i będzie po wszystkim.

Zaiste, szczęście mieli wprost niewiarygodne. Po kłótni, z której jak zwykle nic nie wynikło, Robin, wbrew swoim zwyczajom, postanowiła w gwałtowny sposób odejść. Wtedy on pobiegł za nią, by wciągnąć ją z powrotem do samochodu. Gdyby dyskutowali kilkanaście sekund dłużej, nie żyliby oboje. Gdyby on chciał wyskoczyć z limuzyny trzy sekundy później...

Niestety, Gus nie miał tyle szczęścia. Wciąż był na sali operacyjnej, jednak lekarze nie mieli większych nadziei, że uda mu się przeżyć.

Tak, doktoru, pomyślał Jared, naprawdę miałem szczęście.

Ledwie uświadamiał sobie ukłucia igły zszywającej krawędzie rany. Kawałek metalu wyrwany z limuzyny wyłobił mu dziurę w ramieniu. Nawet tego nie czuł. Nie zdawał sobie sprawy, że krwawi, aż wreszcie któryś z policjantów zwrócił mu na to uwagę.



## WYŚCIGZ CZASEM

- Dobrze się czujesz? - zapytał.

Wyglądała jak żołnierz, który po raz pierwszy znalazł się pod ogniem nieprzyjaciela.

- Dobrze.

- Dzwoniłaś do stryja?

Przytaknęła.

- A co z twoim spotkaniem?

- Jakim spotkaniem? - spytała, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- Wsiadłaś do limuzyny, by gdzieś pojechać.

- Whitt powiedział, że stryj Jim chce mnie gdzieś posłać i że powie mi o tym w samochodzie. Widocznie obmyślił nasze spotkanie już wcześniej. - Zamyśliła się na moment. - Ta bomba była przeznaczona dla stryja Jima...

To było zupełnie oczywiste. W tym czasie, kiedy ładunek wybuchł, senator, zgodnie z harmonogramem, miał jeszcze być w drodze. Przybył na miejsce dziesięć minut przed terminem, choć zazwyczaj, z powodu swojego gadulstwa, nie był zbyt punktualny.

- Na to wygląda - powiedział Jared.

- Myślałam, że to już się skończyło. - Robin westchnęła.

- Senator już miał takie... problemy? - zapytał ostrożnie.

- Ktoś usiłował przekonać go, by zrezygnował z kandydowania. Przynajmniej... - Robin zawahała się

i zmarszczyła brwi.

- Dzisiaj ten „ktoś” użył skutecznego argumentu - powiedział ironicznie Jared.

-

obserwacji, ale nie sędzę, by było to potrzebne. Czy została uderzona jakimś odłamkiem?

- Kiedy bomba wybuchła, powaliłem ją na ziemię.

- Zawahał się, nie wiedząc, jak wyrazić swoje obawy.

- Do diabła, nie wiem, ale coś mogło się stać. Myślę, że ktoś powinien ją zbadać.

- Zbadam ją - obiecał lekarz. - Może już pan założyć koszulę. Czy ma pan płaszcz?

- Miałem kurtkę - powiedział. Znowu poczuł zapach palącego się ciała. - Ale została zniszczona.

- Poszukamy dla pana czegoś w magazynie rzeczy znalezionych...

- Nie trzeba. Obiecał pan zbadać Robin.

- To pańskie dziecko?

- Tak - przyznał Jared. Lekarz był pierwszą osobą, której to powiedział.

- Rozumiem pańską troskę. - Lekarz dotknął jego ramienia w geście pocieszenia. - Zaraz wrócę. I proszę się nie martwić, w tym stadium ciąży dziecko jest świetnie chronione przez ciało matki.

Łatwo ci mówić, pomyślał Jared, bo tu nie chodzi o twoje dziecko. Cholernie łatwo.

Dostał jakieś pigułki, pakiecik ze sterylnymi tamponami i tubę maści na oparzenia ręki. Musiał przyznać, że piekielnie bolały. Środek znieczulający przestawał działać. Siedział na tylnym siedzeniu taksówki, z tułowiem pochylonym do przodu, by nie ocierać ramieniem o oparcie.

Szybko się opanował, postanowił nie poddawać się bólowi. Spojrzał na Robin. Była bardzo blada.

dział, co wydarzyło się w Wietnamie. Myśleliśmy, że jest już po wszystkim.

- Działa więc ktoś inny, nie związany z Wietnamem. Ktoś, komu senator przeszkadza.

- Ci demonstranci, ktoś musi nimi sterować. A nie którzy z nich sprawiają wrażenie ludzi zdolnych do wszystkiego...

- To tylko zwyczajna wrzeszcząca zgraja. - Jared wciąż nie traktował ich poważnie. - Od protestu do zabójstwa daleka droga. Ten, kto wydziera się na ulicy, raczej nie planuje skomplikowanych operacji.

- Są tam oszaleli z nienawiści fanatycy - powiedziała cicho. - Podczas tamtego zamieszania jeden z nich próbował zatrzymać mnie w tłumie, gdy byłam już przy drzwiach do hotelu, schwycił mnie za ramię. Miał mord w oczach.

- Nie mówiłaś mi o tym.

- Prawie o tym zapomniałam. Ciągłe krzyczał, że

McCord chce nas wplątać w następną wojnę, że próbuje sprowadzić na nas zagładę. Zachowywał się jak szaleniec. Boże...

- Masz rację, pełno tu groźnych wariatów, a jeden z nich podłożył bombę w samochodzie twego stryja.

- Jared nie lekceważył już zdania Robin.

- Oni nie wiedzą, że takie działania nie odniosą skutku. Senator podejmie wszystkie możliwe środki bezpieczeństwa, ponieważ nie jest głupcem, ale na pewno nie wycofa się z walki - zapewniła z przekonaniem. - Nigdy tak nie postępuje, po prostu nie potrafi. Jest typem wojownika.

-

- On działał w Teksasie i już nie żyje - wyjaśniła Robin. - Nie mam pojęcia, kto to mógł być tym razem.

- Z tego wniosek, że jeszcze komuś zależy na tym, by senator nie został prezydentem.

Jared, zgodnie z obietnicą, nie wspomniał o groźnym anonimie, jaki otrzymał McCord. Być może po ostatnich wydarzeniach dotrzymywanie tajemnicy nie miało sensu, ale nie chciał dodatkowo obciążać Robin, która była i tak ogromnie przybita.

- Oni nie rozumieją, że groźby i próby zastraszenia tylko wzmagają jego determinację - powiedziała. - Wierzy, że może zrobić rzeczy, których nikt inny nie potrafi. Jest zręcznym graczem, ale ma też prawdziwe poczucie misji. Może przez to sprawiać wrażenie nawet dzonego egocentryka, ale ja w niego wierzę. Jest do

brym i mądrym człowiekiem, który ma wielkie ambicje. Przede wszystkim jednak jest dobry. I nagle za coś takiego...

- Powiedz mi, co stało się poprzednim razem.

- Zaatakował go brat owego oszalałego kapitana, którego stryj Jim musiał zabić w Wietnamie. Jake Edwards nie mógł znieść myśli, że zabójca jego brata mógłby zostać prezydentem. Na początku próbował szantażować, groził, że jeśli stryj Jim się nie wycofa, wówczas opowie całą historię. Stryj jednak sam zamierzał to zrobić. Życiorysy kandydatów są tak dokładnie prześwietlane, że niczego nie da się ukryć.

- Gdy więc McCord nie ugiął się przed szantażem...

- Doszło do nieudanej próby zamachu. Ale Jake Edwards już nie żyje, natomiast stryj publicznie opowie-

-

- Czy to wystarczy, by dowiedzieć się, kto ją zrobił?

- zapytała sceptycznie.

- Nie natychmiast, ale kiedyś to ustalimy - zapewnił Jared.

Pracownicy laboratorium wiele razy dostarczali informacje, które pozwalały policji lub FBI dokonać szybkiego aresztowania. Tu jednak śledztwo będzie bardzo utrudnione, ponieważ w przypadku, gdyby bomba została przyczepiona przed hotelem, w grę wchodziły setki podejrzanych.

No cóż, pomyślał ze skrucą, niepotrzebnie zlekceważył obawy Robin. Ci szaleńcy są naprawdę groźni.

Zbliżali się do hotelu, do demonstrantów i dziennikarzy. Zaraz rozlegną się wrogie okrzyki, a reporterzy zasypią rzeczniczkę prasową senatora McCorda pytaniami...

Jared pochylił się do przodu i powiedział do taksówkarza:  
- Właśnie zmieniliśmy plan.

McCord pytał Jareda, czy ten pragnie śmierci, lecz to pytanie powinien zadać również sobie.

- Rozumiem.

- Lecz oni też nie zrezygnują - powiedziała cicho Robin.

„Oni”. Czyli demonstranci, tłoczący się przed hotelem. Szaleńcy, nawiedzeni prorocy, dziwacy. Czy ktoś z nich mógł przyczepić bombę do podwozia samochodu? - zastanawiała się Robin.

Tak, to możliwe. Wszyscy patrzyli na senatora, oczekiwali jego słów. To tylko sekunda, schylić się, i po wszystkim.

- To nie McCord był celem - powiedziała nagle. - W każdym razie nie tylko on. Stałam w drzwiach hotelowych, mogli myśleć, że przyjechał po mnie. Że za chwilę ruszymy w dalszą drogę.

Trudno było przypuszczać, by demonstranci mieli dostęp do harmonogramu zajęć senatora, poprzednia wersja więc odpadała. Najpewniej bomba została podłożona dopiero wtedy, gdy limuzyna podjechała pod hotel, a nie wcześniej, jak Jared początkowo przypuszczał.

- To jest możliwe, prawda? - zapytała z niepokojem. Nie mógł znieść tego, co oni z nią robią.

- Tak - powiedział niechętnie. - Na tym etapie trzeba rozważać wszystkie możliwości. Musimy poczekać na wyniki z laboratorium.

- Coś mogą znaleźć we wraku samochodu?

- Zbadają każdy jego kawałek, a przede wszystkim fragmenty bomby. Za kilka dni będziemy o niej wiedzieć naprawdę dużo.

-

Zaczęła wybierać numer. Musi jak najprędzej z tym wszystkim się uporać.

Właśnie, uporać się. To czuła, kiedy wyrwała się dziś wieczorem z limuzyny, głęboko rozczarowana postawą Jareda. Nie chciała dłużej słuchać, że jest infantylna i samolubna, ponieważ nie ma ochoty jeszcze raz przeżywać śmierci najbliższej osoby.

Ktoś odebrał telefon, jednak nie był to stryj.

- Mówi Robin McCord. To ty, Paul?

- Tak, to ja.

- Chciałam rozmawiać ze stryjem. Czy jest gdzieś w pobliżu?

- Pracuje z Whitem nad komunikatem dla prasy. Postanowiliśmy, że w porannych wydaniach powinno coś się ukazać.

Robin była zaskoczona, że mimo tragedii machina promocyjna senatora działa pełną parą. Sądziła, że to nie czas na cyzelowanie sformułowań komunikatu prasowego.

Przynajmniej nie przez kilka najbliższych godzin.

Ona i Jared o mało nie zginęli, a Gus został ciężko ranny. Robin wiedziała, jak bardzo senator go lubił i zawsze domagał się, by podczas jego pobytów w Nowym Jorku był jego kierowcą. Mimo to obóz McCorda wydawał się bardziej zainteresowany przekazywaniem informacji prasie niż tymi dramatycznymi wydarzeniami.

- Co jest w tym komunikacie? - spytała, starając się stłumić nieuzasadniony, jak podpowiadał rozum, gniew.
- Fakty, o których w tej chwili wiemy - powiedział.
- To znaczy? Co już w tej chwili wiadomo? Paul,

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Wiem, że nie masz ochoty tutaj być, ale nie przyszło mi do głowy inne miejsce. Nikt z tych wariatów mnie nie zna, nikt z nich nie wie, gdzie mieszkam. Możesz kontaktować się ze swoim stryjem telefonicznie, z dala od zgrai sprzed hotelu.

Robin przytaknęła, omiatając wzrokiem tak dobrze znany jej pokój.

- Przeciwnie, nigdzie indziej nie byłoby mi lepiej - powiedziała, kładąc torebkę na stole obok kanapy.

Przypomniała sobie, niemal wbrew swojej woli, kiedy była tutaj ostatni raz. Powiedziała prawdę. Chciała być tutaj, z Jaredem. Dzięki niemu czuła się bezpieczna, oddalona od tego całego szaleństwa.

- Powiedziałam mu, że jedziemy do hotelu. Będzie się niepokoił, że nas nie ma.
- To zadzwoń do niego od razu - zaproponował



Jared. - Posprzątam trochę. Dowiedz się też, co z kierowcą.

Jednak nie podniosła słuchawki, lękała się bowiem rozmowy ze stryjem. Obawiała się jego troskliwości.

Doszła też do wniosku, że do szpitala powinien zadzwonić senator, bo jemu udzielią więcej informacji. Podobnie było z policją.

ny i widok płonącego samochodu. Światła wozów straży pożarnej i samochodów policyjnych, wycie syren.

Spodziewała się śmierci Gusa, mimo to była wstrząśnięta.

- Robin? - Głos Paula przywołał ją do rzeczywistości.

- Nie wiedziałam - powiedziała.

- No cóż, miał tak straszne obrażenia, że może lepiej, że tak się stało... - powiedział cicho Paul.

- Być może. Miałyby przed sobą tylko lata cierpień...

Ale nie nam o tym wyrokować... Powiedz stryjowi Jimowi, że zadzwonię do niego rano.

Odłożyła słuchawkę. Kiedy przyszli do mieszkania Jareda, poczuła się tak bezpiecznie, lecz teraz była tylko odrętwiała, znużona... i bardzo samotna.

Jared, by pozbyć się zapachu spalenizny, wszedł pod prysznic. Nie przewidział jednak, jak trudno będzie mu się umyć, mając tyle opatrunków na sobie. Musiał jednak zniszczyć ohydny zapach śmierci.

Usłyszawszy hałas otwieranych drzwi, szybko przetarł zamydlone oczy. Przed otwartą kabiną stała Robin.

Drobne perełki wilgoci przyłgnęły do pasemek włosów, które okalały jej bladą twarz i załzawione oczy. Była naga.

O stanie jego umysłu może świadczyć fakt, że potrzebował kilku długich chwil, by zauważyć, że Robin nie miała na sobie ubrania. Gdy wreszcie dotarło to do niego, wprost oniemiał.

Ogarnął ukochaną kobietę wzrokiem. Zmiany, jakie zauważył, były subtelne, ale niezwykle prowokujące.

jestem w to zamieszana i powinnam orientować się we wszystkim, co ma z tym związek.

Zapanowała długa cisza. Kiedy Paul wreszcie odezwał się, jego głos nie był już tak bezosobowy.

- Robin, czy u ciebie wszystko w porządku?

- Tak, poza tym, że niedawno cudem uniknęłam podróży do królestwa niebieskiego.

- Chyba jesteś... zdenerwowana.

- Można tak powiedzieć.

- Pozwól, że znajdę twojego stryja.

- Nie kłopotuj się. Nie chciałabym przeszkadzać w tak ważnej sprawie. Powiedz mu tylko... - Zawahała się na chwilę. - Powiedz mu, że przenocuję u przyjaciela i zadzwonię rano.

Zabrzmiało to dość tajemniczo, lecz z niejasnych dla samej Robin powodów zależało jej, by nikt ze współpracowników nie domyślił się, że jest u Jareda.

- Czy możesz zostawić numer, pod którym jesteś?

- spytał Paul. - Jestem pewien, że senator będzie chciał do ciebie zadzwonić.

- Przekaż tylko moją wiadomość.
- Dobrze - powiedział Paul, niechętnie ustępując.
- Jeśli jesteś pewna, że tak powinno być.
- Dziękuję - powiedziała Robin. - Paul, czy są jakieś wiadomości o Gusie?
- Myślałem, że już wiesz - usłyszała po długiej chwili milczenia. - Umarł około pół godziny temu.

Robin przymknęła oczy. Koszmar znów powrócił. Gus zataczający się po ulicy i biegnący w jego kierunku Jared. Zapach materiału wybuchowego, rozlanej benzy-

policzek do jej głowy. Oczywiście nie było dobrze, próbował jednak jakoś ją pocieszyć, ukoić. Po raz pierwszy w życiu była świadkiem morderstwa, a sama cudem uniknęła śmierci.

Dla niego nie było to nic nowego, jednak też czuł się głęboko poruszony. Wiedział, co ona musi przeżywać. Bezradność, straszne poczucie winy, że sama ocalała, a Gus zginął. Wiedział, że tylko czas i wymierzenie sprawiedliwości zdoła złagodzić jej ból.

- To mógłbyś być ty - powiedziała. - Od kiedy cię poznałam, zawsze drżałam, że zginiesz w taki sposób. Jak Gus.

Te ciche słowa uderzyły go boleśnie. „Od kiedy cię poznałam, zawsze drżałam, że zginiesz w taki sposób”. Nie wiedział tego. A przecież powinien! Tyle razy o tym mu mówiła...

Lecz on nie myślał w ten sposób. Byłoby to bardzo niemęskie. Nie dopuszczał do siebie, że może być rozerwany na strzępy lub spłonąć żywcem. Jak stało się to z Gusem.

Nawet po incydencie w budynku rządowym stłumił w sobie te obrazy, bo w innym wypadku nie mógłby już wykonywać swojej pracy.

Oczywiście gdzieś w środku tliła się obawa, ale skutecznie ją dusił, natomiast Robin nigdy tego nie potrafiła. A to, co zobaczyła dzisiaj, tylko spotęgowało jej strach. „To mógłbyś być ty”.

Dzisiaj im obojgu śmierć zajrzała w oczy.

Jared nagle zrozumiał, że w każdej chwili może stracić Robin. Być może w tej chwili jakiś opętany nienawiścią łajdak planuje na nią zamach, by w ten sposób

Piersi wypełniły się, w talii też trochę przybyło, a biodra stały się jakby dojrzałe. Cięża jeszcze nie była widoczna, lecz już w niezwykły sposób przeobraziła Robin. Jared poczuł cud nowego życia.

A potem ogarnęło go pożądanie. Nigdy nie nasycił się tą kobietą, jak i ona nim. Pomimo okazywanego na zewnątrz spokoju, Robin miała ogromny temperament i świetnie знаła potrzeby swego ciała. Rozumiała też pragnienia Jareda. Jeśli więc to, że przyszła tu naga, nie było zaproszeniem do miłości, znaczyłoby, że niczego już nie rozumiał.

- Co to znaczy? - zapytał cicho.

Znowu napłynęły jej do oczu łzy. Nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Robin?

- Gus nie żyje - powiedziała wreszcie.

Jared przymknął oczy. Wiedział, że szansę kierowcy są minimalne, ale jednak... Ujrzał jego spaloną twarz, palce prawie zupełnie pozbawione ciała. Mimo to miał nadzieję, że ten niewinny człowiek przeżyje i po latach rehabilitacji jakoś dojdzie do siebie. Lecz teraz...

Robin weszła do kabiny i powoli zasunęła drzwi. Stała tuż obok.

Jej skóra była niewiarygodnie blada, niemal przezroczysta, jak to bywa u prawdziwych blondynek. Teraz pokryta była gęsią skórą. Od chłodu, jaki panował w mieszkaniu, lub z przerażenia.

Otworzył ramiona, a Robin skryła się w nich, jakby zawsze tego pragnęła. Wciąż drżała.

- Już w porządku - powiedział cicho, przytulając

było tych szaleńców, to zbyt ciężka praca dla kobiety w ciąży. Brak snu, nieustanne napięcie...

- Wiem - powiedziała, patrząc mu w oczy. - Zamierzam niedługo podjąć w tej sprawie jakąś decyzję. Ale teraz mamy tak napięty program...

- Do diabła z programem! - przerwał jej. - McCord ma pieniądze. Niech zatrudni kogoś, kto cię zastąpi.

- Nie o to chodzi. Whitt jest pewien, że gdy tylko stryj ogłosi, że nadal kandyduje, natychmiast znajdą się ludzie o dużych kwalifikacjach, znacznie większych niż moje.

- I to ma nastąpić w ostatni dzień roku?

- O północy. To niedługo.

- Zbyt długo - powiedział gniewnie.

To było igranie z ogniem, . Jared miał prawie pewność, że następny zamach na McCorda jest nieunikniony i dopóki Robin będzie przebywać w jego otoczeniu, naraża siebie i dziecko na śmierć. Dlatego powinna zrezygnować z tej pracy natychmiast.

Uśmiechnęła się, widząc jego gniew. Była jeszcze w szoku, ale już dochodziła do siebie. Jared wiedział, że dzieje się tak dzięki niemu. Ucieszyło go to ogromnie.

- Jeśli wycofam się z kampanii teraz, ktoś może połączyć to z rewelacjami o Wietnamie, co będzie niekorzystne dla stryja Jima. Zawdzięczam mu zbyt wiele, by na to pozwolić. Natomiast po jego przemówieniu moja rezygnacja na rzecz jakiegoś fachowca będzie zupełnie oczywista. To tylko cztery dni.

Jared wiedział, że Robin jest zbyt lojalna, by udało

ugodzić w McCorda. Zginęłoby wówczas również ich dziecko...

Po raz pierwszy zrozumiał, co ona naprawdę czuje.

- Przepraszam - wyszeptał.

Tak długo nie słyszał, co do niego mówiła, zarzucał jej tchórzostwo, egoizm i niedojrzałość. Nie doceniał, jak wielką ranę odniosła w dzieciństwie i że nadal cierpi z tego powodu. Był ślepy i głuchy.

Teraz, gdy trzymał ją w ramionach, nie umiał sobie wyobrazić, że mógłby ją kiedyś stracić. Oczywiście, to się

zdarza. Ludzie tracą najbliższych, cierpią, składają kawałki roztraskanego życia i idą dalej, bo nie mają innego wyboru.

Lecz wraz ze śmiercią ukochanej osoby sami też w części umieramy. Robin to rozumiała, on natomiast nie. Dopiero dzisiaj doznał olśnienia.

Odwróciła głowę, ocierając się policzkiem o jego pierś. Podniosła dłoń, by odgarnąć pasemko włosów z twarzy. Potem koniuszkami palców dotknęła lekko jego ramienia i zaczęła delikatnie masować. Pomimo jej łez, pomimo śmierci Gusa, tak jak zawsze silnie zareagował na tę pieśczętę.

- Nie pozwolę, by coś takiego stało się ze mną - obiecał. - Przysięgam, Robin. Przysięgam ci.

Odchyliła się i spojrzała mu w oczy.

- Po prostu chcę, byś był bezpieczny. Zawsze tego chciałam.

- Wiem. Zrozumiałem to dopiero dzisiaj. Też pragnę, byś była bezpieczna. Musisz wycofać się z kampanii McCorda. To zbyt niebezpieczne. A nawet gdyby nie

-

Znowu oparła głowę o jego pierś. Ich ciała ponownie zetknęły się.

- Pamiętasz, jak stworzyliśmy tego facecika? - spytał.

- Lub małą kobietkę - powiedziała z rozbawieniem.

- Prawie cztery miesiące temu. Tak źle mi było bez ciebie - przyznał.

- Nie wiedziałam, że liczyłeś czas od naszego ostatniego rozstania.

- A jak myślisz, co robiłem?

- Może spotykałeś się z inną kobietą?

- Wiesz dobrze, że nie - powiedział.

- Nie byłam pewna. To znaczy... przez te miesiące wyobrażałam sobie... ciebie z kimś innym.

Przycisnął jej głowę do siebie, a drugą ręką zaczął gładzić jej plecy.

- Chociaż sprawiało mi to prawdziwy ból, to nie tak wielki, jak...

Myśl o tym, że zginie. Jak Gus. Jared wiedział już o tym.

Wyciągnął rękę i zakręcił wodę. Nagle zapanowała dziwna cisza i prawie natychmiast chłód mieszkania zaczął przenikać do kabiny.

Zdjął ręcznik z wieszaka i zaczął wycierać Robin, bez sukcesu próbował też zetrzeć rozmazany tusz z jej rzęs.

- Muszę wyglądać jak zmokła mysz - powiedziała.

- Seksowna mysz.

- Dobrze - zgodziła się ze śmiechem. - Prawdziwa królowa miłości. Mokre włosy, w ciąży, rozmazany makijaż. Bardzo seksowna całość.

-

mu się ją namówić do rezygnacji z podjętych zobowiązań.

Poza tym, gdy już nieco ochłonął, doszedł do wniosku, że prawdopodobieństwo udanego zamachu jest niewielkie.

Policja i inne służby postawione są w stan pogotowia, senator też na pewno zachowa maksymalną ostrożność. A poza tym jest jeszcze on, Jared.

- Do sylwestrowego przemówienia - raczej rozka



zał, niż się zgodził. - Wezmę urlop na kilka dni i dopilnuję, by nikt niepowołany nie zbliżył się do ciebie. Ani do twojego stryja.

Wsunął dłoń pomiędzy ich ciała, przykrywając niemal niewidoczną wypukłość jej brzucha.

- To on, czy ona? - spytał, wywołując znowu uśmiech na jej twarzy.

- Nie wiem.

- Nie jesteś ciekawa? To ma być niespodzianka?

- Nie myślałam o tym. Aż do ubiegłego tygodnia wydawało mi się to takie nierzeczywiste.

- Dziecko?

- Wszystko. Na początku ciąża była... komplikacją. Czymś, do czego trzeba się dostosować, na co trzeba uważać. Nie myślałam o tym, że rozwija się we mnie prawdziwy człowiek, - Położyła rękę na jego dłoni.

- Pewnie brzmi to okropnie?

- Raczej prawdziwie - powiedział. - Ja także nie uzmysławiałem sobie do końca, że to jest dziecko. Aż do dzisiaj.

- A teraz?

- Teraz tak - przyznał cicho.

-

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Prawie świętokradztwem było położenie jej drobnego, cudownego ciała w tej zmiętej pościeli, pomyślał Jared. Nie zadał sobie trudu, by rano posłać łóżko. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz sprzątał, podczas gdy Robin nienawidziła bałaganu.

Niewiele mógł z tym teraz zrobić. Szybko przebiegł wzrokiem po pokoju. Wczoraj wieczorem rzucił ubranie na podłogę. Na nocnym stoliku leżała do połowy opróżniona torebka z chrupkami oraz szklanka po mleku. To była jego kolacja, którą przetykał, oglądając wieczorne wiadomości.

Dawniej, gdy wiedział, że Robin może do niego przyjść, dbał o porządek, ale dziś wieczorem... przecież prawie już stracił nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze ją ujrzy... Mimo wszystko był winien podziękowania McCordowi.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytała Robin. - Chętnie usłyszę coś zabawnego.

No cóż, na pewno zacny senator nie planował, doprowadzając do ich spotkania, że tak szybko wylądują w łóżku. Swoje już nagrzeszyli, owoc ich miłości miał się dobrze, ale do następnych miłosnych figli powinno

- To ja decyduję, co jest seksowne.

- Pogratulować gustu. Lubisz kobiety grube, nie chłujne i rozczochrane.

- Być może, ale to za jakiś czas. Teraz jednak wolę kobiety szczupłe...

Uśmiechając się, zaczął wycierać jej włosy, które, pociemniawszy od wilgoci, przybrały głęboki rudozłoty odcień. Kiedy skończył, zdjął ręcznik. Wilgotne kędziory zatańczyły nad jej ramionami, uwydatniając bladość skóry. Nie mógł oderwać od niej oczu.

Nagle zdał sobie sprawę, że Robin nadal drży. Wciąż było jej zimno.

Wziął suchy ręcznik i znów zaczął ją wycierać, najpierw szyję i ramiona, potem brzuch i piersi...

Westchnęła cicho. Pocałował ją w usta, a potem niżej i niżej...

- Chcę się z tobą kochać - powiedział, wodząc ustami po jej piersi.

Czekał. Cisza przedłużała się, a jego pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Spojrzał na jej twarz. Wyglądała, jakby zatraciła się w tym, co robił.

- Robin?

- Tak - szepnęła. - Tak.

-

- Gdybyś przestał, to kawałek metalu, który uderzył cię w ramię, mógłby wylądować w mojej czaszce. Mam poobcierane kolana i podrapane dłonie, ale żyję. Jestem za to wdzięczna losowi, a raczej tobie. Dziecko też ma się doskonale.

- Czy czujesz jego ruchy?

- Jeszcze nie, ale to już niedługo - powiedziała Robin bardzo cichym głosem, uśmiechając się przy tym.

- Ty pierwszy się o tym dowiesz...

Urwała, jakby czegoś nie dopowiedziała. Jared wiedział, o co jej chodziło. Tylko od niego zależało, czy będą ze sobą naprawdę razem. Czy stanie się prawdziwym ojcem, będzie uczestniczył w porodzie i wychowaniu dziecka. Zależało to tylko od niego.

- Ale... - wyszeptała - jeśli o to chodzi, nic się nie zmieniło. Nie chcę, by coś się zmieniło...

Nagle uświadomił sobie, że kochając się z Robin, nigdy nie będą już sami. Było to bardzo dziwne, wprost niesamowite przeżycie. Pocałował jej brzuch, gdzie kryła się owa niczego jeszcze nieświadoma istotka.

- Znowu się uśmiechasz - powiedziała.

- Jak dziecko zmienia nasze życie... Wszystko stanie do góry nogami. Pojawi się ktoś, o kogo przez następne dwadzieścia lat trzeba będzie troszczyć się bardziej niż o siebie.

Zauważył to u swoich braci i sióstr. Wszyscy się zmienili. Ustatkowali się, skoncentrowani na dzieciach. są szczęśliwi.

Chodzi ci o to, że powinniśmy być bardziej ostrożni? ~  
spytała Robin, bacznie obserwując jego oczy.

dojść dopiero po ślubie. Żeby wreszcie było tak, jak Bóg przykazał.

- Zastanawiałem się, czy właśnie to miał na myśli twój stryj, kiedy podstępem wsadził cię do limuzyny.

- To dość wątpliwa koncepcja - roześmiała się.

- Też tak sędzę.

- Nie boisz się, że jak to się zdarza w Teksasie, zostanie doprowadzony do ołtarza pod lufą?

- O wiele spraw ostatnio się martwiłem, ale nigdy o to. To ty wciąż dajesz mi kosza.

- Dobrze wiesz, dlaczego - powiedziała cicho. - Ła two wziąć ślub, lecz ja pragnę, by nasz związek był naprawdę trwały. I tylko na taki się zgodzę.

Jared nie chciał wznawiać starego sporu. W milczeniu przytulił się do Robin i zaczął delikatnie głaskać jej policzki, ramiona, piersi...

- Czy jest coś, o czym powinienem wiedzieć, zanim zaczniemy się kochać? - zapytał.

- A o co chodzi?

- Jesteś w ciąży. Nie wiem, czy trzeba... zachować ostrożność. Albo może są jakieś ograniczenia?

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

Skinął głową. Jego palec ciągle delikatnie okręcał jej pierś.

- Lekarz w izbie przyjęć powiedział, że to, co się dzisiaj wydarzyło, nie powinno wpłynąć na dziecko.

- Niepokoiłeś się tym?

- Martwiłem się, czy nic się nie stało, kiedy musiałem powalić cię na ziemię. Nie przestałem ani na chwilę myśleć o dziecku.

-

dłuższym czasie rozgoryczenia i gniewu. Ich fizyczna jedność tej nocy pomoże zburzyć wszystkie bariery, jakie między nimi powstały.

Mieli tylko dla siebie wiele godzin. Nic nie powinno ich zakłócić. Poświęcą je tylko sobie. Wzajemnie dawanej i otrzymywanej rozkoszy.

- Tak - szepnęła cicho Robin. - Teraz...

Wpatrywali się w siebie długo, nic nie mówiąc. Wracali z daleka, wyczerpani i szczęśliwi. Nagle przez twarz Robin przebiegł cień.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nic - szepnęła. - Tylko mam takie głupie prze-  
czucie.

- Chodzi o nas?

- O przyszłość - powiedziała.

- Przyszłość? - powtórzył z niedowierzaniem i za-  
śmiał się krótko. - Czyżbyś zajęła się wrózeniem?

- Powiedziałam, że to głupie. Zapomnij o tym. -  
Odwróciła głowę i zapatrzyła się w jakiś punkt na ścia-  
nie. W świetle lampki nocnej zauważył, że po policzku  
Robin płynie łza.

- Dlaczego płaczesz? - zapytał delikatnie.

- Mam przeczucie... że wydarzy się coś złego...  
straszego.

Spojrzała mu pytająco w oczy, lecz on nie wiedział, co ma  
odpowiedzieć. To, co powiedziała, było zupełnie niepodobne  
do osoby tak zazwyczaj praktycznej i rzeczowej.

- Wiem, że to głupie - powtórzyła.

- O to, że nie mamy pojęcia, jak dziecko bardzo  
zmienia nasze życie. Koniec z wylegiwaniem się w łóż-  
ku w niedzielny poranek. I tym podobne sprawy. -  
Uśmiechnął się.

- Tak, ostatnio nie wylegiwałam się rankami. Dzięki  
dziecku wyskoczę z tej politycznej karuzeli.

- I przesiądziesz się na inną: pieluchy, butelki, kar-  
mienie o północy.

- Już się na to cieszę - powiedziała.

- Ja też. - Wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy

nadal będzie odmawiać mu prawa do miejsca w życiu ich dziecka.

- Myślę, że to najbardziej seksowna rzecz, jaką kiedykolwiek mi powiedziałaś - szepnęła z uśmiechem. Znowu do oczu napłynęły jej łzy.

No cóż, wiedział od swojego rodzeństwa, że ciężarne kobiety reagują na wszystko dużo bardziej emocjonalnie. Nagle się rozmarzył. Zobaczył Robin, jak karmi ich maleńkie dziecko, które ssie jej pierś, którą przed paroma minutami on sam pieścił swoimi ustami. Zrozumiał, co Robin miała na myśli. Ten obraz był naprawdę bardzo erotyczny.

Pochylił głowę i pocałował pierś Robin, dłonią dotknął lekkiej wypukłości na jej brzuchu.

Poczuł głębokie wzruszenie. Jutro, pomyślał, starając się zwalczyć nagły impuls, będzie dość czasu, by się martwić, jak ochronić ich przed niebezpieczeństwem. Co zrobić z jego pracą.

Ta noc jest im dana nie po to, by się martwić. Przyszła po czterech długich miesiącach oddalenia i jeszcze

- Co za drań - mruknął, chwytając wreszcie słuchawkę. - Tu Donovan.

- Mówi Jim McCord. Donovan, mam nadzieję, że cię nie obudziłem - powiedział senator obłudnie, bo na pewno zorientował się, że jest akurat przeciwnie.

- Próbuję znaleźć Robin. Pomyślałem, że może jest u ciebie.

Jared nie miał pojęcia, co Robin wczoraj powiedziała stryjowi, gdy rozmawiała z nim przez telefon, nie było jednak sensu kłamać. Przecież mogło chodzić o coś poważnego.

- Zaraz ją obudzę.

- Do mnie? - szepnęła ledwie przytomna Robin, gdy potrącił ją w ramię i podał jej słuchawkę.

- Tak, senator - wyjaśnił cicho.

Natychmiast oprzytomniała.

- Witaj, stryju - powiedziała. Potem tylko słuchała. Jared wywnioskował z jej miny, że niezbyt podoba jej się to, co mówił McCord.

Nie mógł tylko domyślić się, czy ma to coś wspólnego z kampanią, śmiercią Gusa, czy też z faktem, że znowu znalazła się w łóżku Jareda.

- Będę tam - zdecydowała kategorycznie i oddała Jaredowi słuchawkę. - Muszę iść.

Gdy zaczęła wygrzebywać się z łóżka, Jared przytrzymał ją za ramię.

- Był zły? - spytał.

- Raczej... zatroskany - powiedziała ostrożnie.

- Myślałem, że o to mu chodziło.

- Chce, byśmy zostali małżeństwem - poprawiła go.

-

- Chodzi o coś, co ma się stać z nami?

- Nie wiem, ale czuję, że gdzieś, kiedyś, stanie się coś złego.

Zaśmiał się.

- Jako jarmarczna wróżka szybko byś zbankrutowała



ła. Za mało szczegółów, brak pewności - drażnił się.

- Wiem - zgodziła się z uśmiechem.

Wiedział jednak, że wciąż jest poruszona swoim mglistym przeczuciem.

- Wszystko przeminęło - powiedział pocieszającym tonem. - Nic złego się nie wydarzy. Nie nam. Nie dziecku. Nikomu, kogo znamy.

- Obiecujesz?

- Prędzej umrę, niż dopuszczę do tego.

Jej uśmiech natychmiast zgasł. Zrozumiał, że powiedział coś fatalnego.

- Nic złego się nie wydarzy - szybko powtórzyła jego słowa, jakby zaklinała rzeczywistość. Jakby odpychała wszelkie zło.

Przytuliła się do niego. Znów odkryli swoją jedność.

Przenikliwy dźwięk telefonu wyrwał go z niemal narkotycznego snu. Powoli odzyskiwał świadomość. Dopiero po czwartym dzwonku zrozumiał, co się dzieje.

Sięgając po omacku po słuchawkę, uświadomił sobie, że znajduje się nie po tej stronie łóżka, gdzie zazwyczaj sypiał. Zajmował ją ktoś inny.

Robin. Przyprowadził ją wieczorem do mieszkania, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Był zamach, zginął Gus... Telefon uparcie dzwonił.

-

mnie nie będzie. Zrób to od razu, gdy tylko poznasz swoje plany. Przyjadę do ciebie.

- Dobrze.

- I korzystaj z taksówek - rozkazał.

Spojrzała na niego.

- Myślisz, że spróbują jeszcze raz?

- Musisz zachować ostrożność. Trzymaj się z dala od samochodów senatora... i od niego. Mówię poważnie, Robin. Odpowiadasz nie tylko za siebie, lecz również za dziecko.

- Naprawdę sądzisz, że spróbują jeszcze raz? Myślisz, że będą chcieli go zabić przed Nowym Rokiem?

Tego właśnie się obawiał. Z listu, jaki pokazał mu senator, wiedział, że zrobią wszystko, byle tylko McCord nie zgłosił swojej kandydatury.

Wiedział to wszystko, a jednak jak głupiec zgodził się, by Robin pracowała dla senatora. By przez kilka jeszcze dni była w środku tej jatki.

- Musimy zakładać, że oni nadal będą próbować  
- powiedział cicho. - A jeśli zaatakują, nie powinno was tam być. Ciebie i naszego dziecka.

- Ma wątpliwości, czy to, co robimy, w końcu doprowadzi nas do ołtarza.

- Taki duży facet, a tak mało wie o życiu. - Jared roześmiał się.

Lecz Robin zachowała powagę. Była spięta i zaaferowana.

- Muszę już iść - powtórzyła. - Czekają na mnie.

- Oni?

- Niedługo zbierze się sztab.

Skinął głową. Wprawdzie ustalili, że do Sylwestra Robin będzie brała udział w kampanii, był jednak temu bardzo niechętny. Wiedział również, że Robin nie zgodzi się, by jej towarzyszył, a McCord byłby zdziwiony jego obecnością. Najpewniej grzecznie, ale stanowczo, wyprosiłby go za drzwi. W posiedzeniu sztabu wyborczego nie mogą przecież brać udziału osoby postronne.

Poza tym Jared musiał pokazać się w pracy, by zwolnić się na kilka następnych dni.

- Złapię cię-powiedział.

Spojrzała na niego pytająco.

- Muszę się zameldować - wyjaśnił. - Mam dzisiaj służbę, muszę też załatwić urlop. Powiedz, gdzie będziesz po zebraniu.

- W apartamencie stryja Jima. Przynajmniej rano. Potem... - Zawahała się, próbując sobie przypomnieć rozkład dnia. - Nie pamiętam, a notatki mam w hotelu.

- Zadzwoń do mnie - powiedział.

- Tutaj?

- Dam ci numer do pracy. Zostaw wiadomość, jeśli

-

- Antychryst - powiedział Whitt, wciąż się uśmie

chając. - Koniec świata. Rozumiesz, wszyscy noszą na sobie zamię bestii.

- Zagłada i potępienie - dodał Paul.

- Co to ma wspólnego z senatorem? - spytała Katie.

- Według Avamore'a - zaczął wyjaśniać Paul - gdy gospodarki światowe załamią się z powodu awarii komputerów, pojawi się jeden przywódca. Przeciwstawi się innym krajom i zapanuje nad całym światem po wielkiej bitwie.

Paul cały czas uśmiechał się. Robin nie była pewna, czy bawiły go prorocstwa, czy też ludzie, którzy je głosili. Sama nie widziała w tym nic śmiesznego.

- Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie - zainicjował wielebny Avamore.

- Teraz rozumiem, jak to się ma do McCorda - powiedziała Katie i też się uśmiechnęła. Jej uwaga była oczywistą aluzją do faktu, że McCord zabił swojego dowódcę.

- Wyłączcie to - poleciła Robin. Spojrzeli na nią z zaskoczeniem. Wskutek hałaśliwego zachowania Avamore'a i jego zwolenników nikt jej dotąd nie zauważył.

- Wyłączcie to, proszę. - Złagodziła swój głos, by za brzmiał jak prośba.

Paul posłusznie wyłączył dźwięk, chociaż postać pastora nadal była na ekranie. Od czasu do czasu widać było, jak Avamore unosi ręce w geście protestu lub napomnienia.

- Przepraszam, zapomniałem, że on ci przeszkadza

- powiedział Paul.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

„I ujrzałem jedną z jej głów jakby śmiertelnie zranioną, a rana jej śmiertelna została uleczona. A cała ziemia w podziwie powiodła wzrokiem za Bestią”.

Otworzywszy drzwi do apartamentu, Robin usłyszała grzmiący głos wielebnego Avamore'a dochodzący z telewizora.

Prorok stał na prowizorycznej platformie przed tłumem swoich zwolenników, w większości, wzorem mistrza, ubranych w suknię i sandały. W odróżnieniu od rumianej cery kaznodziei, ich twarze były sine od mrozu.

- Myślę, że nasz chłoptaş przeszedł do następnej klasy - powiedział Paul Farley.

Robin ruszyła przez korytarz, ale słysząc uwagę Pau-la, przystanąła na progu salonu i spojrzała na zgromadzone osoby, nieświadome jej obecności.

- O co chodzi? - spytał Whitt Emory. Właśnie sło dził sobie kawę.

- W ubiegłym tygodniu Avamore określał senatora mianem jednego z jeźdźców Apokalipsy, zaś dzisiaj McCord jest już samą Bestią. Ta gadka o śmiertelnej ranie jest oczywistą aluzją do nogi senatora.

- Jaka bestia? - spytała Katie tak głośno, by prze krzyczeć Avamore'a. - Nie rozumiem.

-

- Wiem, że ktoś podłożył bombę pod limuzynę. Pod samochód, w którym stryj Jim siedział kilka minut wcześniej. Zginął człowiek. Podaj mi inny powód, dla

którego ktoś miałby to zrobić.

- Tak, ale nie ma żadnych podstaw, by twierdzić, że zamachowiec działał pod wpływem Avamore'a.

Nie było na to żadnych dowodów i Robin dobrze o tym wiedziała. Z drugiej strony była głęboko przeświadczona, że ma rację. Pewnie nie uda się jej przekonać o tym Whitta i reszty sztabu, miała jednak nadzieję, że stryj ją poprze.

- Dla wielu ludzi jego słowa... - spojrzała na ekran, gdzie Avamore wciąż głosił swoje kazanie, a potem na senatora - ..nie są fantazją szaleńca. Dla nich jest to prawda objawiona, płynąca wprost od Boga przez usta Avamore'a. To prorok, wybrany syn boży. A on powtórza tylko to, co wszyscy od małości słyszeliśmy w kościele, czyli proroctwa Apokalipsy świętego Jana. Taka ponura baśń o końcu świata, która być może kiedyś się spełni... przynajmniej chrześcijanie powinni w to wierzyć. A on umiejscowił to w czasie i personifikuje symboliczne postaci. Przecież według Avamore'a stryj jest Bestią. To konkret.

- Wiara w nadchodzący koniec świata ma swoich zwolenników - powiedział McCord - ale... żeby ktoś kojarzył te proroctwa ze mną? Jak ktoś może dokonać takiego przeskoku? I jak można poważnie traktować kogoś, kto to zrobił?

- Kładąc nacisk na nadejście nowego milenium, do starczyliśmy ludziom pokroju Avamore'a pokarmu. Ty

-

- Do niego nic nie mam - powiedziała Robin - tylko do tego, co głosi. - Położyła swoją torebkę na szafce obok drzwi i weszła do salonu. - Wczoraj wieczorem zginął Gus. Mógłby to być równie dobrze stryj Jim. I ludzie tacy jak ten... - Spojrzała na postać na ekranie.

- Tacy ludzie są odpowiedzialni za atmosferę nienawiści, prowokują do podkładania bomb. Do zamachów na mojego stryja.

Nikt się nie odezwał. Whitt opuścił głowę i utkwiał wzrok w kawie. Katie wciąż z fascynacją patrzyła w ekran. Paul odwrócił się i Robin nie mogła zauważyć wyrazu jego twarzy. Było jednak oczywiste, że wszyscy poczuli się zakłopotani jej wybuchem. Nie pasował do ich stylu. O takich ludziach jak Avamore zwykli mówić z lekceważeniem, uważali ich za niegroźnych dziwaków, za śmiesznych fanatyków. Może tak było, ale we wczorajszym wydarzeniu nie było nic zabawnego.

- O co chodzi? - spytał Jim McCord. Stał w drzwiach prowadzących do sypialni i patrzył prosto na Robin.

Widać było, że właśnie wziął prysznic. Jego gęste włosy były ciągle wilgotne, a policzki zarumienione po goleniu. Miał na sobie białą koszulę i ciemny krawat w paski, ale jeszcze nie założył marynarki. Stało się jasne, że słyszał słowa Robin.

- Wielebny Avamore przyrównuje cię teraz do Bestii  
- powiedziała. - Uważam, że takie szerzenie nienawiści doprowadziło do tego, co wydarzyło się wczoraj wieczorem.

- Robin, nie można tak mówić - zaprotestował Whitt.

i

chciałby cię skrzywdzić? - spytała. Inni milczeli, jakby uznali, że to dotyczyło tylko Robin i jej stryja... lub też o wszystkim już wiedzieli. - Stryju?

McCord sam zastanawiał się niejedną raz, dlaczego ktoś, komu przed trzydziestu laty uratował życie, teraz chciałby go zabić.

- To nie musi być ktoś z drużyny. Myślę, że również nikt z jednostki... - Przerwał na chwilę, a potem, innym już tonem, kontynuował: - Niektórzy weterani wietnamscy stali się skrajnymi pacyfistami, są też tacy, którzy znienawidzili Stany Zjednoczone. Ja natomiast podczas wojny jeszcze bardziej pokochałem i doceniłem ten kraj. I jeszcze usilniej zacząłem popierać armię.

Znowu nikt nie zareagował, może ze względu na emocjonalny ton jego głosu.

- Jednak nie popierają moich poglądów i uczuć - dodał po chwili. - Wielu nie podoba się, że chcę poprawić naszą gotowość bojową, ponieważ zmniejszy to fundusze na programy społeczne. Zdaję sobie z tego sprawę. Myślę więc, że nie musi to dotyczyć Wietnamu, a nawet spraw wojskowych. Wielu ludziom nie podoba się to, co proponuję dla naszego kraju. Moje poglądy nie są tajemnicą. Albo zwyczajnie mnie nie lubią - przyznał



cicho. - Wystarczy przyjrzeć się temu, co dzieje się przed hotelem. Posłuchać, co mówią. Tak już jest w polityce. Wierzysz w coś mocno, z pasją, i natychmiast znajdzie się ktoś inny, kto równie silnie wierzy w coś przeciwnego.

- Senatorze, wystarczająco silnie, by pana zabić?  
- spytał Paul Farley.

-

zaś, jako przywódca nowego typu, zdolny do podejmowania trudnych decyzji, stałeś się wręcz wymarzonym obiektem ich zainteresowania. „Nowy przywódca na nowe milenium” - powtórzyła z sarkazmem slogan.

- A ta znowu to samo - powiedziała Katie wystarczająco głośno, by Robin ją usłyszała.

- Ciagle uważasz, że przesadzam? Nawet po tym, co się stało wczoraj?

- Wczoraj stała się tragedia - wtrącił Whitt. - Obiecuję ci, że podejmiemy wszystkie środki ostrożności, by nic takiego już się nie wydarzyło.

- Skontaktowałeś się z FBI? - zapytała.

- Federalni już się zaangażowali w sprawę- powiedział senator.

- Od kiedy? - spytała zaskoczona.

- Zanim wyjechałem z Teksasu.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale nie chciałem cię martwić.

To było możliwe, szczególnie po tym, jak poinformowała go o swojej ciąży.

- Co sądzą o wczorajszym zamachu? - spytała.

Senator milczał przez kilka sekund. Robin wiedziała, że nadal chce ją chronić, ale musiał już zrozumieć, że nie może nadal wszystkiego ukrywać. Ostatecznie wczoraj to ona była bliższa śmierci niż on.

- Sprawdzają, czy jeszcze ktoś z mojej drużyny pozostał przy życiu - powiedział.

- Jeszcze ktoś? Z Wietnamu? - Przez chwilę rozważała jego słowa. - Dlaczego ktoś z twojego oddziału

-

Hinkley. Biedni nieudacznicy, którzy nigdy nic nie osiągnęli.

- Tak więc sugerujesz, abyśmy... nic nie robili? - spytała Robin. - Po prostu czekali na następną próbę?

- FBI wie, co stało się wczoraj. Zajmują się tym. Dziecko, z tego, że ktoś raz próbował, jeszcze nie wynika, że znów spróbuje.

- Od tej chwili zastosujemy wszystkie środki ostrożności, by nic podobnego się nie zdarzyło - obiecał Whitt.

- W takim razie zacznijmy od usunięcia tych ludzi z chodnika - zażądała Robin.

- Nie możemy narażać się na zarzut, że dławimy wolność wypowiedzi - zaproponował Whitt.

- Zastosujcie prawo, które wykorzystuje się do usuwania demonstrantów spod klinik aborcyjnych - rzuciła Robin.

- Sprytna dziewczyna - powiedział senator, patrząc na Whitta.

- Wychował mnie całkiem sprytny facet - mruknęła Robin. - Tyle że nie bardzo potrafi zadbać o siebie.

- Nie można żyć cały czas w strachu. W przeciwnym razie, umierając uświadomisz sobie, że tak naprawdę nie żyłeś, tylko się bałeś.

Aluzja do niej i Jareda? To było w stylu McCorda. Nie mówić wprost, ale coś sugerować, popychać w jakimś kierunku, który był mu bliski.

- Zastosujemy wszystkie środki, by od tej chwili kampania przebiegała bez zakłóceń - powtórzył Whitt. Robin spojrzała na jego swojską, szczerą twarz.

- Czy mam ci wymienić polityków, którzy z tego powodu zginęli? - odparł McCord. Na ustach miał uśmiech, lecz jego oczy były poważne.

Znowu nikt nie odpowiedział. Lincoln, John i Robert Kennedy, Reagan, Ford... Te listę można by ciągnąć długo. Politycy, którzy zginęli w zamachach lub też cudem uniknęli śmierci.

- To, co stało się wczoraj, wcale nie musi mieć nic wspólnego z tym, co on z siebie wypluwa - powiedział McCord, wpatrując się w telewizor. - Lub z tym, co głoszą ci szaleńcy sprzed hotelu. Albo z Wietnamem.

- W takim razie... - Robin zawahała się. - Ponieważ ktoś chciał cię wczoraj zabić, musi mieć jakiś powód.

Tylko ustalenie, dlaczego ktoś podłożył bombę, może doprowadzić do odkrycia sprawcy. Inaczej będą błąkać się po omacku. Setki, tysiące podejrzanych...

- Może chodzi o to, że znalazł się ktoś taki jak ja  
- zastanawiał się McCord. - Ktoś, kto ma wizję, jak rozwiązać najważniejsze problemy tego kraju. To może się bardzo nie podobać. Niektórzy nie mogą znieść, gdy jakiś polityk zdobywa rzesze zwolenników. Sukces wywołuje wrogie reakcje. Inny polityk lub partia oraz nie które media przystępują do wojny. Chcą zniszczyć to, co ktoś inny osiągnął. Zniszczyć jego samego.

Przerwał na chwilę, zapatrzył się w okno. Wreszcie powiedział spokojniejszym tonem:

- Może to być też ktoś, kto myśli, że zabijając człowieka podziwianego przez innych, w końcu sam coś osiągnie. Pełno jest takich w historii. Oswald, Bremer,

pod samochód. Jeśli, co było tylko jedną z hipotez, dokonał tego ktoś z tłumu demonstrantów.

- Do cholery - mruknął Jared.

Simpkins zaśmiał się.

- Wiesz lepiej ode mnie, że to nie jest prosta sprawa. Nie oczekiwałeś chyba, że będziesz miał szczęście i na filmie zobaczysz, jak ktoś podkłada bombę.

- Zawsze trzeba mieć nadzieję - powiedział Jared.

- Popierasz McCorda?

Jared spojrział na kawałki bomby rozłożone na stole jak elementy łamigłówki.

- Nie zastanawiałem się nad tym.
- Myślałem, że skoro jechałeś w jego limuzynie...
- Ktoś, kogo znam, pracuje dla McCorda - wyjaśnił.
- Ta kobieta z samochodu? Bratanica senatora?
- Tak.
  - Skłaniałem się ku McCordowi - powiedział Simpkins. - Aż do tej historii z Wietnamu. Niezależnie od tego, co mówi, nie sądzę, byśmy kiedykolwiek dowiedzieli się, co tak naprawdę tam się wydarzyło. Opowiada o tym po trzydziestu latach, kiedy nie ma już nikogo, kto mógłby zaprzeczyć. Przynajmniej nikt się nie zgłosił. Może czekał z wyjawieniem tej historii do chwili, gdy zabrakło świadków?

Od czasu ujawnienia sprawy media poszukiwały ludzi, którzy przeżyli tą niesławną ekspedycję, na razie jednak nikt się nie odnalazł.

- Z tego, co o nim wiem, wydaje się być człowiekiem honoru - powiedział Jared, przypominając sobie charyzmę senatora z Teksasu. I to, jak Robin kochała

W końcu Whitt doczepił swój wóz do zaprzęgu McCorda i wiele by stracił, gdyby stryj Jim wycofał się z wyścigu do Białego Domu. Robin mu ufała.

Poza tym, miała swoją własną tajną broń, czyli faceta, którego Emory i stryj Jim nawet nie brali pod uwagę, a który wiedział o szaleńcach konstruujących bomby dużo więcej niż ktokolwiek z nich. Faceta, który dla FBI mógłby służyć za eksperta.

- Nie sądzimy, by zastosował włącznik czasowy - powiedział Bradley Simpkins. - Nie znaleźliśmy żadnego śladu. Myślę, że zapalnik zadziałał na zdalny sygnał radiowy.

Przyglądali się fragmentom bomby zebranych na miejscu wybuchu. Fachowcy pracowali nad nimi przez cały dzień. Na razie mogli podać tylko wstępne wnioski.

Zapalnik sterowany radiem, pomyślał zaskoczony Jared. Był przekonany, że czas wybuchu wyznaczono, biorąc pod uwagę fakt, że senator często się spóźniał.

Byli tylko kilka przecznic od hotelu, kiedy Robin nakazała Gusowi podjechać do krawężnika. Ulica była zatłoczona, a ponieważ nie podali kierowcy, dokąd jada, więc nie spieszył się. Tak więc możliwe, że...

- Z hotelu? - naciskał Jared.

- Nie da się tego aż tak zawęzić - powiedział Simpkins, wzruszając ramionami. - A poza tym taśmy nie pokazują nic podejrzanego.

Jared poprosił rano, by wydział zwrócił się o kopie filmów z przybycia senatora. Miał nadzieję, że kamery uchwycą coś, co podpowie, kto mógł podłożyć bombę

i

- FBI? - Jared był zaskoczony.

- McCord ubiega się o prezydenturę.

- Jeszcze nie - powiedział Jared, starając się przypomnieć sobie, jakie przepisy obowiązują w takim przy

padku. - Nie oficjalnie. Ale jest senatorem Stanów Zjednoczonych. Myślę, że to jest powód.

- Posłuchaj - kontynuował Simpkins - z tego, co ten człowiek powiedział, wnioskuję, że zanim to cudeńko wybuchło, już prowadzili jakieś śledztwo.

- Przeciwko McCordowi? Albo komuś z jego sztabu? Potrzęsnał głową.

- Nie. O ile dobrze się domyśliłem, nie po raz pierwszy ktoś starał się wyeliminować McCorda z wyścigu.

- Jeszcze jedna bomba? - zadał oczywiste pytanie Jared, sądząc jednocześnie, że chodzi o człowieka, o którym wspomniała Robin, czyli o brata dowódcy McCorda z Wietnamu.

- Nie podał żadnych szczegółów. Mogłem ci przekażać tylko moje spekulacje. Nic więcej nie wiem.

- Dziękuję, będę ci zobowiązany.

- To następnym razem przynieś mi coś naprawdę interesującego. Jakieś wstrętne, podstępne urządzenie, w które będę mógł wbić swoje zęby. Prawdziwe wyzwania intelektualne.

- Właśnie opisałeś mój najgorszy sen - roześmiał się Jared.

- No cóż, każdy z nas ma swoje koszmary - powiedział Simpkins.

- Masz rację.

-

swojego stryja. Zwykła lojalność nakazywała mu bronić McCorda.

- Nie istnieje takie zwierzę jak honorowy polityk
- zaprotestował Simpkins. - To jest sprzeczność sama w sobie.

Jared nie miał ochoty się spierać.

- Zadzwoń do mnie, kiedy z tym skończysz. -

Wskazał na fragmenty bomby.

Byle dotrzeć do Nowego Roku, pomyślał. Potem Robin i dziecku nic już nie będzie zagrażać...

Mimowolnie przez głowę przemknęły mu jej słowa: „Mam przeczucie... że wydarzy się coś złego... strasznego”.

- Jasne, gdy tylko coś będę wiedział.

- Cokolwiek, nawet jeśli będziesz uważał, że nie wiele to da.

Simpkins spojrzał na niego z uwagą.

- Sprawa osobista? - zapytał.

Jared przytaknął po kilku sekundach wahania.

- To nie jest najlepszy pomysł.

- Nie mam wyboru - powiedział Jared. - Zadzwoń, jeśli przyjdzie ci cokolwiek na myśl. Będę ci wdzięczny.

- Ruszył do wyjścia.

- Powiedziałeś „cokolwiek”? - zatrzymał go w progu Simpkins.

Jared odwrócił się.

- Tak. Jest coś?

- Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale pewnie z uwagi na pozycję McCorda FBI pytało, co wiemy na ten temat.

-



gdy spoglądał na Robin. - Dziecko, nie bierz tego tak poważnie. Powiedziałem ci dziś rano, że wszystko jest opanowane. Whitt też ci to mówił.

- Tak samo mi wmawiałeś, że sprawa Jake'a Edwardsa nie ma żadnego znaczenia. A była to oczywista nieprawda. Teraz dowiaduję się, że jeszcze przed wczorajszym zamachem otrzymałeś kolejne pogróżki. Od kiedy to trwa? - spytała.

McCord zacisnął usta.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Pierwsze ostrzeżenie przyszło przed Świętem Dziękczynienia, kiedy wszyscy byliśmy w Altamirze. Do diabła, zignorowałbym całą sprawę, gdyby nie... - Przerwał, jakby spostrzegł, że powiedział więcej, niż zamierzał.

- Gdyby nie co? - dopytywała się Robin.

- Gdyby nie chodziło o Olivie.

- Grozili Levi? - spytała Robin z niedowierzaniem.

- Pomyśleli, że podwinę ogon i ucieknę. Tak, przestraszyłem się, ale też dostałem furii.

- I? - zapytał Jared.

- Posłałem kogoś, kto się nią zaopiekował.

- Tak więc nie dokonano żadnej próby...

- Nie powiedziałem tego - przerwał McCord Jaredowi. - Powiedziałem tylko, że rozwiązanie, jakie obmyśliłem dla ochrony Levi, sprawdziło się.

- Czy wiesz, kto za tym stał? - spytała Robin.

- W te dwie sprawy i jeszcze jedną, która nastąpiła później, zamieszany był pewien człowiek.

- Później? - spytał Jared.

- Próbowali jeszcze raz, ale chcieli dobrać się do

-

- To nie pierwszy raz próbowano pana zabić. Mógł pan o tym wspomnieć, pokazując mi ten list.

McCord najpierw spojrział na Robin i dopiero potem znów zwrócił się do Jareda.

- Myślałem, że to już skończone. Myśleliśmy, że wszyscy, którzy byli w to zaangażowani... że wszystki mi się zajęto.

- W co zaangażowani? - pytał Jared.

Wiedział, że senator nie chce niepokoić Robin, jednak Jared, by skutecznie ją ochraniać, musiał wiedzieć wszystko.

- W to, co stało się w Teksasie - powiedział McCord wymijająco.

- Co dokładnie się stało, senatorze, jeśli mogę wiedzieć? - spytał z ledwo ukrywanym sarkazmem.

Siedzieli w hotelowym apartamencie McCorda, wreszcie sami, tylko we troje. Jared ciągle był rozdrażniony faktem, że senator nie powiedział mu wszystkiego jasno. Jeśli nie zamierzał wyjawić prawdy, to dlaczego pokazał mu list z pogrozkami?

Być może chciał go uczulić na bezpieczeństwo Robin, ale nie zamierzał dopuszczać go do wszystkich tajemnic. To nie jest w porządku, pomyślał Jared. Powinien wiedzieć wszystko, by skutecznie wykonać swoje zadanie.

- Było dwóch ludzi, którzy nie chcieli, bym kandydował - powiedział McCord.

- Postanowili pana powstrzymać fizycznie?

- Można tak powiedzieć - odparł McCord. W jego oczach pojawiły się iskierki rozbawienia, przynajmniej

-

- Darlene? - spytał Jared.

- Stara przyjaciółka. Agent FBI. Poprosiłem ją, by przyjechała na moje ranczo i pomogła mi coś zrobić z tymi pogroźkami. No i wtedy rozpętało się piekło. Zaatakowali mnie i ją.

- „Oni”, czyli kto? Ilu ludzi brało w tym udział?

- spytał Jared.

- Szef ochrony mojego rancza okazał się bratem człowieka, którego musiałem zastrzelić w Wietnamie.

- McCord odpowiadał na pytanie Jareda, ale nie odrywał wzroku od Robin. - Współpracował z Billym Bobem Larsonem, który miał porwać Ixvi. Billy też należał do naszej drużyny w Wietnamie. Jeden z tych, którzy po powrocie z wojny mieli problemy. Całe mnóstwo problemów.

- Z powodu tego, co stało się podczas tamtej ekspedycji? - spytała Robin.

McCord spojrzał na nią, jakby chciał zrozumieć jej myśli i uczucia.

- Być może - przyznał. - A może nie. Nie przeczę, że podczas tej... Myślę, że to możliwe.

- Larson winił ciebie - powiedziała.

- Do diabła, Billy Bob winił wszystkich. Pojechał na wojnę jako zupełnie dziecko, nic nie umiał, zasmarkany dzieciak, zupełnie nie przygotowany na to, co się tam

działo. W głęboki, fundamentalny sposób Wietnam go odmienił, jak również całe jego życie. Do domu wrócił nie ten człowiek. Przez te wszystkie lata nienawidził mnie, pewnie dlatego, że potrafiłem ułożyć sobie życie, a nawet stałem się człowiekiem sukcesu, podczas gdy

-

mnie zamiast do Levi. Tym razem byłem zdecydowany, by złapać go, niezależnie od tego, kto to mógł być. I zrobiliśmy to.

- My, to znaczy kto? - spytała Robin.

Senator znowu spojrzał na nią.

- Ja i Clint Richards. - Zwrócił się do Jareda. - Clint jest miejscowym szeryfem. I... moim synem - powiedział cicho.

- Twoim synem? - powtórzyła Robin zaskoczona.

- Kolejna stara tajemnica. Nie jestem z niej dumny. Od chwili przyjazdu do Nowego Jorku zastanawiałem się, jak ci o tym powiedzieć. Clint jest jednym z powodów, dla których chcę, byście się dogadali i razem wychowali dziecko. Kochanie, nie jest dobrze, kiedy dziecko dorasta bez ojca. Nie zrozum mnie źle, naprawdę jestem dumny z Clinta. Wyrósł na dzielnego i porządnego faceta, ale... choć jest moim synem, nie mogę sobie przypisać żadnej zasługi w jego wychowaniu, ponieważ mnie przy tym nie było. Straciłem to wszystko. I w rezultacie on ma żal do mnie. Rozumiem to.

- Stryju Jimie... - szepnęła wciąż oszołomiona Robin.

- Rozmawiałem z Clintem. Wiemy, że nasze pokrewieństwo wyjdzie na jaw i gazety opiszą tę historię. Gdyby rzeczy miały się inaczej... - McCord zawahał się, zaciskając usta. - Planowałem, by Clint i Levi byli tu ze mną podczas ogłaszania mojej kandydatury, lecz w tej sytuacji...

- Ale ufasz Richardsowi.  
- Ufam mu, a także Darlene.

-

- Ilu z tej dwunastki powróciło z ekspedycji?

- Pięciu - powiedział cicho McCord.

- Pan, Larson. Kto jeszcze?

- Carl Bolton, Frank Reamer i John Stover.

Jared, tak jak czuł ciarki na plecach, kiedy wiedział, że gdzieś jest podłożona bomba, tak i teraz przeszył go dreszcz.

- Jakie były ich specjalności, senatorze? W czym specjalizowali się ci trzej? - spytał, znając z góry odpowiedź.

- Stover zajmował się łącznością, Reamer był sanitariuszem, a Bolton pirotechnikiem.

- Trafiony - powiedział cicho Jared.

-

on wręcz przeciwnie. Gdy więc zwrócił się do niego brat Hala Edwardsa, z pewnością nie musiał długo go namawiać. Ale Larson i Edwards już nie żyją, dlatego...

- Być może jest jeszcze ktoś, kogo Edwards „zatrud

nił". Kogoś, kto przyszedł za tobą aż tutaj - zasugerował Jared. - Kogoś, kto krzychał tamtej nocy.

- Nie wiem, dlaczego któryś z nich...

- W tej drużynie było dwunastu ludzi - przerwał mu Jared. - Mam rację, senatorze?

- Zgadza się.

- Proszę mi o nich opowiedzieć.

- Dowódcą był Edwards. Wszyscy nazywali go Czubkiem. Nie w jego obecności, ale musiał wiedzieć, co o nim myślimy. Ja byłem zastępcą. Pozostali byli sierżantami, specjalistami w swoich dziedzinach.

- Działaliście za linią wroga, jak rozumiem.

- Na ogół. Naszym zadaniem było wspieranie miejscowych jednostek. Szkolenie, rekonesans oraz bardziej.. . delikatne zadania.

- I podczas tej ekspedycji zaczęło się dziać coś nie dobrego.

- Nie coś - poprawił McCord. - To z Edwardsem stało się coś złego. Oszalał.

- Dlatego zaczęli ginąć ludzie.

- Dobrzy chłopcy umierali tylko dlatego, że ich dowódca zwariował. Kiedy zobaczyłem, że właśnie chce rozstrzelać jednego ze swoich żołnierzy, który odmówił wykonania szaleńczego rozkazu, równoważnego z pewną śmiercią, postanowiłem, że Edwards już nikogo więcej nie zabije.

-

dowi o człowieku w mundurze polowym, który próbował wciągnąć ją z powrotem w tłum.

Jared był przekonany, że brodacz, który ze względu na wiek mógł służyć w Wietnamie, miał coś wspólnego z tajemniczym okrzykiem: „Hej, Jimmy”. A także z bombą.

- No, to sprawdziliśmy - powiedziała Robin.

Jared polecił policjantom kontrolującym teren wokół hotelu, by szukali brodacza i wypytywali o niego. Zrobił to po tym, jak McCord poinformował, że pirotechnik ich oddziału był jedną z osób, które przeżyły.

Robin nadal nie rozumiała, dlaczego McCord, w przeciwieństwie do Jareda, natychmiast nie skojarzył Boltona z bombą podłożoną pod limuzynę. Może dlatego, że trudno mu było uwierzyć, by jeszcze ktoś z drużyny, poza Billym Bobem Larsonem, mógłby życzyć mu śmierci. Przecież ten facet zawdzięczał późniejszemu senatorowi życie...

Oczywiście to, że Carl Bolton był pirotechnikiem i przeżył ekspedycję, nie oznaczało jeszcze, że maczał palce w zamachu. To było tylko przypuszczenie. Nie było nawet wiadomo, czy Bolton jeszcze żyje. Nawet FBI nie zdołało dotrzeć do nikogo spośród pozostałych członków oddziału. Przynajmniej na razie.

- Wszystko wydaje się pasować - powiedział Jared.

- kiedy znajdzie się coś, co to wszystko powiąże...

- Jared, nie mamy nic. To tylko teoria. Żadnych dowodów, zeznań, nic. Jest jedynie jakiś brodacz, o którym wiemy tylko tyle, że jest przeżarty nienawiścią.

- Jest wyraźny schemat - upierał się Jared.

-

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Mówię ci, nie ma go tutaj.

- Jeszcze raz - poprosił Jared.

- To nic nie da. Nie ma tutaj człowieka, który chwycił mnie za rękę - powiedziała znużonym głosem Robin.

- Jesteś pewna, że byś go rozpoznała?

W mieszkaniu Jareda oglądali taśmy, na których zarejestrowano sceny przed hotelem. Limuzyna odjeżdża i przyjeżdża, senator wsiada i wysiada, Robin... oraz tłum dziennikarzy i demonstranci.

- O ile nie ogolił brody, nie ostrzygł włosów i nie zmienił ubrania. Jeśli spytasz mnie, czy ten facet w prążkowanym garniturze od Armaniego to on, odpowiem, że to możliwe. Jeśli spytasz się mnie, czy człowiek, którego wtedy widziałam, jest na tej taśmie, odpowiem, że nie, nie ma go tutaj.

Ton jej głosu był ostrzejszy, niż chciała, czuła się jednak głęboko rozczarowana. Wszystko, czego próbowali w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, kończyło się fiaskiem, a Nowy Rok był coraz bliżej.

- Cóż, trzeba było sprawdzić - powiedział Jared.

Też była bardzo zawiedziona, cóż jednak mogła na to poradzić. Teraz prawie żałowała, że opowiedziała Jare-

ogłosił swoją rezygnację. A przecież jedno wyklucza drugie, bo gdyby zamach się udał...

- Dobry Boże! - przerwał jej gwałtownie.



- O co chodzi? - Była przerażona wyrazem jego twarzy.

- Oni nigdy nie zamierzali zabić McCorda. Dotarło to do niej dopiero po sekundzie. Poczowała się bardzo dziwnie, jakby na moment zamieniła się w kamień.

- Ja? - wyszeptała. - A więc jednak to mnie zamierzali zabić?

Już przedtem rozważali taką możliwość, lecz teraz zamieniła się ona w pewność. W ten właśnie sposób zamachowcy postanowili ostrzec jej stryja. Byli gotowi poświęcić dwa życia, by powstrzymać jednego człowieka od kandydowania na prezydenta. Kiedy doszła do siebie po pierwszym wstrząsie, zrozumiała, że zginąłby jeszcze ktoś.

Jared, który również był w samochodzie. A Gus... Gus już nie żyje. Gotowi byli zamordować wielu ludzi, byle tylko senator McCord zrezygnował ze swoich ambicji. By zrozumiał, że jego upór przynosi śmierć jego ?i Miższym. A on sam pewnie był na końcu tej upiornej listy...

- Nie mogli dotrzeć do lxvi, więc zabrali się za mnie. I gdyby nie ta nasza głupia kłótnia...

- Już dobrze - powiedział szybko i chwycił ją w ramiona. Z jej oczu płynęły łzy.

- Ci ludzie są chorzy - wyszeptała. - Wysadzi li w powietrze samochód, nie zastanawiając się,

-

- Schemat? - powtórzyła ostrożnie.

- Grozili rodzinie McCorda, by zmusić go do rezygnacji. Wiedzą, że groźby pod jego adresem tylko go

rozjuszą, jednak co innego, gdy wzięli na muszkę jego córkę i ciebie.

- Nikt mi nie groził.

- Nie, nie groził, tylko próbował wysadzić w powie trze. A wcześniej brodacz usiłował wciągnąć cię w tłum. To mało? Co by postanowił McCord, gdybyś została ranna w czasie tych zamieszek?

- To nie ma żadnego sensu - powiedziała Robin.

A może jednak? - pomyślała. W ujęciu Jareda wszystkie na pozór niezrozumiałe wydarzenia układały się w pewien logiczny ciąg.

- Co by zrobił McCord, gdyby tak się stało? - zapytała znowu. - Gdybyś została ranna? Gdybyś straciła dziecko?

- Nikt nie wiedział o tym, że jestem w ciąży. - Położyła rękę na brzuchu.

- Z pewnością wiedzieli jednak o twoim pokrewieństwie z McCordem. Uznali, że to jest jedyny sposób, by zmusić go do wycofania się: skrzywdzić ciebie lub Levi.

- A gdy im to się nie udało, postanowili go zabić?

- spytała z niedowierzaniem.

- Właśnie taki schemat zastosowali w Teksasie. Wciąż nie mogła uwierzyć, że ktoś gotów był zabić McCorda, byle tylko nie został prezydentem.

- Coś tu nie gra, Jared. Organizują zamach na stryja, ale z drugiej strony domagają się, by w sylwestrową noc

zapowiedziało. Wtedy pokazuje się swoją siłę. Tak na to patrząc, atak na ciebie był bez sensu. A przecież musiał czemuś służyć.

- Czemu? - spytała.

- Nie wiem. Ale tu jest jakiś ukryty cel.

- Próbujesz dopasować logikę do szaleństwa - powiedziała po dłuższej chwili milczenia. - Szaleńcy mogą działać bez powodu.

- Zawsze jednak czymś się kierują. Zawsze coś chcą osiągnąć.

Mówił o ludziach, którzy podkładają bomby. Jared wiedział o nich dużo i nie zamierzała z nim polemizować, ale też wiedziała swoje. Ktoś, kto podłożył bombę pod limuzynę, był szaleńcem.

Ktoś taki jak Avamora na pewno jest przekonany, że jego słowa mają sens. Tak samo brodac albo Billy Bob Larson. Ktoś, komu cierpienie odebrało poczucie rzeczywistości. Ktoś żyjący w świecie koszmarów, jakich ona nie jest w stanie sobie wyobrazić, w świecie, w którym wysadzanie ludzi w powietrze z powodów politycznych jest uznanym sposobem działania.

To nie jest jej świat. Ani ich dziecka.

- Jutro znowu spróbujemy - obiecała. - Znowu przyjrzymy się taśmom. Sprawdzimy w FBI. Zrobimy coś.

Cokolwiek, pomyślała. Robić cokolwiek, byle nie poddawać się szaleństwu i ciemności.

Ton jej głosu wyraźnie wskazywał, że jest na granicy wytrzymałości.

Jared przytulił ją, pocałował, zaczął delikatnie pieścić. Przymknęła oczy, odpowiedziała na jego zachętę.

kto w nim siedzi. Oni są zdolni zrealizować swoje pogroźki.

Otworzyła oczy i przytuliła się do nagiej piersi Jareda. Wsłuchiwała się w bicie jego serca.

- Myślałem, że śpisz - mruknął.
- Trochę się zdrzemnęłam, to wszystko.

Znowu zaczęli się kochać, tym razem powoli i bez pośpiechu. Starali się za pomocą seksu zagłuszyć koszmar ostatnich dni. I porażającą świadomość, że najgorsze dopiero przed nimi. Milenijne przemówienie senatora...

Ukradziony czas. Cenne minuty uratowane przed zimnym, cuchnącym oddechem śmierci. Chcieli się nimi cieszyć, zapamiętać je na zawsze.

- Myślałem... - powiedział Jared.
- Nie - wyszeptała, zamykając oczy, chociaż w po koju panowała prawie całkowita ciemność.
- Dlaczego nie ostrzegł McCorda? - zapytał.

Otworzyła z żalem oczy, wiedząc, że Jared nie zrezygnuje z dociekań. Był przecież policjantem i czuł się jakoś odpowiedzialny za to wszystko. Za to, że zbrodniarze nadal są na wolności. Robin to rozumiała.

- Ostrzegł - odparła, starając się skupić myśli.
- Ostrzegli go, mówiąc o sądnym dniu - powiedział Jared - lecz nie wspomnieli o tobie. Nigdy tego nie zrobili. Nie było więc groźby, tylko próba jej zrealizowania. To nie ma sensu. Gdy się chce kogoś zastraszyć,

sterroryzować, najpierw mu się grozi i ostrzega, a potem, gdy nadal jest oporny, wykonuje się to, co się

-

- Brad Simpkins. Siedzisz?

Spojrzał na Robin. Też się obudziła i najpewniej słyszała głos Simpkinsa.

- Już usiadłem - skłamał. Robin wykrzywiła usta.

- Pamiętasz, jak Unabomber podpisywał swoją robotę? Jak wybijał litery w metalu? W jakimś osłoniętym miejscu, gdzie wiedział, że je znajdują?

- Pamiętam - przyznał. O co chodzi Simpkinsowi? Zaczynał się domyślać. W ustach mu zaschło, serce zaczęło bić szybciej.

- Taak... - Simpkins przeciągnął słowo, najwyraźniej bawiąc się dramaturgią chwili.

Jeśli znalazł coś, co pomoże odkryć sprawcę, ma prawo do chwili triumfu, pomyślał Jared.

- Czy na tej bombie było coś podobnego?

- Nawet lepiej. Znacznie lepiej.

Nastąpiła kolejna przerwa. Brad konsekwentnie budował napięcie.

- Mamy odcisk palca, mój przyjacielu - powiedział cicho. - Wyraźny, jak odcisk stopy dziecka na szpitalnym świadectwie urodzenia.

- Właśnie tutaj - pokazał Simpkins, odsuwając się od mikroskopu, by pozwolić Jaredowi przyjrzeć się temu, co znalazł.

Brad miał rację. Odcisk był wyraźny, jakby został rozmyślnie umieszczony. To był podpis. Jak te inicjały, które Unabomber wybijał na każdej wysyłanej pocztą bombie.

- Czy już dałeś do sprawdzenia? - spytał Jared.

- Przejdziemy się, paniusiu? - spytał cicho. Jego żart nie był specjalnie wyrafinowany, ale okazał się bardzo potrzebny. Ot, taki zwyczajny, nic nie znaczący, normalny.

- Pamiętasz te nalepki na zderzakach? - zapytała. - „Dziecko na pokładzie”?

Roześmiał się.

- Zawsze uważałem, że to dość głupie.

Też tak myślała, ale to było kiedyś.

- Może zabierzesz dziecko na pokład? - zapytał.

Roześmiała się.

- A nie masz bomby przymocowanej do kilu?

Wisielczy humor. Policjanci często żartowali w sposób, który wręcz porażał przypadkowych słuchaczy. W ten sposób rozładowywali napięcie. Lecz gdy ktoś spogląda śmierci w twarz...

- Mam, i to kilka - powiedział zmienionym głosem.

- Gwarantuję ci wspaniałe eksplozje...

- Brzmi zachęcająco - szepnęła.

Zapomnieli o czasie, którego być może mieli już tak niewiele.

Jeszcze spali, kiedy zadzwonił telefon. Jared sięgnął po słuchawkę. Było już jasno. Do pokoju sączyło się słabe światło zimowego słońca.

- Donovan - powiedział tym razem głosem nie tak zniecierpliwionym.

- Nie uwierzysz. - Znał ten głos, ale nie potrafił przypisać go do konkretnej osoby.

- Kto mówi? - powiedział wreszcie.

-

- Tak - odparła Robin. - W miejscu, które uznał za wystarczająco pewne, że przetrwa wybuch.

- Czy da się to zrobić? - spytał Whitt.

- Najwyraźniej tak - powiedziała Robin.

Te informacje pochodziły oczywiście od Jareda. Robin wyraziła te same zastrzeżenia, i teraz powtarzała jego odpowiedzi.

- Ponieważ tak naprawdę to chce, by go złapano?

- Policja sądzi, że jest to rodzaj gry. Ten ktoś mówi: „Złap mnie, jeśli potrafisz”.

- Jego odcisków może nie być w archiwach.

- Nie wiem. Jared tu przyjdzie, kiedy już załatwi wszystko w laboratorium, i być może będzie wiedział coś jeszcze. Podałam wam to, co dotychczas ustalono.

Jared przyjechał do hotelu tą samą co ona taksówką. Demonstranci zostali rozproszeni i puste chodniki przed hotelem wyglądały dość dziwnie po dniach i nocach krzykliwych protestów. Robin jednak nie pozwoliła, by Jared odprowadził ją na górę. Uważała, że w hotelu jest bezpieczna.

James McCord, w obstawie agentów FBI, był na spotkaniu z organizacją weteranów. Jednak wiele pozycji \*.c względów bezpieczeństwa wykreślono z harmonogramu.

Ponadto McCord powiadomił swoją rodzinę w Teksasie o nowych groźbach i poprosił FBI, by jego najbliższym również przydzielono ochronę.

Robin była zadowolona, że nie musiała chodzić z ob-SvuvV, mimo że Jared był przekonany, iż bomba przeznaczona była właśnie dla niej. Dopóki znajdował się

- Chciałem, byś pierwszy to zobaczył. Mówiłeś, że to sprawa osobista.

- Tak - zgodził się Jared. - Czy zrobisz jeszcze coś dla mnie?

- Znowu będziesz mi zobowiązany. - Simpkins uśmiechnął się.

- Wyślij to do biura. Poproś, by wydostali z archiwum dokumenty ludzi z oddziału McCorda i porównali je z tym odciskiem.

- McCorda też?

- Wszystkich - powiedział cicho.

Simpkins uniósł w zdziwieniu brwi, ale po chwili skinął głową.

- Dam ci znać - obiecał.

- Za ile?

- Powiem, że potrzebujemy tego na wczoraj.

- Czy to pomaga?

- Nie, nigdy.



- To wspomnij o McCordzie.

- Odcisk palca? - powtórzył Whitt Emory.

- To musi być ktoś strasznie niedbały. Potrafi zrobić bombę, ale zapomina, by włożyć rękawiczki. Nawet ja tyle wiem - zakończył ze śmiechem Paul.

- To nie jest przypadkowe - powiedziała Robin. - Ludzie z laboratorium sądzą, że odcisk został tam złożony po to, by ktoś, czyli policja, go znalazła.

- Poczekaj chwilę - wtrąciła się Katie. - Mówisz, że ktoś skonstruował bombę i specjalnie zostawił na niej swoje odciski palców?

-

- Ktoś chce go zabić - przypomniał im Paul. - Nie nazwałbym tego ucieczką. Uznałbym to za racjonalne zachowanie.

- Jeśli chodzi o to... - zaczęła Robin, po czym ona również zawahała się, czy ma mówić dalej. Nie wiedziała, czy w tej właśnie chwili powinna podzielić się z nimi teorią Jareda, ale uważała, że ci ludzie zasługują, by wiedzieć wszystko to, co ona. - Tak naprawdę nie jestem pewna, czy oni chcą zabić stryja Jima.

- Czy to jest opinia twojego przyjaciela z oddziału pirotechnicznego? - spytała Katie. - Podkładają bombę pod samochód senatora, ale wcale nie chcą go zabić?

- Z pewnością nie chodziło im o Gusa - orzekł Paul.

- Może nie zależało im również na stryju Jimie.

- To znaczy? - zapytał Whitt.

- Jared sądzi, że to ja byłam celem - powiedziała.
- Już mówiąc to, zdała sobie sprawę, jak śmiesznie muszą brzmieć jej słowa dla ludzi, którzy nic nie wiedzieli o pogroźkach wobec Levi.
- Nie rozumiem - zdziwił się Whitt.
- Pogrożki wobec stryja nie odnoszą skutku. Może myślą, że podziałają groźby wobec rodziny.
- To wydaje się... nieco zbyt daleko idące - zaopiniowała Katie, z trudem hamując drwiący ton.
- Chcą, by się wycofał, a przy tym nalegają, by zrobił to publicznie - powiedziała Robin. - I to w wigilię JNowego Roku. Chcą, by zamiast ogłosić swą kandydaturę, publicznie się wycofał.
- Nie chcą, by kandydował - powiedział Whitt.
- 

przy niej, czuła się bezpiecznie. Jared przejawiał obsesyjną wręcz troskliwość, a poza tym znał wszystkie zawodowe kruczki, których agenci zapewne nawet nie wzięliby pod uwagę.

- W takim razie co robimy? - spytała Katie w ponurej ciszy.

Podniecenie wynikające z pracy dla najpoważniejszego kandydata z pewnością opadło. W małym sztabie Jamesa Marshalla McCorda zapanował podły nastrój.

Robin wiedziała, że niezależnie od wyników wyborów, również Jamesa Marshalla McCorda pozbawi to dużej części radości. Jego marzenie o zostaniu prezydentem, nawet jeśli się

spełni, będzie kosztować znacznie więcej, niż mógł przypuszczać.

Najpierw musiał przejść przez prasowe piekło wietnamskiej historii. Incydent, który nigdy nie miał ujrzeć światła dziennego, teraz już zawsze będzie elementem jego biografii i zawsze się znajdą tacy, którzy będą wątpić w jego honor i uczciwość.

Potem grożono jego córce Ołivii, natomiast Jared był przekonany, że próbowano zabić Robin.

No i śmierć Gusa. Robin widziała, jak te wydarzenia rzuciły cień na optymistyczną wizję przyszłości, jaką przedstawiał człowiek, którego kochała jak ojca. Stryj Jim wyglądał teraz na człowieka starego i zmęczonego.

- Pojedziemy do Iowa - powiedział Whitt. - I do New Hampshire.

- Tak więc myślisz... - Katie zawiesiła głos.

- Czy myślę, że senator zamierza zrezygnować? Nie, jeśli rozumiem McCorda. On nie ucieknie.

-

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Dlaczego dopiero teraz się o tym dowiadujemy? to z tych cholernych gazet? - grzmiał McCord następnego dnia rano, rzucając gazetę na stół konferencyjny w swoim apartamencie.

- Może dlatego, że dziennikarze poświęcili temu więcej wysiłku niż policja - powiedział Paul Farley.

- Albo więcej pieniędzy - zasugerował Whitt. - Potrząśniesz kabzą i zaraz pojawią się „fakty” wszelkiego rodzaju.

- A co z FBI? Czy nie sądzicie, że doszli do tego w ciągu ubiegłego tygodnia? Jak do diabła może my wiedzieć, czy to w ogóle jest prawda? - spyta! McCord.

- Myślę, że same fakty są prawdziwe - orzekł Whitt - natomiast problematyczne są wnioski, jakie z nich wyciągnięto.

- Fakt, że ci ludzie nie żyją, nie powinien być tak zaskakujący, wzięwszy pod uwagę nasz wiek - powie dział McCord. - I z pewnością nie powinno to być powodem tego rodzaju insynuacji.

- Cóż, czynią je bardzo ostrożnie - wtrąciła Katie. Prasa podała, że z czterech mężczyzn, którzy razem McCordem przeżyli tamtą ekspedycję w Wietna-

- Ale niekoniecznie pragną jego śmierci - powtórzyła Robin. Ponownie wyczuła, że jej nie dowierzają.

- Może nie chcą robić z niego męczennika? - zaskarżył Paul.

To mógł być powód, pomyślała. Ktoś chce go poniżyć, odebrać mu dobre imię. A gdyby McCord zginął w zamachu, jego wizerunek byłby ocalony. Stałby się człowiekiem niespełnionych nadziei, mężem stanu, któremu zbrodniarz uniemożliwił wypełnienie dziejowej misji.

- Następny Kennedy - powiedziała Katie.

- Nie wiem. Nie rozumiem ich sposobu myślenia, ale sądzę, że powinniśmy serio potraktować to, co mówią. Dokładnie to, co powiedzieli. Oni chcą, by ogłosił,

że nie będzie kandydował. Chcą, by powiedział, że nie nadaje się do wprowadzenia tego kraju w nowe tysiąc lecie. Tego właśnie chcą od niego.

- A jak nie? - spytała Katie.

To będzie sądny dzień, pomyślała Robin. Cokolwiek by to miało znaczyć.

To niejasne, a nawet śmieszne sformułowanie służyło za ostateczną groźbę. Sądny dzień, pomyślała znowu. Cokolwiek by to miało znaczyć, zostały do niego jeszcze tylko dwa dni.

kiedy człowiek, którego chcą wybrać na prezydenta, staje się ofiarą pogroźek.

- Gdyby to był „Times”, a nie taki szmatławiec...  
- powiedział Whitt.

- Dobrze wiesz, co to znaczy - przerwał mu gwałtownie McCord.

- Prawdopodobnie nic. Przynajmniej dla pańskiego twardego elektoratu.

- A jak zrezygnuję z kandydowania? - zapytał. - Jeśli stanę tu jutro wieczorem i powiem, że nie startuję. Wiesz, jak te szmatławce to zinterpretują?

Nikt nie chciał odpowiadać na to pytanie. Oczywiście McCord miał rację. Prasa połączy decyzję o niekandydowaniu z rewelacją, że trzech mężczyźni, którzy wyszli z dżungli z McCordem, nie żyją. Trzej ludzie, których życie ponoć uratował, są martwi i nie mogą już niczego potwierdzić ani niczemu zaprzeczyć.

- Sukinsyn - powiedział McCord cichym głosem.

- Senatorze... - rozpoczął Whitt, lecz senator mu przerwał.

- Jeśli wycofam się teraz, to na zawsze będą mnie wiązać ze śmiercią tych ludzi. I żadne sprostowania tu nie pomogą. Jeżeli nie zgłoszę jutro swojej kandydatury i nie odrzucę tych oszczerstw, nie przyrzeknę, że odeprę wszelkie oskarżenia, to znajdzie się w tym kraju pełno ludzi, którzy zawsze będą wierzyć, że miałem z tym coś wspólnego.

Ma niestety rację, pomyślała Robin. Gdyby McCord wycofał się, nieodwołalnie straciłby swą nieposzlakowaną reputację, na którą przez wiele dziesiątków lat

—

mie, trzech nie żyje. I wcale nie zmarli w sędziwym wieku.

William Robert Larson, zastępca szeryfa, został zastrzelony w Montanie niecały miesiąc temu. Frank Reamer, który nie należał do najbardziej uczciwych obywateli tego świata, został zabity przed sześcioma tygodniami podczas napadu rabunkowego. Wykrwawił się na śmierć w ciemnej uliczce w Detroit, parę przecznic od swojego mieszkania.

I wreszcie, niecałe trzy tygodnie temu, John Stover padł ofiarą wypadku samochodowego, kiedy jego furgonetka uderzyła we wspornik mostu. Warunki atmosferyczne były dobre, a badanie krwi nie wykazało, by Stover pił. Mówiono nawet o samobójstwie i spekulowano, że rozmyślnie skierował swój samochód na betonowy filar. Problem jednak w tym, że

nikt z przyjaciół i rodziny nie mógł się domyślić motywu, dla którego Stover miałby odebrać sobie życie.

Te dziwne zgony, które nastąpiły w okresie zaledwie kilku tygodni, wywołały lawinę plotek. Gazeta czyniła aluzję, wprawdzie subtelną i ostrożną, że ambicja może doprowadzić człowieka do morderstwa.

- Jak do diabła... - powtórzył McCord, potrząsając głową.

- Dobrą wiadomością jest to, że odnotowaliśmy wzrost w sondażach - powiedział Paul. - Niezbyt duży, ale zawsze...

- Dzięki temu? - spytała Robin z niedowierzaniem w głosie.

- Dzięki bombie - wyjaśnił Paul. - Ludzie nie lubią,

-

- Nie sędzę, byś mógł wycofać się bez poważnego... uszczerbku - powiedziała. - Jednak, stryju, tę decyzję tylko ty możesz podjąć.

Przytaknął, ciągle patrząc jej w oczy, jakby byli sami w pokoju.

To był długi dzień, pomyślała Robin, czekając na Jareda. Długi, brzydki dzień, podczas którego ta historia, rano będąca tylko artykułem w jakimś piśmidle, przeniknęła do poważnych mediów. Robin przez wiele godzin odpowiadała na telefony, mówiąc praktycznie to samo:

- Senator nie miał pojęcia o śmierci tych ludzi aż do pojawienia się tego artykułu. Jest wstrząśnięty i skonsternowany, ale wierzy, że te wypadki nie mają żadnego

związku z incydem w Wietnamie, o którym powie  
dział w ubiegłym tygodniu, a także z pewnością nie ma  
ją nic wspólnego z wyborami.

Brzmiało to całkiem dobrze. Chciałaby w to wierzyć.

Pracowała na górze przez ostatnie dwie godziny całkiem  
sama. Wreszcie nawet telefony, które przedtem dzwoniły  
nieustannie, ucichły nieco.

Wzięła torebkę i wyłączyła lampę na biurku. Przeszła przez  
pokój, by zgasić lampę stojącą na szafce. Słabe światło  
prześwitujące z sypialni senatora rzucało długie cienie na  
podłogę, sprawiając, że wszystko wyglądało dziwnie. Na tyle  
dziwnie, że usłyszawszy oczekiwane rzecież pukanie do  
drzwi, nerwowo podskoczyła. Wpuściła Jareda do środka. Po  
wyrazie jego twarzy Poznała, że już wie, co się dzieje.

ciężko pracował. Jeśli natomiast zostanie i podejmie twardą  
walkę z insynuacjami prasy, dzięki swej retoryce i charyzmie  
może wygrać. Choć nie będzie to łatwe.

Być może bezpowrotnie utracił już szansę na prezydenturę,  
ale może uratować swoje dobre imię.

Jeśli jednak nie zgłosi swej rezygnacji, ktoś będzie chciał  
zrealizować swe groźby...

Nikt nie wie, jak daleko zamierza posunąć się jego wróg. Ani  
kto nim jest. I dlaczego obrano sobie za cel właśnie McCorda,  
poza faktem, że ktoś nie chce, by został prezydentem.

- Czy myślisz, że to... - Robin wskazała na gazetę
- ma coś wspólnego z pogróżkami, które odebrałeś?

McCord spojrział z zaskoczeniem.



- Myślisz, że mogli to napisać, by zmusić mnie do rezygnacji?

- Czas publikacji jest podejrzany. Ciekawe, jakie mieli źródło informacji.

- Musimy to ustalić - powiedział Whitt. - Mam trochę kontaktów.

- Nawet jeśli dowiemy się, od kogo pochodzi ta historia - wtrąciła Robin - niewiele będziemy mogli z tym zrobić. Już to wydrukowali. Zgadzam się z Whitem. Podane fakty są zapewne bardzo bliskie prawdy. Pewnie zbyt bliskie, by można im zaprzeczyć.

- Tak więc zgadzasz się, że nie mogę się wycofać?

- spytał McCord.

Powinna być mile połączona, że właśnie ją zapytał o opinię w tak ważnej sprawie. Była tu nowicjuską, ale McCord wiedział, że wszelkie dobro leży jej na sercu.

- Nie chciałem cię rozgniewać - zreflektował się, zrozumiawszy, że przekroczył granice. - Porozmawiamy w domu.

Dom. Jego mieszkanie. Robin spędziła tam wszystkie noce od czasu wybuchu. Spała bezpiecznie w jego ramionach. Ale jeśli on potrafi uwierzyć w coś takiego...

- Myślę, że dzisiaj zostanę tutaj - oświadczyła chłodno.

- Co to ma znaczyć do diabła?

- Może potrzebuję być przez jakiś czas sama.

- Słuchaj, przykro mi, że to powiedziałem, ale nie

zostaniesz tu na noc. Nigdzie nie zostaniesz sama do czasu, kiedy to się skończy.

- Nic się nie wydarzyło w ciągu ostatnich trzech dni. Po prostu czekają na jego decyzję. Może to, co dostało się dzisiaj do prasy, miało wywrzeć na niego dodatkowy nacisk, ale cokolwiek się dzieje, to nie dotyczy mnie. Sam powiedziałeś, że ostrzegliby go, gdyby zamierzali mi coś zrobić. Nie ostrzegli wtedy i nie zrobili tego teraz.

Im dłużej mówiła, tym bardziej była przekonana o swojej racji. Poza tym, mimo tego wszystkiego, co się między nimi ostatnio wydarzyło, wciąż byli tymi samymi ludźmi, jakimi byli w momencie wybuchu bomby. Nie rozwiązali najważniejszej sprawy, która ich dzieliła. Byli więc sobie jakby... obcy.

Przez ostatnie dni przyglądała się, jak umiera marzenie. Od dzisiejszego ranka obserwowała śmierć reputacji człowieka, którego kochała. Człowieka, któremu

- Czytałeś gazety? - spytała.

- Popołudniówki. Jak McCord to przyjął?

- Jest wściekły. Myśli jednak, że teraz nie może się wycofać. Że nie może sobie na to pozwolić. Nie po tej historii.

- Zamierza zgłosić swoją kandydaturę?

- Nie powiedział tego. Przynajmniej nie słowami, ale widziałam to w jego oczach. Czuje się, jakby schwytano go w pułapkę. Jego reputacja będzie zrujnowana na

zawsze, jeśli teraz podwinie ogon i ucieknie.

Jared milczał przez kilka długich sekund, po czym spytał:

- Czy myślisz, że coś jest na rzeczy w tym, co mówią?

Skoro Jared mógł zadać takie pytanie...

- Jak mogłeś choćby o tym pomyśleć?

- Ponieważ przez całe popołudnie starałem się zgadnąć, kto jeszcze mógłby chcieć, by ci trzech ludzie nie żyli.

- Ty i wszyscy wokół zakładacie, że jest coś podejznanego w tych wypadkach - powiedziała zagniewana.

- Wiemy, co robił Larson, kiedy dosięgła go śmierć. Próbował porwać Levi. Dlaczego sądzisz, że pozostałe dwa incydenty nie były tym, co napisano, czyli wypadkiem i napadem rabunkowym?

- Bo jestem od piętnastu lat gliną.

Był policjantem i nauczyli go myśleć w ten sposób, ale w tej chwili oskarżał jej stryja o morderstwo.

- I właśnie dlatego nie zrezygnuje - powiedziała z gniewem. - Obawia się, że każdy uzna to za przyznanie się do winy.

stryj zgłosi swoją kandydaturę, będziemy musieli się spieszyć. To znaczy oni będą musieli - poprawiła się po chwili.

- Nie żal ci z tym się żegnać?

- Trochę - przyznała. - Jednak polityczna walka nie jest tym, co tak naprawdę chciałabym robić w życiu. Jest to zbyt...

- Niebezpieczne?

- Nie, nie o to chodzi. Zbyt wiele tu agresji i niena wiści. Ale może dotyczy to tylko tej kampanii. Zastana wiam się, co mogłoby się wydarzyć, gdybyśmy nie wy brali tematu milenium. Albo gdyby incydent wietnam ski nie został ujawniony.

- Naprawdę nie uważam, że McCord zabił tych lu dzi, by powstrzymać ich od mówienia - powiedział. Położył dłonie na jej ramionach i zaczął je delikatnie masować. - Przykro mi, że to zasugerowałem. To było by po prostu...

- Szalone - przerwała.

- Czasami, gdy ludzie czegoś bardzo chcą, potrafią się tak uwikłać, że... wszystko wydaje się im uspra wiedliwione.

Odsunęła się od niego.

- Nie miałem na myśli McCorda - dodał szybko.

- Kto jeszcze chciałby ich śmierci? - spytała.

To było fundamentalne pytanie. Odpowiedź na nie mogła wyjaśnić wszystko.

Jeśli to potrwa dłużej, zabraknie gorącej wody, po-mys'lał Jared. Ale najwidoczniej ani on, ani Robin nie

winna jest więcej, niż kiedykolwiek będzie w stanie odplacić.

- Po prostu... posłuchaj mnie - powiedział cicho, tonem, któremu zawsze trudno było jej się oprzeć. - Teraz nie potrwa to długo i potem, niezależnie od te go, co się wydarzy, będzie po wszystkim. Może

masz rację. Może nie masz nic wspólnego z tym, co się dzieje, ale co szkodzi zachować ostrożność przez jeszcze jedną noc. Dla dziecka, Robin, jeśli nie dla czegoś innego.

Przed tym argumentem trudno było się jej obronić. Miał rację. Chodziło tylko o jedną noc, być może ostatnią, jaką w ogóle spędzi z Jaredem.

Chciała tego. To było takie kuszące. Po tak ciężkim dniu marzyła tylko o tym, by wtulić się w ramiona Jareda i pozwolić mu, by się o nią zatroszczył. Może odzyska siły, kiedy to się skończy, ale teraz...

Skinęła głową. Na jego twarzy pojawiła się ulga. Odłożyła torebkę, a Jared poszedł do szafy, by wyjąć z niej płaszcz Robin.

- Gdzie się podzieli wszyscy? - spytał, spoglądając w ciemny korytarz prowadzący do jakby wymarłego salonu.

- Stryj Jim je kolację ze starym znajomym, byłym senatorem z Nowego Jorku. Reszta ludzi zapewne pakuje się.

- Pakuje się?

- Jadą jutro do Iowa. Wszyscy poza Whitem.

- Nie będzie ich tutaj podczas przemówienia?

- Nigdy nie było tego w planach. Nie ma czasu. Jeśli

-

wiedziałem Bradowi, by wzięli pod uwagę wszystkich żyjących, ale... FBI czegoś nie zrozumiało.

Czekała, nie mając pojęcia, co chce jej powiedzieć. Że sprawdzili również odciski palców stryja Jima?

- I kiedy wszystko porównali, dopiero się okazało...

- Stryj Jim?

Spojrzał jej głęboko w oczy. Wiedziała, że jej pytanie go zaskoczyło, sama też nie rozumiała, dlaczego je zadała.

- Henry Edwards - powiedział Jared.

Przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, o kim on mówi. Po chwili już wiedziała, dlaczego Jared ma taką minę. Kapitan Henry Edwards. Człowiek, którego miał zabić Jim McCord.

- On nie żyje - szepnęła półprzytomnie. - Nie żyje od trzydziestu lat.

- Widać jednak żyje. - Głos Jareda brzmiał cicho, ale pewnie.

To był jedyny logiczny wniosek. Odciski kogoś, kto zginął przed wieloma laty, nie mogły znajdować się na bombie. Z tego wynikał inny wniosek: ponieważ człowiek, o którym McCord sądził, że zabił go dawno temu, żył, tajemnica, którą senator ukrywał przez prawie trzydzieści lat, była czymś innym, niż myślał.

- Teraz wiemy, komu mogło zależeć na śmierci tych ludzi.

- To niemożliwe - powiedział McCord. - Byłem tam. Mówię wam, Edwards nie żył, kiedy go zostawili śmy, odchodząc.

-

mieli ochoty z tym skończyć. Dawno uporali się z praktycznym celem kąpieli, pozostały czas spędzony w małej

kabinie prysznicowej poświęcili na przyjemności. Udało im się przeprowadzić parę przyjemnych inter-ludziów.

Nagle Robin zeszyt wniała. Tyle czasu poświęciła, by usunąć napięcie całego dnia, a tu...

- Słuchaj! - rzuciła.

Gdy zakręcił kurek, telefon zadzwonił ponownie. Musiał podnieść słuchawkę, zbyt wiele się działo, a stawka jest zbyt wysoka.

- Nie ruszaj się, zaraz wrócę.

Odsunął skrzypiące drzwiczki i owinał się ręcznikiem. Szybko dopadł do telefonu.

- Donovan - powiedział.

- Już wiemy, czyj to odcisk - poinformował Brad Simpkins. - Nie uwierzysz, do kogo należy.

„Zaraz wrócę” przedłużyło się do kilku minut i zaniepokojona Robin wyszła z kabiny. Właśnie owijała się w ręcznik, kiedy Jared znowu pojawił się w drzwiach łazienki. Od razu wiedziała, że stało się coś złego.

- Mów - powiedziała szybko.

- Wiedzą już, do kogo należy ten odcisk palca. - To powinna być dobra wiadomość, ale po tonie głosu po znała, że tak nie jest.

- Mów - powtórzyła z bijącym sercem.

Dobry Boże, niech to nie będzie jego odcisk, modliła się w duchu.

- Sprawdzili wszystkich - powiedział Jared. - Po-

- Do diabła, strzeliłem do niego! - wrzasnął

McCord wyprowadzony z równowagi. - Myślałem, że go zabiłem. Chciałem zabić sukinsyna.

- I po trzydziestu latach on postanawia dobrać się do pana? - spytał Whitt sceptycznym tonem.

- Wszystko to spowodowała decyzja o kandydowaniu - powiedziała Robin. - Edwards nie mógł znieść myśli, że człowiek, który... strzelił do niego, może osiągnąć takie stanowisko. Że może zrealizować swoje marzenie.

- Czubek Edwards - powiedział McCord cichym głosem, ze wzrokiem skierowanym gdzieś poza okna.

- Naprawdę taki był? - spytała Robin.

McCord odwrócił się. Jego usta były zaciśnięte jak wtedy, gdy pokazano mu gazety z sensacjami.

- To był morderca - stwierdził ostro. - Kat. Nigdy nie żałowałem, że pociągnąłem wtedy za spust. Ani razu. Szkoda, że wpłynęło to tak na moją rodzinę, na moją reputację. Ale jeśli kogoś trzeba było zabić, to właśnie Hala Edwardsa. Przykro mi, że się nie udało. Gdybym... pewnie ci wszyscy by jeszcze żyli.

Zapadła cisza, którą przerwała Robin:

- Co zamierzasz zrobić?

McCord podszedł do stołu, na którym leżały popołudniowe wydania gazet z nagłówkami jeszcze śmielszymi niż rano. Wziął jedną z nich i przedarł na pół.

- Powiem im. Powiem im wszystko. O bombie i od cisku palca. Opowiem im o mściwym bękarciu, który czekał trzydzieści lat na odwet. O sukinsynu, który do tej pory zabił trzech dobrych ludzi. I kiedy im to po-



Wyciągnęli go z łóżka. Narzucił szlafrok na pidżamę. Trochę czasu zabrało mu nałożenie protezy. Teraz, utykając, chodził tam i z powrotem wzdłuż szklanej ściany hotelowego pokoju.

- Jak więc ten odcisk mógł pojawić się na tej bombie? - spytał Jared.

- Ktoś go tam umieścił - powiedział McCord uparcie. - Do diabła, nie wiem, jak to się stało. Nie wiem, co to oznacza, ale ten człowiek już nie żył. To jedno wiem z całą pewnością.

- A co z tym pirotechnikiem? Ostatnim człowiekiem z drużyny? - spytał Whitt Emory. - Jeszcze nic nie wiadomo?

- FBI nadal go poszukuje - przyznał Jared. - Wydział bierze pod uwagę możliwość, że jeden z demonstrantów przed hotelem może być tym, kogo szukamy. To tylko przypuszczenie, ale Bolton musi gdzieś być.

- Jeśli znajdziecie Boi tona - powiedział McCord - powie wam to samo, co ja. Henry Edwards nie żył, kiedy go zostawiliśmy.

- Słuchaj - wtrąciła Robin. - To ma sens. To jest jedyna rzecz, która ma sens. Każdy wierzył w aluzje tych piśmideł, ponieważ byłaś jedyną osobą, która mogła odnieść korzyść ze śmierci tych ludzi. Wszyscy nie żyją, więc nikogo nie można już spytać, co się wydarzyło. Lecz jeśli Jared ma rację? Jeśli Edwards chciał, by ta historia wyszła na jaw? A co, jeśli chciał, by ona wyszła

na jaw teraz i w taki sposób, by cię całkowicie zdyskre-  
dytować?

- Dlaczego? - spytał Whitt.

-

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Robin i Jared spędzili resztę nocy w jej pokoju hotelowym. Żadne z nich nie spało dobrze. Zbyt wiele było do przemyślenia. Identyfikacja odcisku zostawionego na bombie. Decyzja McCorda. I fakt, że już niedługo między nią i Jaredem wszystko może powrócić na dawne tory. Nie będzie żadnego rozwiązania. Nic się nie zmieni.

Nie postanowiła nawet, gdzie się uda po opuszczeniu Nowego Jorku. Czy do mieszkania w Waszyngtonie, czy do Altamiry? A Jared oczywiście pozostanie tutaj.

Nic się nie zmieniło. Ten tydzień, ten czas spędzony razem, stanowił jedynie miły przerywnik.

Jednak nie żałowała tych dni. I tych nocy. Przynajmniej upewniły ją o tym, co zawsze wiedziała. Jared naprawdę ją kochał.

Może nie tak mocno, by zrezygnować z czegoś, na czym też mu zależało. Nalegała, by to uczynił, lecz czy Powinna tak robić? A jeśli się myliła? Stryj Jim ostrzegł h, że może obudzić się pewnego dnia i spostrzec, że straciła wszystko, co w życiu ma wartość. Bomba podłożona pod samochód powinna jej to uświadomić, lecz zamiast tego jedynie wzmogła dawne obawy.

- Czym się martwisz? - zapytał Jared.

wiem, poproszę ich o pomoc. Ktoś musi wiedzieć, gdzie przez te wszystkie lata ukrywał się Hal Edwards. Zamierzam poprosić wszystkich, którzy będą jutro oglądać moje wystąpienie, by pomogb" mi go znaleźć.

- Detektyw Crocker, południowy Manhattan. Mamy demonstranta, którego poszukiwaliśmy dla ciebie. Jeśli chcesz, możesz przyjechać i zidentyfikować go.

- Sukinkot - powiedział Jared, starając się stłumić podniecenie. Być może był to fałszywy trop, ale jeśli nie...

- O co chodzi? - spytała Robin, wychylając się z ła zienki.

- Chyba mają naszego demonstranta - poinformo wał Jared.

- Brodacza?

- Chcą, byś przyszła i przyjrzała się mu.

- Myślę, że będę to mogła zrobić w drodze powrot nej - powiedziała.

- W drodze powrotnej?

- Muszę kupić sobie jakąś sukienkę. - Znikła w ła zience.

Jared tylko potrząsnął głową.

- Nie spytasz mnie, dlaczego?

Usiadł na krawędzi łóżka i kartkował spis telefonów, szukając numerów policji nowojorskiej.

- Dobrze, zapytam! - zawołał, wystukując numer komisariatu Cockera. - Po co ci ona?

- Muszę mieć sukienkę ciążową - powiedziała Robin. Tym razem jej głos nie dochodził już z oddali. Stała w drzwiach. Jego oczy spoczęły na jej talii.

Sukienka ciążowa. Nie pomyślał o tym. Pamiętał, jak jego siostry wyglądały przez kilka miesięcy, jakby połknęły piłkę. Robin ciągle była szczupła, ale oczywiście wkrótce...

Leżeli przytuleni do siebie.

- Myślę o jutrzejszym dniu - powiedziała.

- O dzisiejszym - poprawił ją Jared.

- Nie mogę nic poradzić na to, co się wydarzy dzisiaj.

Zamarł na chwilę, a po sekundzie wszystko zrozumiał. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Zostań ze mną - wyszeptał. - Na Boga, Robin. Nie zniosę rozłąki. Przysięgam ci...

- Nie mogę - przerwała mu. Nie chciała słyszeć tego, co już tyle razy jej mówił. - Nie mogłabym tego znowu znieść, Jared. Mogę od ciebie jutro odejść, ale... czego innego nie przeżyję.

- Robin - wyszeptał, lecz ona zignorowała jego sprzeciw.

- Pochowałam matkę, a potem ojca. Mogę zrobić wszystko, co będzie konieczne, ale... nie mogę pogrzebać jeszcze ciebie - powiedziała cicho.

Jared oparł się na łokciu, by spojrzeć Robin w oczy. Rysy jego twarzy były twardsze niż kiedykolwiek. I wtedy jego

głowa zaczęła schodzić niżej, bardzo powoli, dając jej czas na uniknięcie jego ust, gdyby tego chciała.

Ale oczywiście nie chciała. Cokolwiek wydarzy się jutro, ciągle trwał dzień dzisiejszy. Musi cieszyć się każdą chwilą. Bo potem pozostanie jej tylko samotność. Wynik jej tchórzostwa. Jej porażka.

Gdy Jared włączył automatyczną sekretarkę w swoim mieszkaniu, usłyszał:

- Czy możesz porównać jego odciski z odciskami w archiwach wojskowych?
- To zajmie trochę czasu. Czy twoja znajoma zamierza podtrzymać oskarżenie o napad?
- Jeśli będzie musiała - powiedział Jared.
- Dobrze, przytrzymamy go tak długo, jak będziemy mogli, ale muszę ci powiedzieć, że jego dowód tożsamości wygląda na autentyczny.
- Podaj mi jeszcze raz, jak się nazywa.
- Michael Hartley - odparł Cocker.
- Może byś wysłał komplet jego odcisków palców do Brada Simpkinsa z laboratorium pirotechnicznego?
- zaproponował Jared.
- Dobrze. Musisz przyjść dzisiaj ze swoją znajomą i wypełnić wszystkie papiery. Wiem, że są święta, ale jeśli mam przetrzymać faceta do czasu, aż wszystko sprawdzimy, to muszę mieć podpis na skardze.
- Przyjdziemy do ciebie dzisiaj. Dzięki.
- W takim razie czekam.

Jared odłożył słuchawkę. Być może ten człowiek nie jest ani Carłem Boltonem, ani Halem Edwardsem. Każda z tych możliwości stanowiłaby zgrabne podsumowanie wydarzeń. Najwyraźniej w tej sprawie nie ma nic zgrabnego.

- Nie wierzą, by miał coś wspólnego z bombą? - spytała Robin. Było oczywiste, że przysłuchiwała się.

- Nie sądzą, by był to Bolton. Albo Edwards - przydał niechętnie.

Atak myślałeś.

- Wydawało się to możliwe.

- Już nie mieszczę się w swoich ciuchach. Muszę coś sobie kupić.

Jared przytaknął, wytrącony z równowagi całą sytuacją. Oczywiście, jeśli Robin postawi na swoim, ominie go poród... w ogóle wszystko.

- Dzwonisz do niego? - spytała.

- Musimy się upewnić, że zatrzymań" właściwego człowieka.

- Myślisz, że to może być Edwards?

Nie zakładał tego, ale przecież wszystko było możliwe. Sądził, że tym demonstrantem raczej będzie Bolton, więc...

- Zobaczymy. Powinni już wiedzieć coś o nim. Tę wiadomość nagrano kilka godzin temu.

Robin znikła w łazience. Kiedy Jared w końcu dodzwonił się do detektywa Cockera, okazało się, że rzeczywiście już coś wiedzieli.

- Nazywa się Michael Hartley - powiedział Cocker.

- Wzięliście jego odciski palców?

- Oczywiście. Miał trochę na pieńku z prawem.

Jeden areszt za włóczęgostwo. Dawny nakaz aresztowania za czek bez pokrycia. Nie ma nic z tych rzeczy, których szukasz. Żadnego związku z materiałami wybuchowymi.

- Jesteś pewien, że to ten facet?

- Opis się zgadza. Nie zaprzecza, że był przy hotelu w dniu zamieszek. Uważa, że sprawa milenium ma żywotne znaczenie dla bezpieczeństwa naszego globu - poinformował z sarkazmem detektyw z południowego Manhattanu.

-

- Co myślisz o McCordzie? - spytał Jared.

Zauważył, że Robin szybko na niego spojrzała. Nie miał pojęcia, skąd mu przyszło do głowy to pytanie.

- Myślę, że zrobił to, co uważał, że musi zrobić, by zachować swoich ludzi przy życiu. Jeśli mówi prawdę. Ale śmierć tych pozostałych ludzi... - Detektyw wzruszył ramionami.

- Myślisz, że zapłaci za to nominacją?

- Jeśli tego wszystkiego nie wyprostuje. Słyszałem, że ma zamiar wszystko wieczorem wyjaśnić.

- Też o tym słyszałem - przyznał Jared.

- McCord powinien się postarać, jeśli chce, by ludzie zmienili zdanie. To musi być najlepsze przemówienie w jego życiu - powiedział Crocker.

Wreszcie wrócili do hotelu i wsiedli do windy, by dostać się do apartamentu senatora. Na ulicach poustawiano zapory i musieli ostatecznie przecznice przejść pieszo. Ponad połowa wszystkich nowojorskich policjantów była dzisiaj na służbie, oczekując rekordowego tłumu na Times Square.

Jared myślał, że zdążą przed pojawieniem się tłumu, ale po wizycie w komisariacie zjedli obiad, a później Robin przez kilka godzin wybierała suknię i buty na dzisiejszy wieczór. W końcu wrócili do mieszkania Ja-reda, by mógł się przebrać.

Nie potrafił jej wyperswadować, by nie była tego wieczora ze stryjem. W końcu wytłumaczył sobie, że może nie ma powodów do obaw, skoro przez ostatnie cztery dni nic się nie wydarzyło.

- Tak więc gdzie jesteście teraz? - spytała Robin. Dokładnie tam, gdzie byliśmy, pomyślał Jared, czyli nigdzie.

- Słuchajcie, nigdy nie miałem do czynienia z dynamitem. Robiłem inne rzeczy, to prawda, ale nigdy nie miałem nic wspólnego z bombami.

Obserwowali przesłuchanie brodatego mężczyzny przez weneckie lustro. Robin miała podpisać skargę w sprawie napadu, w przypadku gdyby nie mieli wystarczających dowodów do zatrzymania go za podłożenie bomby.

Jeszcze nie otrzymali potwierdzenia, że jego odciski nie były identyczne z odciskami Boltona, jednak przysłuchując się Hartleyowi szybko zaczęli tracić wiarę w taką możliwość.



„Nigdy nie miałem nic wspólnego z dynamitem" nie było wyrażeniem, jakiego można było oczekiwać od pirotechnika.

Widocznie tamtego ranka zaatakował Robin przypadkiem, bez żadnych ukrytych intencji. Po prostu znalazła się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie.

- Nie sądzę, by był to człowiek, którego szukacie  
- powiedział Crocker. - Nie mówi jak pirotechnik, a znałem ich kilku. Dawno temu, ale wszystko dobrze pamiętam.

- W wojsku? - spytał Jared.

- W Wietnamie. Odsłużyłem swoje z zamkniętymi oczami, modląc się, by wrócić do domu w jednym ka  
wałku.

-

- Znajdziemy go - obiecał. Nawet dla niego te sło  
wa brzmiały pusto, a Robin była wystarczająco bystra, by wiedzieć, że ani na krok nie przybliżyli się do  
prawdy.

Wchodząc do apartamentu senatora, usłyszeli głosy dochodzące z salonu. Emory i McCord mówili głośno, najwyraźniej z gniewem. Kiedy weszli, Whitt siedział przy stole konferencyjnym, a przed nim leżała sterta gazet. James McCord stał przy oknie.

- Nie można sprzeczać się z liczbami - powiedział Whitt.

- Do diabła, nie mogę - zawołał z wściekłością McCord.

- Nie można walczyć z insynuacjami - kontynuował

wał Whitt.

- Taktyka obrzucania błotem - odparł senator.

- Wiedzieliśmy cały czas, że to może się stać. Samo to wystarczy...

- Tym zajmiemy się wieczorem - przerwał McCord, zagłuszając słowa Emory'ego. - Musimy nabrać rozmachu. Ostatnio ludzie słyszeli o mnie same negatywne rzeczy. Musimy się odgryźć. Dać im coś pozytywnego do myślenia.

- Nie można zgłaszać swojej kandydatury w takiej atmosferze.

Senator zrobił krok w kierunku stołu, położył obie dłonie płasko na stole i z twarzą zwróconą w kierunku szefa sztabu powiedział mu prosto w oczy.

- Nie poddaję się, do cholery.

Im więcej myślał o bombie podłożonej pod limuzynę, tym bardziej był przeświadczony, że to nie Robin była celem. Ktoś, kto znał skłonność senatora do spóźniania się, musiał zdalnie zdetonować ładunek, nie mając pojęcia, że miejsce McCorda zajęła jego bratanica. Bomba mogła zostać umieszczona w samochodzie kilka dni przed wybuchem. Po wyeliminowaniu brodacza z kręgu podejrzanych taki scenariusz wydał się prawdopodobny.

- I co teraz? - spytała Robin.

- Myślę, że McCord wygłosi swoje przemówienie i pójdziemy stąd. Może zgłosi się ktoś, kto potrafi powiedzieć coś o Edwardsie. Albo pojawi się Bolton, by

potwierdzić historię McCorda.

- Ale nie sądzisz, by tak się stało?

- Myślę, że Carla Boltona spotkał taki sam los, jak pozostałych - powiedział. - Nie widzę żadnego innego powodu, dla którego nie miałyby się zgłosić. Myślę, że Edwards zapolował na nich wszystkich, zanim skupił się na senatorze.

- Żeby go zabić?

- Mógłby go zabić w każdej chwili, gdyby tego chciał. Wygląda na to, że nie miał żadnych problemów z dotarciem do reszty. Sądzę, że wobec McCorda obmyślił sobie zemstę innego rodzaju. Chce zniszczyć jego reputację. Jego honor. McCord ceni te wartości wyżej niż życie i ten człowiek to wie.

- Wszystko, co się zdarzyło, miało na celu zmuszenie stryja Jima do wycofania się. A on nie ma zamiaru tego zrobić. To sprawia, że zastanawiam się... - urwała.

-

córkę, i to ja jestem tym złym? Jaki to ma sens? - spytał McCord.

- Tu nie chodzi o sens ani o prawdę - sprostował Whitt. - Tu chodzi o sposób postrzegania. Przynajmniej w tej chwili.

- W takim razie zmienimy ich sposób postrzegania

- powiedział McCord.

- Co ma pan do zaoferowania, by zmienić te liczby?

- spytał Emory, popychając gazetę w kierunku McCorda. - Jakie nowe informacje? Gdzie jest dowód, że to

pan mówi prawdę, a nie oni?

- Moje słowo. Moja reputacja. Trzydzieści lat służby publicznej.

- Może pan do tego dodać dolara i kupić sobie filiżankę kawy, tylko nie na Manhattanie - powiedział Whitt. - Trzeba prawdzie spojrzeć w oczy - dodał poważnie. - To skończone. W tej sytuacji nie możemy wygrać w Iowa lub New Hampshire. Jest już za późno. Jeśli nie wygramy w jednym z tych stanów, to wyschną nam źródła pieniędzy.

- Będę korzystać z własnych zasobów - powiedział uparcie McCord.

- Równie dobrze można je wyrzucić przez okno. McCord wyprostował się.

- Nie rezygnuję, Whitt. Zamierzam powiedzieć im dziś wieczorem prawdę i będę mówił ją dotąd, aż udo wodnię, że racja jest po mojej stronie. Możesz przy tym tyć lub wycofać się. Nie będę miał ci za złe żadnej decyzji. - Senator pokuśtykał przez pokój i znikł w korytarzu prowadzącym do sypialni.

- W takim razie jest pan głupcem - stwierdził Whitt.

- Sprawa jest skończona, senatorze. Spadek notowań w sondażach jest zbyt gwałtowny, by mógł oznaczać coś innego.

- Jak gwałtowny? - spytała Robin. Obaj mężczyźni odwrócili się ku niej.

- Wystarczająco duży, by uznać go za śmiertelny

- powiedział Whitt. - Nawet zanim popołudniówki trafią do kiosków.

- Czy będzie w nich coś takiego, co nie zostało do tej pory powiedziane?

- Władze rozpoczynają śledztwo w sprawie tych śmierci. Przynajmniej Larsona i Reamera. Media odkryły też związek między śmiercią Larsona a pogróżkami wobec córki senatora.

- Co to oznacza dla kampanii? - spytała.

- Jest skończona. Senator ma większe problemy niż sondaże przedwyborcze. Mówi się o oskarżeniu go o morderstwo.

- To cholerny przeskok - wtrącił się Jared. - Od otwarcia śledztwa do oskarżenia długa droga.

- Rozpoznanie za pomocą ognia - powiedział McCord z ironią.

- Być może, ale cokolwiek postanowią w końcu władze, opinia publiczna już powiązała senatora z tymi wypadkami. Przed pierwszymi prawyborami nie zdoła my już tego odkręcić, a jeśli nie uzyskamy w nich dobrego wyniku... - Emory wzruszył ramionami i spojrział na McCorda.

- Larson został zabity, gdy próbował porwać moją

-

gdy nastąpi awaria komputerów. Nie ma nic wspólnego z bombami - poinformował Jared, nieświadomie powtarzając słowa Hartleya.

- Niezłe piekło może się rozpętać, prawda? - powie

dział Whitt. - Jeśli okaże się, że ci wszyscy idioci, Avamore i cała ich reszta, mają rację. To byłby niezły żart z nas wszystkich.

- Nie sądzę, by wielu ludzi się ucieszyło - powątpiewała Robin.

Whitt spojrzał na nią.

- Ja na pewno nie. Nie widzę nic zabawnego w tym, co się zdarzyło w ciągu ostatnich dni. Lepiej pójdę sprawdzić, jak posuwa się praca przy dekoracjach. - Spojrzał na zegarek. - Pozostały tylko dwie godziny do nadejścia gości. Jeśli ktoś się pojawi. Przy tym całym zamieszaniu bardzo możliwe, że nikt nie przyjdzie.

- Nie spisuj go na straty - zaprotestowała Robin.

- Sprawy Jamesa Marshalla McCorda jakoś się ułożą. Zawsze się układały.

- Mam nadzieję, ze względu na ciebie i na niego.

Me dobrze by było, gdyby to „jakoś” zdarzyło się szybko. - Whitt zniknął w korytarzu.

- Koniec marzeń - powiedziała cicho Robin. -

ma rację. Nie da się zmienić tych liczb. W każdym razie nie da się tego zrobić szybko, o ile twój specjalista od wysadzania w powietrze nie pojawi się, ty potwierdzić wersję stryja Jima.

Słowa te wydały się nie na miejscu. Tych samych użył Crocker. Whitt. Gdy jednak powiedziała je Robin. .. Ponieważ Robin, podobnie jak Hartley... Pomysł

- Czy naprawdę jest tak źle? - spytała Robin wśród

kłopotliwej ciszy, jaka zapadła po ostatniej uwadze McCorda.

- Zawsze wiedzieliśmy, że sprawa wietnamska może nam zaszkodzić. Nikt jej przedtem nie wykorzystywał, ponieważ senator miał wysokie notowania w sondażach, ale teraz, w połączeniu z innymi...

- Nie sądzisz, że uda mu się to odwrócić?

- Na pewno nie na czas - powiedział Whitt. - Po potrzebne są dowody, że nie miał nic wspólnego z tymi wypadkami. Te śledztwa mogą ciągnąć się miesiącami, a prawyborcy się zbliżają. Ale jemu coś tłumaczyć... Czy zawsze jest taki uparty?

- Jeśli uważa, że ma rację.

- Chciałbym, by sprawy potoczyły się inaczej - powiedział Whitt.

- Ja też - odparła cicho. - Czy pojedziesz do Iowa, jeśli zgłosi swoją kandydaturę?

- Ten człowiek mi płaci. Jeśli zgłosi kandydaturę, nie będę miał wyboru, ale... na twoim miejscu próbowałbym przemówić mu do rozumu. Nie ma sensu wyzucać pieniędzy.

Robin przytaknęła, ale Jared wiedział, że tak naprawdę nie miała zamiaru odradzać swojemu stryjowi tego, co i tak zamierzał uczynić.

- Senator powiedział, że poszłście, by zidentyfikować tego demonstranta - zmienił temat Whitt. - Co to za jeden? Przypuszczam, że nie jest on naszym brakującym pirotechnikiem?

- To ktoś, kto uważa, że świat się skończy o północy,

-  
brodacz nigdy w wojsku nie był. Słowa, których używał, były... nieodpowiednie. A Whitta były.

- Zadzwoń do recepcji - polecił Jared, kierując się do holu. - Powiedz im, by wysłali ochronę do sali balowej. Zrób to, Robin! - krzyknął przez ramię i pobiegł. -I powiedz, żeby zrobili wszystko, by Emory nie mógł opuścić hotelu.

poraził Jareda. Nie mógł myśleć o niczym innym, jak niestosowności tych właśnie słów w ustach Robin Whitta Emory'ego.

Nagle jego mózg zaczął działać na pełnych obrotach. Każde usłyszane przez niego zdanie, wypowiedziane przez Emory'ego w ciągu tych kilku dni, burzyło wszelkie wcześniejsze hipotezy, niszcząc obraz przedstawiony przez Whitta.

Specjalista od wysadzania w powietrze i „wielu chłopaków zaznajamia się w wojsku z amunicją”. Nawet uwaga McCorda, że to, co z nim robią prowadzący śledztwo, jest „rozpoznaniem za pomocą ognia”. Jared nigdy przedtem nie słyszał tego wyrażenia. Instynktownie, dzięki długoletniej służbie wojskowej, domyślił się jego znaczenia, ale zabrało mu to chwilę.

Whitt Emory nie potrzebował na to czasu. Jego odpowiedź była natychmiastowa i celna. Odpowiedział bez wahania, a więc zrozumiał natychmiast.

- Co do diabła powiedział nam o Wietnamie? - spy



tał Jared, czując szum pulsującej krwi.

- Kto? - spytała Robin.

- Emory. Wtedy, na przyjęciu. Powiedział, że chciał jechać do Wietnamu, ale ze względu na chorobę serca nie mógł.

Spojrzała na niego. Między jej brwiami pojawiła się głęboka bruzda.

- I co z tego?

- To... - Jared znów posługiwał się tylko intuicją.

- Whitt wiedział, zanim mu to powiedziano, że detektyw Crocker jest byłym wojskowym. I obaj poznali, że

-

-

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jestem strasznie wolny, pomyślał Jared raz po raz naciskając przycisk, jakby to mogło przyspieszyć windę. Nacisnął jeszcze raz, rozczarowany raczej sobą niż techniką.

Dał się nabrać na teorię spiskową. Brodacz. Jego własne uczucia wobec Robin i dziecka. Nawet jego podejrzenia dotyczące skrytości McCorda. Wszystko to przyczyniło się do tego, że nie widział, co miał pod nosem. Od kiedy spotkał Whitta Emory'ego...

Nawet teraz nie miał na to dowodu, ale bezwzględnie wierzył swojej intuicji... i dzięki temu żył.

Winda zatrzymała się. Jared przebiegł wzrokiem po olbrzymim foyer oraz po sali balowej, poszukując człowieka,

który opuścił apartament McCorda niecałe pięć minut temu. Wokół kręciło się wielu techników ustawiających sprzęt, lecz ani śladu Emory'ego.

Przynajmniej nie próbował znaleźć zdobyczy po omacku, jak działo się to jeszcze dwie godziny temu. Poznał znajome twarze reporterów obsługujących kampanię. Przeszedł pośpiesznie przez foyer, by spytać dziennikarzy, czy nie widzieli Whitta Emory'ego.

Ostatnio nikt go nie spotkał. Jeden z reporterów stał w miejscu, skąd doskonale było widać windy.

- Jest pan pewien, że Emory nie wychodził z windy?
- spytał go Jared.
- Jest pan jedyną osobą, jaka pojawiła się tutaj od mniej więcej pół godziny.

Drzwi windy otworzyły się i wyszło dwóch członków ochrony hotelu. Wszyscy reporterzy natychmiast na nich spojrzeli. A to oznacza...

Jared podbiegł do nadchodzących strażników.

- Zadzwońcie na dół. Powiedźcie, że potrzebuję ludzi w holu. Poślijcie też dwóch policjantów do pokoju Whitta Emory'ego. Jeśli tam będzie, niech go aresztują pod zarzutem morderstwa.

Pokazał im swoją odznakę. Natychmiast przystąpili do wykonania jego poleceń.

Jared wiedział, że na ulicach wokół hotelu gromadzi się tłum ludzi. I jeśli Whitt Emory, czyli Hal Edwards, wejdzie weń, już nigdy go nie odnajdą.

Jared przebiegł wzrokiem zatłoczony hol, ale nie zauważył nikogo, kto wyglądałby jak człowiek, którego poszukiwał. Oczywiście nie mógł być pewien, że Vvhkt w ogóle zszedł na dół. Czy Emory wiedział, że został zdemaskowany? - zastanawiał się Jared, przepychając się przez ciżbę. A może zrobił to celowo? Tak jak zostawił odcisk palca. Czy tak właśnie zaplanował sobie ostateczną rozgrywkę? Owo ostatnie pchnięcie noża.

Dwóch umundurowanych policjantów weszło przez szklane drzwi wejściowe. Najwyraźniej też kogoś poszukiwali w dumie.

^

- Wychodzimy tędy na papierosa na zewnątrz - wyjaśnił posłaniec. - Nie włącza się tutaj żadnych alarmów, dopiero późnym wieczorem.

- Dziękuję - powiedział Jared i spojrzał w głąb korytarza.

Ślepa uliczka, do cholery. Ale skoro już tu jest, powinien wszystko sprawdzić. Pobiegł wzdłuż korytarza. Jeśli Whittowi udało się wyjść z hotelu, następnym krokiem powinno być zawiadomienie lotnisk. Należy także jak najprędzej sprawdzić przeszłość Emory'ego, która oczywiście została sfabrykowana. Lecz z tego, jak to uczyniono, też wiele powinno wynikać.

Otworzył ciężkie drzwi. Chłodne powietrze z uliczki wpadło do korytarza. Musiał odczekać minutę, by oczy przyzwyczyły się do ciemności. Spojrzał na prawo. Jacyś ludzie przechodzili

na światłach skrzyżowanie. Następnie popatrzył w drugą stronę. W lewo.

Mężczyzna szedł w cieniu, trzymając się blisko budynku. Uliczka była zbyt ciemna, by można było rozróżnić szczegóły, ale ten człowiek z sylwetki przypominał Emory'ego. Chyba niósł teczkę.

- Emory! - krzyknął Jared.

Mężczyzna przyspieszył kroku, Jared rzucił się w pogoń. Gdy Whitt dotarł już prawie do tłumu, na końcu uliczki pojawiła się inna postać.

Był to policjant.

- Zatrzymaj go! Tu policja nowojorska. Zatrzymaj tego człowieka!

Oczekiwał, że Emory będzie próbował odepchnąć Policjanta lub pobiegnie z powrotem w jego kierunku,

- Nie widzieliście go? - spytał ich. - Nie wychodził frontowymi drzwiami?

- Prawdę powiedziawszy, mógł wyjść, zanim dostaliśmy wiadomość. Opis, jaki otrzymaliśmy, nie był zbyt dokładny. Poza tym wielu ludzi wchodzi i wychodzi.

Mógł wyjść... Wyjść w ten gęsty tłum, który przyszedł, by przyglądać się, jak opada kula oznajmiająca nadejście nowego tysiąclecia.

- Łysy, rasy białej, grube okulary, wzrost średni. Ubrany w dżinsy- i niebieski sweter. Nie można pozwolić mu wyjść z hotelu pod żadnym pozorem. Być może zabił dwóch ludzi.

Jared chwycił za ramię przechodzącego obok posłańca.

- Gdzie jest wejście służbowe? Jestem z policji -  
dodał, pokazując odznakę. - Tylne wyjście? Rampa do  
stawcza?

- Kuchnie? - zasugerował chłopak.

- Coś innego, coś bardziej prywatnego - powiedział  
Jared.

- Proszę za mną. - Ruszyli przez zatłoczony hol.  
Jared sam nigdy nie byłby w stanie znaleźć drogi  
w labiryncie służbowych pomieszczeń, gdyby nie miał  
przewodnika, lecz Emory mieszkał w tym hotelu ponad  
tydzień i mógł wszystko dobrze zbadać.

- To tutaj - powiedział posłaniec. Na końcu długie  
go, pustego korytarza były szare metalowe drzwi. Kory-  
tarz był słabo oświetlony. Nigdzie nie było śladu Emo-  
ry'ego.

- Alarmy? - spytał Jared.

-

Emory, potrząsając głową i uśmiechając się lekko. Podniósł  
otwartą dłoń do góry. - Nie wiem, co każe wam tak myśleć,  
ale złapaliście nie tego człowieka.

- W takim razie nie będziesz miał nic przeciwko  
temu, by pójść z nami do najbliższego komisariatu,  
gdzie zdejmą ci odciski palców. Możesz wyjaśnić tę  
pomyłkę od razu.

Po chwili wahania Emory znowu spojrzął na policjanta  
blokującego koniec uliczki.

- Edwards, już jest za późno. Zdradziłeś się - po

wiedział Jared. - Wiedziałeś dokładnie, co McCord miał na myśli, mówiąc „rozpoznanie za pomocą ognia”. Ja musiałem się nad tym zastanowić, ty nie. Nawet nie zawahałeś się. A poza tym cywile nie mówią na to amunicja. Mówią materiały wybuchowe. Powinno mi to wyjaśnić wiele już tamtego wieczora, ale jakoś to przeoczyłem. Gdyby było inaczej, Gus może by żył.

- Wszystko poplątałeś. To Bolton jest specjalistą od materiałów wybuchowych. Musicie go poszukać.

- Ale go nie znajdziemy, prawda? Zabiłeś Carla Boltona i pozostałych. Nie mogłeś pozwolić, by któryś z mci! zgłosił się i potwierdził historię McCorda. A potem próbowałeś zabić senatora, najpierw w Teksasie, a potem podkładając bombę pod samochód. Kiedy to się udało, naprowadziłeś gazety na zabójstwa tych ludzi, wiedząc, że postawią pytania, na które McCord nie "Cdzie miał czasu odpowiedzieć. I w końcu dostałeś to, co chciałeś. Masz swoją zemstę.

- Przeszłość McCorda ciągnie się za nim. Wiedzieli-

-

ale nic takiego się nie stało. Zatrzymał się i zwrócił się do Jareda.

- Co się stało? - Jego głos brzmiał szczerym zdziwieniem. - Uruchomiłem alarm czy coś takiego?

Raczej coś takiego, pomyślał Jared. Coś, co trzeba było zrobić już dawno.

- Musimy porozmawiać - powiedział do Whitta.

- Oczywiście - odparł Emory. Policjant, zgodnie z poleceniem Jareda, wyjął broń. - O czym?

- O człowieku nazwiskiem Hal Edwards. Kapitan Henry Edwards - wyjaśnił Jared, patrząc mu w oczy.

- Pamięta go pan?

Whitt przytaknął.

- Facet, którego McCord zabił w Wietnamie. Facet, którego uważał za zabitego. Znaleźliście go?

Dobry jesteś, sukinsynu, pomyślał Jared. Ton głosu Whitta był jak najwłaściwszy. Lekkie zaskoczenie i delikatna ulga. Oczywiście, gdyby nie był w tym dobry, to nie zrobiłby tego wszystkiego.

- Myślę, że go znaleźliśmy - powiedział głośno - ale dla potwierdzenia musimy mieć pańskie odciski palców. I to zaraz.

- Moje odciski palców? - Whitt był tak samo zaskoczony, jak poprzednio. - Czy myśli pan, że to ja jestem Edwardsem? - spytał głosem wyrażającym niedowierzanie.

- Sądzę, że jesteś tym samym sukinsynem, którego McCord chciał zlikwidować w Wietnamie. Szkoda, że mu się nie udało.

- Złapaliście niewłaściwego człowieka - powiedział

I

Właśnie w tej chwili Whitt zamachnął się szeroko tęczką, celując w głowę Jareda, który zdążył podnieść ramię, dzięki czemu częściowo sparował uderzenie, które było jednak na tyle silne, że odepchnęło go pod ścianę budynku.

Kiedy policjant przyjął klasyczną postawę strzelecką i zaczął wykrzykiwać ostrzeżenie, Edwards odwrócił się i zamachnął ponownie tęczką, celując tym razem w pistolet.

Jared odepchnął się od ściany i skoczył na szefa kampanii. Policjant, wciąż krzycząc, zrobił krok do tyłu. Tęczka minęła o włos pistolet i kontynuowała swój lot w kierunku głowy Jareda, który zdołał jednak schylić się. W tym momencie wypalił pistolet. Edwards upadł bezwładnie na ziemię.

Jared pochylił się nad nim. Policjant stał z rozkraczonymi nogami i pistoletem wycelowanym w czoło Edwardsa. Jednak widać było, że ten nigdzie się nie wybiera.

- Zawołaj pogotowie - rozkazał Jared. Policjant zniknął w uliczce. Edwards skupił swe spojrzenie na twarzy Jareda.

- Powiedz McCordowi... - wyszeptał. - Nigdy nie zostanie... prezydentem.

- Czy zabiłeś tych ludzi z drużyny?

Edwards zamknął oczy.

- Czy to ty podłożyłeś bombę pod samochód senatora? Do diabła, zabiłbyś Robin!

Nie było odpowiedzi. Kałuża krwi pod głową Edwardsa powiększała się z każdą chwilą. Przyjazd karetki utrudniały tłumy na ulicach.



śmy cały czas, że to może się zdarzyć. Nie mam z tym nic wspólnego.

- I nic wspólnego z bombą? Poza tym, że jest na niej twój odcisk palca? Chciałeś, by wiedział, że to byłeś ty. Nie mogłeś się temu oprzeć. Chciałeś, by McCord do wiedział się, że żyjesz.

Mówiąc to, zauważył błąd w rozumowaniu. Gdyby bomba zabiła McCorda, nie miałoby sensu pozostawianie odcisków palców. McCord nie dowiedziałby się już o tym.

- Miałem rację na początku - kontynuował Jared, wprost kipiąc z wściekłości. - Zamierzałeś zabić Robin, sukinsynu, i zostawiłeś odcisk swojego palca, by senator wiedział, kto to zrobił. To naprawdę byłaby ostateczna zemsta. Twój brat próbował zabić jego córkę, a kiedy mu się nie udało, uznałeś, że Robin jest równie dobra.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedział Whitt.

- Twój brat i Larson pomagali ci w brudnej robocie, podczas gdy ty udawałeś, że prowadzisz kampanię McCorda. Uznałeś, że w ten sposób znalazłeś się w najwłaściwszym miejscu, by nie dopuścić do spełnienia się jego marzenia. By kontrolować bieg spraw w samym centrum dowodzenia.

- Popełniasz błąd - upierał się Emory. - Ja nigdy...

• - W takim razie chodź ze mną na komisariat wyjaśnić to wszystko - zażądał Jared. - Udowodnij, że nie jesteś Henrym Edwardsem. Udowodnij, że to nie twój odcisk palca jest na bombie. Daj mi kajdanki - zwrócił się do policjanta, który, by spełnić jego polecenie, zdjął jedną rękę z pistoletu.

Teraz wiedzieli dużo więcej niż przed kilkoma godzinami. Odciski palców Whitta pasowały do pozostawionych na bombie. Wiedzieli też, że fałszywy życiorys Emory'ego został sfabrykowany dawno temu.

Czy stworzony został po to, by zabić McCorda? Może nie, przyznał Jared. Edwards musiał ukrywać się przed sądem wojennym za swe zbrodnie popełnione w Wietnamie.

- Wiesz, on naprawdę był szalony - powiedział McCord, wyciągając dłoń do Jareda i jednocześnie pochylając się, by pocałować Robin w policzek. - Edwards był prawdziwym szaleńcem.

- W Wietnamie? - spytał Jared.

- Do diabła, wszyscy zachowywaliśmy się tam trochę jak nienormalni. Może ci z nas, którzy przeciwstawiali się różnym Edwardsom, byli najbardziej stuknięci? Myślę, że pozostanie to na zawsze otwartą kwestią.

- Nadal nie rozumiem, jak on to zrobił - zastanawiała się Robin.

- Pewnie nigdy nie będziemy tego wiedzieć do końca - powiedział McCord. - Oczywiście jest, że nie zginął od mojego strzału. Jakoś wyczołgał się z ognia, który pouiożyliśmy, i ukrył w dżungli do czasu, kiedy odeszliśmy.

- Był ranny, poparzony. Jak udało mu się przeżyć?

~ Myślałem o tym od czasu, kiedy zidentyfikowano odcisk jego palca. Jediną odpowiedzią są Yardowie.

Yardowie? - powtórzyła Robin. ~ Górale. Pracowaliśmy z nimi jako doradcy. To by-) nasze pierwsze zadanie. Nienawidzili Wietnamczy-

Wreszcie usłyszał odległy sygnał. Jared podniósł głowę. Na końcu uliczki stało kilku ludzi, których przyciągnął odgłos wystrzału. Dwóch mundurowych policjantów powstrzymywało ich. Jared spojrzał znowu w dół. Oczy Edwardsa były otwarte.

- Nie... Robin-powiedział.

Edwards znowu zamknął oczy, jego powieki opadły powoli jak u lalki. Kiedy przybyli sanitariusze, już nie żył.

Jeśli nawet McCord był rozczarowany liczbą ludzi, którzy przyszli tego wieczora, nie dawał tego po sobie poznać. Senator, idąc w kierunku Jareda i swojej bratanicy, wymieniał uściski dłoni, poklepywał po plecach i całował w policzki. Znow wróciła mu teksaska pewność siebie, której mu ostatnio brakowało.

O dziesiątej wieczorem stacje podały wiadomość o śmierci Whitta Emory'ego, którego zidentyfikowano jako Henry'ego Edwardsa. Oglądali telewizję w pokoju Robin przed udaniem się do sali balowej. Robin zastanawiała się, jak to zmieni dynamikę kampanii, a Jared myślał, jak do diabła mogło mu zabrać tyle czasu poskładanie tego wszystkiego.

Gdyby był bardziej domyślny, kierowca limuzyny mógłby żyć. Oczywiście przed wybuchem bomby nie wiedział, że naprawdę coś się dzieje. Podobnie jak Robin uważał, że ich największym problemem jest zgraja wariatów.

Jednak szaleństwo Edwardsa było innego rodzaju-Jared w swej pracy dobrze poznał ludzi tego pokroju, dlatego też tak bardzo trapił się swoją nieudolnością.

w takiej samej sytuacji zrobiłbym to znowu, nawet wiedząc, ile mnie to będzie kosztować. Tyle że tym razem bym się upewnił, że drań nie żyje. Wszyscy przysięgliśmy, że to, co zrobiliśmy, zostanie pogrzebane tam. Nikt z nas nie był z tego dumny, ale przysięgam, nie mieliśmy wyboru. Albo Edwards... albo my - dodał cicho.

Jared skinął głową. Nie wiedział, czy McCord postąpił właściwie. Oceny będzie musiała dokonać historia. Albo naród amerykański. Na pewno nie on. Wystarczyło mu, że Robin kochała McCorda jak ojca i że jeśli chce być z nią, to policjant, który w nim siedzi, musi pogodzić się z tym, co McCord zrobił przed trzydziestu laty.

- Nie masz o mnie najlepszego zdania, prawda? - powiedział senator.

- Nie sędzę, by ktokolwiek z nas miał prawo mówić, jak należało się zachować w takiej sytuacji. Trzeba by być na pana miejscu... Nie do mnie należy osąd tego, co pan zrobił, senatorze. I cieszę się z tego.

- Wystarczająco szczerze - przyznał. - Lubię ludzi, którzy mówią, co myślą. W końcu możesz być dość dobry - powiedział McCord lekkim tonem.

- Ma pan na myśli, że mogę być dość dobry dla Robin?

- Dla Robin, dla dziecka. Zdecydowaliście już, co

zamierzacie z tym zrobić?

- Jeszcze nie. - Jared spojrzał na Robin. Jej spojrzenie nie było twarde. Już podjęła decyzję. Postawiła sprawę j

~ Życie jest zbyt krótkie - poradził McCord. - Może trzeba być w moim wieku, by to zrozumieć, ale mam

ków, to była jakaś rasowa sprawa, więc współpracowali z Amerykanami. Edwards miał wśród nich swojego odpowiednika. Jeśli Edwardsowi udało się z nimi skontaktować, to mogli się nim zaopiekować, nie pytając o nic, a po zakończeniu wojny pomóc mu wydostać się z kraju. Może do Tajlandii. Mógł się przyczaić na kilka lat, zaoszczędzić na powrót do Stanów i zostać Whitem Emorym.

- Dwadzieścia pięć lat temu - powiedział Jared.

Tyle wykazało śledztwo przeprowadzone przez FBI.

Właśnie wtedy narodził się Whitt Emory. Prowadził firmę importową mającą związki z Indochinami. Dopiero później zajął się polityką, gdy McCord zaczął wspinać się do góry.

Jared zastanawiał się, czy właśnie od tego czasu planował dobrać się do senatora.

- Edwards skorzystał z chaosu, jaki zapanował pod czas wojny, i zarobił dużo pieniędzy - powiedział McCord.

- Narkotyki? - spytał Jared.

- Zapewne. Robiono w ten sposób fortuny. Znam dwóch ludzi, którzy po ustaniu działań wojennych wykorzystali znajomość regionu, by się wzbogacić.

- Nie rozpoznał go pan.

McCord potrząsnął głową.

- Łysy, okulary jakby zrobione z dna butelki. Poza tym był poparzony i na pewno poddał się poważnej operacji plastycznej. Musiał mnie nienawidzić.

- Ogień miał zniszczyć... dowód?

W oczach McCorda pojawił się gniew.

- Nie jestem dumny z tego, co wtedy zrobiłem, ale

-

- Co to oznacza dla ciebie, że Richards będzie zajmował się ranczem?

- Po prostu... myślę, że to nie będzie to samo - powiedziała.

- Uważam, że to, o co mnie prosisz, jest nieuczciwe.

- Robin dobrze zrozumiała, o czym mówił.

- Wiem, że tak uważasz, ale ciągle o to proszę, Jared. To co się stało z Gusem...

- Wiem. - Już rozumiał jej obawy. Podczas ostatnich dni sam przeżywał paniczny strach, że coś stanie się Robin i dziecku.

„Nie... Robin". Edwards powiedział to przed samą śmiercią. Jared przypuszczał, że chciał mu przekazać, iż to nie Robin była jego celem. Teraz jednak powinien przestać o tym myśleć i cieszyć się ostatnią nocą, jaką być może spędza z tą wspaniałą kobietą...

- Chodźmy zatańczyć - zaproponował.

Grali dużo starych melodii, głównie z lat sześćdziesiątych. Pewnie na życzenie McCorda. No cóż, to była noc senatora. Niech się nią cieszy.

Ledwie zaczęli tańczyć, muzyka ucichła i na scenie pojawił się McCord. Stał przy mikrofonie z uniesionymi do góry ramionami i dłońmi odwróconym w kierunku tłumu.

- Panie i panowie, proszę o uwagę - grzmiał głos senatora.

- Co teraz? - spytała Robin wyraźnie zaniepokojonym głosem.

- Nie wydaje się, by to była jakaś zła wiadomość

- powiedział Jared, oceniając wyraz twarzy senatora.

nadzieję, że jest inaczej. Sądzę, że oboje jesteście wystarczająco rozsądni, by nie musieć uczyć się na błędach. Ja straciłem dzieciństwo mojego syna i nigdy już tego nie odzyskam.

Robin nie odezwała się. Twarz miała nieruchomą. McCord uśmiechnął się do niej, ale nie odwzajemniła mu się. Jared zrozumiał, że nic się nie zmieniło. Byli ciągle tymi samymi ludźmi, co na początku tych wydarzeń.

- Dobrze - powiedział senator. Położył dłoń na policzku Robin. - Oczekuję, że zastanowicie się nad tym. Nie zwlekajcie. To dziecko musi mieć nazwisko. I ojca. Moglibyśmy o północy zapowiedzieć nie tylko mój start w wyborach.

Poklepał Jareda po ramieniu, a następnie przeszedł spokojnym krokiem przez salę, nadal witając się z gośćmi.

Zatrzymał się, by pomówić z policjantem, który wszedł do sali balowej z foyer.

Jeszcze jedna zapowiedź o północy. Byłoby to miłe, przyznał Jared. Gdyby tylko potrafił przekonać Robin...

- To co teraz będzie? - spytał, patrząc na nią.

- Chyba wrócę do Teksasu. Przynajmniej na jakiś czas. A potem może znowu do Waszyngtonu.

- Cieszysz się z powrotu do domu?

- Już dawno nie byłam na ranczu. Stryj Jim mówi, że wiele się zmieniło. Myślę, że ja też.

- A co się zmieniło?

- Levi wychodzi za żonę i przenosi się do Montany, a od tej pory Altamirą będzie zarządzał Clint Richards.

-

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Jared musiał przyznać, że historia Boltona była naprawdę niezwykła. Kiedy mówił, w sali balowej zapadła cisza jak makiem zasiał. To, że ktoś inny niż McCord opowiadał o incydencie wietnamskim, miało wprost kapitalne znaczenie.

Bolton nie skąpił pochwał Jamesowi McCordowi, zarówno za to, że wyprowadził ich żywych z dżungli, jak i za to, że potrafił wyciągnąć ich z tragicznej sytuacji, spowodowanej przez Edwardsa. W powiązaniu z wcześniejszymi rewelacjami o długotrwałej maskaradzie Edwardsa, który podawał się za Whitta Emory'ego, świadectwo Boltona wywierało ogromne wrażenie. Wróżyło to dobrze McCordowi.

Zapewne przez kilka następnych dni nic nie będzie wiadomo. Poza tym senator jeszcze nawet nie zgłosił swojej



kandydatury. Ciągłe brakowało kilku minut do momentu, w którym nowa kryształowa kula miała zacząć opadać.

Jared z każdą upływającą minutą miał jednak świadomość, że przegrywa najważniejszą sprawę w swoim życiu. Żadne argumenty, nawet interwencja McCorda, nie przemówiły do Robin. Wygląda na to, że wkrótce klamka ostatecznie zapadnie.

McCord położył dłoń na ramieniu stojącego obok wysokiego mężczyzny. Obaj uśmiechali się.

- Mam honor przedstawić państwu mojego starego przyjaciela. Oto Carl Bolton, który właśnie wrócił z Hongkongu. Ma wam coś do powiedzenia. Proponuję dziennikarzom, by dobrze się przygotowali. Chcę, byście przekazali ludziom to, co za chwilę usłyszycie od Carla Boltona, który był ze mną w Wietnamie. A będzie to dokładnie to samo, co ja mówiłem cały czas.

- Co on powiedział?

„Nie... Robin". Jared wiedział, że bomba nie była przeznaczona dla McCorda. W innym wypadku Edwards nie zostawiłby swego odcisku palca. Nigdy nie zamierzał zabić McCorda. Zależało mu na zdyskredytowaniu go. Na zmuszeniu do zrezygnowania z marzenia u progu jego spełnienia. Ta bomba z pewnością nie była przeznaczona dla Gusa. A więc zostaje tylko...

- Co on powiedział, Jared? - spytała zaintrygowana

nym głosem.

A więc zostaję tylko ja, pomyślał.

- Czy wiedział, że tam byłem? - spytał gorączkowo.

- Robin, czy Edwards wiedział, że tamtego wieczora byłem w limuzynie?

- Nie wiem - powiedziała. - Czy to ma jakieś znaczenie?

Sam jeszcze do końca nie wiedział.

- McCord dzwonił do kogoś w hotelu. Użył telefonu komórkowego, by powiadomić o swoim przybyciu.

- To musiał być Whitt. To on mi powiedział, że stryj Jim zamierza mnie gdzieś posłać.

- Whitt polecił ci, abyś zeszła na dół i wsiadła do samochodu?

Robin przytaknęła.

- On cały czas zamierzał mnie zabić. Myliłeś się co do jego...

- Chodź - powiedział. Chwycił ją za ramię i pociągnął przez tłum ku scenie, z której McCord miał wygłosić za kilka minut przemówienie. Miał nadzieję, że senator będzie krążyć w pobliżu.

-

Sedno sprawy tkwiło w tym, że znał wagę swojej pracy. Ratował ludzkie życie, i był w tym dobry. Bardzo dobry. Wiedział o tym. Miał szczególny dar intuicji, i nie powinien go marnotrawić. Praca w laboratorium tego by mu nie zastąpiła, bowiem co innego stanowiło o sensie jego życia.

- On myślał, że mi się nie uda - powiedziała Robin.

Przez długi czas okrążali parkiet w milczeniu.

- On?

- Whitt. Dlatego powierzył mi kontakty z mediami. Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się przy tym upierał. Sam zaś krył się przed kamerami. Mimo że tak bardzo się zmienił, jednak się bał, że ktoś go rozpozna. Uznał, że nie poradzę sobie z sytuacją, kiedy wyjdzie na jaw, co stryj Jim zrobił w Wietnamie. Myślał, że wszystko jeszcze bardziej skomplikuję.

- Skąd wiesz, że właśnie tak myślał?

- Czy naprawdę sądzisz, że Whitt chciał, bym skutecznie tłumaczyła prasie, co zdarzyło się w Wietnamie?

- Nie, oczywiście, że nie.

- To śmieszne, ale zawsze myślałam, że Whitt mnie lubi - powiedziała gorzkim tonem.

- Chyba... lubił - przyznał Jared. „Nie... Robin”.

W końcu takie były jego ostatnie słowa.

- Tak bardzo, że chciał wysadzić mnie w powietrze.

- On powiedział... - zaczął Jared.

Nagle zrozumiał, że właśnie to go nurtowało przez całą noc. Ta układanka nie była jeszcze złożona do końca. Wiedział, że nie spocznie, dopóki nie znajdzie brakujących elementów.

nie z tobą powiedziałem Whittowi, że kiedy zadzwonię, powinien posłać Robin na dół. Powiedziałem mu, że zamierzam zabawić się w swatkę.

- Do cholery.

Jared rozejrzał się po sali. Przed przybyciem pierwszych gości policja przeprowadziła rutynową kontrolę za pomocą psów i wykrywaczy substancji lotnych. Nic nie znaleźli. Ale Edwards nie pojawił się tutaj. Podjął ostatnią próbę skłonienia McCorda do rezygnacji, która nie powiodła się. Wreszcie opuścił hotel, ale przedtem...

- Potrzebny mi jest numer pokoju Emory'ego - powiedział. Robin i McCord patrzyli na niego jak na kogoś niespełna rozumu. Chciałby, żeby mieli rację. - Proszę wezwać ochronę hotelu, by spotkała się ze mną na dole i otworzyła ten pokój. Natychmiast.

- Pokój - poinformowała go podenerwowana Robin. - Czy myślisz...'

- Myślę, że tamtej nocy zamierzał zabić mnie - wyjaśnił Jared. - tylko jeden powód przychodzi mi do głowy.

- Proszę tędy - powiedział strażnik, otwierając drzwi do pokoju. - Policja już tu była. Nie wiem, czego jeszcze szukacie, bo tamci wszystko dokładnie przejrzel. Szuflady, szafę.

- Dziękuję - odparł Jared, omiatając czujnym wzrokiem pokój. Nie miał pojęcia, że policja była już tutaj, ale Powinien się tego domyślić. To było śledztwo w sprawie Morderstwa i trzeba było przestrzegać procedur.

- Muszę zostać. Taki jest przepis. Proszę się nie obrażać.

-

Był tam, otoczony przez grupę słuchaczy. Gestykulował energicznie, a twarz miał rozpromienioną. Stał na progu

swoich wszystkich marzeń. To był szczytowy moment jego życia.

Przecież Edwards, zanim umarł, powiedział jeszcze coś. Że James McCord nigdy nie będzie prezydentem. Wszystko pasowało. Wszystkie kawałki, które Edwards porzrzucał w ich życiu, zaczynały tworzyć jeden obraz.

Jared chwycił McCorda za łokieć. Senator odwrócił się i położył mu rękę na plecach. Był wyraźnie zadowolony, że go widzi.

- Zdecydowaliście się w końcu dołączyć waszą zapowiedź do mojej? - spytał, przekrzykując hałas. Ciągle się uśmiechał.

- Z kim pan rozmawiał przez telefon komórkowy tamtego wieczora?! - odkrzyknął Jared. - Wtedy, gdy wracaliśmy do hotelu. Kiedy wskutek podstępu Robin znalazła się razem ze mną w limuzynie.

Czy to jego głos, czy wyraz twarzy sprawił, że uśmiech znikł z twarzy McCorda.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Czy to był Edwards? To jemu pan powiedział, że będziemy tam za kilka minut?

McCord przytaknął.

- I dlatego Edwards posłał Robin na dół?

McCord przytaknął ponownie. Jego oczy patrzyły czujnie.

- Edwards wiedział, że siedzę w samochodzie?

- Na pewno. Zaplanowaliśmy to. Chciałem, żebyście porozmawiali ze sobą. Przed wyjazdem na spotka-

-

Nie ma czasu na sprowadzenie psów. Może robił z siebie idiotę, przypuszczając, że gdzieś w hotelu jest bomba. Nic nie wskazywało, że taki był plan Edwardsa. Nic, poza dwiema poszlakami: tym, co Emory powiedział tuż przed śmiercią, i kserokopią anonimu, otrzymanego przez McCorda.

Co dla ciebie oznacza sądny dzień? Może wysadzenie tego hotelu w powietrze, by jego resztki spadły na zgromadzony tłum?

Robię z siebie idiotę, pomyślał znowu. Wplątał się w coś, z czym nie miał nic wspólnego. To, że Hal Edwards próbował zabić go tamtego wieczora, świadczyło tylko o jego szaleństwie. Prawie tak samo jak podłożenie bomby w hotelu i powiadomienie go o tym.

„Nie... Robin". To musiało coś znaczyć. Jared wrócił do pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie przeoczył. Strażnik nadal siedział na brzegu łóżka, przysłuchując się McCordowi. Senator musi już kończyć albo przerwą nadawać jego wystąpienie i przerzucą kamery na Times Square. I na milionowy tłum. Nie mógł sobie przypomnieć, kto...

Spojrzał na drzwi przechodnie. Nie miał pojęcia, kto zajmował sąsiedni pokój. Może Farley? Byłoby to wygodne. Mogli pracować tutaj. Oczywiście, większość pracy wykonywali w apartamencie McCorda, ale jednak...

- Czy możesz to otworzyć? - spytał strażnika.

- Tak, być może będę musiał zrobić to od drugiej strony, jeśli jest zamknięte na zasuwkę. - Włożył klucz do zamka i drzwi otwarły się. - Musiał wynająć dwa

pokoje - stwierdził, siadając z powrotem na łóżku.

-

Jared potrząsnął głową. Wciąż przyglądał się pokojowi. Skoro policjanci otwierali już wszystkie szuflady i drzwi...

Zrobił kilka kroków i położył się na podłodze obok łóżka. Podniósł krawędź prześcieradła. Nic tam nie znalazł.

Ostrożnie zbadał spodnią stronę sprężynowego materaca, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, bym włączył telewizję? - spytał strażnik. - Chciałbym zobaczyć, jak spada kula.

Jared, wstając, spojrział na zegarek, ale nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć strażnikowi. Podeszedł do wielkiego okna i przykładając głowę do ściany, zajrzał za draperie, uważając, by nie dotknąć materiału. Nic.

Strażnik najwidoczniej uznał brak odpowiedzi za zgodę, ponieważ telewizor był włączony. Gdy Jared usłyszał znajomy głos, spojrział na ekran. Przemówienie McCorda. Senator nie może narzekać na brak zainteresowania mediów. Trzeba przyznać, że powiązanie kandydatury z nadejściem nowego tysiąclecia było pociągnięciem genialnym. Nawet jeśli wymyślił to szaleniec.

- Czy myśli pan, że on to zrobił? - spytał strażnik. Siedział na łóżku z oczami utkwionymi w ekranie. - To znaczy, czy zabił tych facetów.

- Nie - powiedział Jared, przechodząc do łazienki. Zasłona prysznicowa była odsunięta, w środku nie było nic poza kostką hotelowego mydła. Ostrożnie wsunął dłoń

pomiędzy każdy z czystych ręczników wiszących na wieszaku

Znowu spojrzał na zegarek. Pięć minut do północy.

miał wątpliwości, że był to ładunek nuklearny. Bez wątpienia wystarczająco silny, by zamienić sporą część Manhattanu w parę.

- To już prawie północ - powiedziała Robin.

Spojrzał w jej oczy, wyrwany z paraliżującego strachu dźwiękiem jej głosu. Nie kazał jej, by została na dole. Zakładał, że to rozumie. Sądny dzień. Właśnie mu się przyglądał.

W pierwszym odruchu chciał jej powiedzieć, by wyszła, ale nie miało to sensu. Nigdzie nie można było uciec ani ukryć się. To był sądny dzień, bezwstydnie leżący pomiędzy nimi.

- Co to jest? - zapytała.

Poznał po jej głosie, że się domyśliła, choć nie mogła uwierzyć, że to prawda. Podobnie jak on.

- Zrób coś - wyszeptała.

Pomyślał o tych wszystkich filmach, w których otwiera się takie rzeczy śrubokrętem i łyżką, po czym przecina się druty i przekręca wyłączniki. Tutaj jednak nie było nic do przekręcania ani przecinania. Nie mógł rozbroić tej bomby i wiedział o tym od początku. Nawet gdyby wiedział, jak się do tego zabrać, nie miał odpowiednich narzędzi.

- Jared - powiedziała Robin głosem bliskim hysterii.

Potrząsnął głową. Jej oczy były wypełnione strachem.

- Zrób coś - powtórzyła błagalnie.



Dotknął więc zegara. Niecałe trzydzieści sekund. Nie ma znaczenia, co zrobi. Albo nie zrobi. Ale ponieważ Prosiła go, sięgnął do kieszeni i wyjął dziesięciocen-tówkę. Drżącymi palcami włożył ją w szczelinę w główce jednej ze śrub i zaczął odkręcać.

- Dziękuję - powiedział Jared, wchodząc do otwartego pokoju.

Zastał coś, na co, pomimo swoich podejrzeń, nie był przygotowany.

Na łóżku leżała ogromna czarna torba.

Jared poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. Wziął kilka głębokich oddechów, zmuszając się do spokoju. Może to czyjaś brudna bielizna do prania? Jednak wiedział. Czuł ten chłodny palec przesuwający się po plecach.

Obszedł łóżko, przyglądając się torbie ze wszystkich stron. Z góry był zamek błyskawiczny, biegnący przez całą jej długość.

Wydawało mu się, że w przyległym pokoju strażnik z kimś rozmawia. Trudno mieć nadzieję, by był to ktoś z ich oddziału. Spojrzał znowu na zegarek. Dwie minuty do północy. Albo on, albo nikt. I było już zbyt późno na zachowanie ostrożności.

Chwycił suwak zamka i pociągnął go. Poszedł jak po maśle. Torba rozchyliła się, nieco zdradzając swoją zawartość. Zdał sobie sprawę, że się pomylił tylko w jednym: nie docenił, jak bardzo Edwards chciał się zemścić.

Jared zsunął płótno z bomby. Wiedział już, że nie musi się martwić o przewody detonatora lub przełącznik wysokości. Jedynym zmartwieniem były cyferki na zielonym zegarze, które milcząco i bezlitośnie odmierzały upływające sekundy.

Bomba była produkcji radzieckiej. Pamiętał to ze szkoleń w wojsku. Mała i bardzo stara, lecz Jared nie

Śruba była odkręcona. Wsunął palce pod płytę przykrywającą zegar.

- Siedem.

I Robin. Powinni razem się zestarzeć.

- Sześć.

Nie tak miało być. Nic jeszcze nie mieli. Ani dziecka. Ani życia. Każdej cennej godziny. Każdej minuty, sekundy, którą trzeba się radować. Którą należy chronić.

- Pięć.

Podniósł płytkę. Żadnych drutów, przycisków. Nie miał tu nic do roboty.

- Cztery.

Zamknął oczy, powstrzymując łzy.

- Trzy.

Podniósł głowę i spojrzał na Robin. Jej oczy również lśniły łzami.

- Dwa.

Każda cenna godzina. Minuta. Sekunda. Powinni spędzić je razem, by kochać się. Nic innego nie miało znaczenia i nie miał pojęcia, dlaczego tak długo tego nie rozumiał.

- Jeden.

- Kocham cię - powiedział.

Wiwaty tłumy na ulicy dochodziły poprzez głośniki telewizora z sąsiedniego pokoju. Jared potrzebował kilku sekund, by zorientować się, o co chodzi, ponieważ nie takich wybuchów się spodziewał.

Spojrzał na zegar. Zielone cyfry znikły. W tle słychać było znajomą muzykę.

- Dlaczego to nie wybuchło? - spytała Robin.

Usłyszał telewizor w sąsiednim pokoju. Strażnik nie miał pojęcia, co tu się dzieje. Zbyt przejęty był obserwowaniem opadającej kuli na Times Square. Jared zastanawiał się, co ludzie na całym świecie zobaczą w telewizji za kilka sekund.

Zaczął odkręcać drugą śrubę, teraz robił to machinalnie. Przynajmniej nie trzęsły mu się już ręce. Robin podeszła bliżej do łóżka, poczuł subtelny i prowokujący zapach jej perfum. Czuł go ostatniej nocy, trzymając ją w ramionach. Był uwięziony w pasemkach jej włosów i na rozgrzanej skórze szyi. Między piersiami.

Wszystkie te wspomnienia powracały, gdy jednocześnie odkręcał śruby. Każdy obraz był wyraźny. Żywy. Cenny.

Nieskończenie cenny, pomyślał, zaczynając odkręcać przedostatnią śrubę. Dlaczego nie szanuje się każdej chwili życia, dopóki nie zostanie ono zagrożone? Dopóki nie zacznie uciekać, jak te sekundy na zegarze.

Nagle usłyszał, jak tłum pokazywany w telewizji zaczął odliczać. Milion głosów.

- Dziesięć.

Właśnie włożył monetę w szczelinę ostatniej śruby i zaczął ją obracać.

- Dziewięć.

Chłopiec czy dziewczynka, zastanawiał się Jared. Wszystkie te lata, które mogli spędzić razem, pójdą na marne, bo tak zechciał szaleniec. A także zabawy i zakończenia roku szkolnego. Wszystko to przestawało zależeć od niego.

- Osiem.

Robin zaśmiała się z cudowną ulgą i zapierającą dech radością.

- Pluskwa milenijna? To cudownie!

- Kiedy zegar doszedł do daty , wszystko się zatrzymało.

Wciągnął głęboko powietrze, napawając się zapachem jej perfum. Cieszył się, że krew płynie mu w żyłach. Napawał się życiem.

Zrobił to, co do niego należało. Swoją porcję bomb już rozbroił. Teraz czas na kogoś innego. Może uczyć. Pracować w laboratorium. Znajdować ślady, łapać drani i nie pozwalać im krzywdzić innych ludzi, ale już nigdy nie będzie rozbrajać bomb.

- Miałaś rację - powiedział. - Od tej pory ktoś inny będzie musiał to robić. Patrzysz na moją ostatnią bombę. Dwa razy byłem zbyt blisko śmierci. Trzecim razem mogę nie mieć tyle szczęścia.

Czekał, co powie.

- W takim razie... to dziecko musi mieć nazwisko.

Ja ciebie też potrzebuję. Zawsze. Nie mogłam tylko...

- Robin, nie mam żadnych wątpliwości. Nie tym razem.

- Stryj Jim wreszcie odetchnie. - Spojrzała na bombę i znów się zaśmiała. - Wreszcie przywrócisz mi kobiecą cześć. Muszę ci powiedzieć, że nikogo jeszcze nie zaprowadzono do ołtarza pod groźbą takiej broni. Nawet w Teksasie.

-

Jared próbował domyślić się, o co chodzi. Zegar się wyłączył. Bomba była uzbrojona, zegar był nastawiony, ale z jakiegoś powodu...

I nagle zrozumiał, co się stało. Gdy wszyscy bali się, że rosyjskie rakiety zaczną przypadkowo startować z powodu problemu z datą roku, pewien ekspert przewidział, że może stać się właśnie to. Dokładnie to, co zdarzyło się tutaj. Powiedział, że bardziej prawdopodobne jest, że te rakiety właśnie nie wystartują. Że pluskwa mikroprocesora wyłączy wszystko, kiedy zegar dotrze do roku dwutysięcznego.

„Przeklęta pluskwa milenijna. Gdyby nas zaatakowała, czyli gdyby Avamore miał rację, byłby to największy żart z naszej cywilizacji”, powiedział kiedyś Edwards.

I właśnie ten żart, makabryczny i nieładnie dziwaczny, okazał się być żartem z samego Edwardsa.

- Pluskwa milenijna - wyjaśnił Jared.

Po policzkach spływały jej łzy, twarz miała białą jak ściana, ale żyła. Właśnie zaczęło to do niego docierać. Oboje nadal żyli.

Druga szansa. Te słowa rozbrzmiewały mu w głowie. Wiedział, jak blisko śmierci znalazł się tamtego dnia w budynku rządowym. Był jednak zbyt uparty, by zrezygnować. Zbyt dumny.

Otrzymał drugą szansę na życie. Na wszystko to, czym mówili mu Robin i McCord. Mecze piłkarskie przyjęcia urodzinowe. Szkolne uroczystości. Wspólne starzenie się.

Druga szansa. Nie zamierzał jej zmarnować.

Jared stał oparty o ścianę, przyglądając się, jak reszta się bawi. James McCord został oficjalnym kandydatem swojej partii. I wszystko wskazywało, że - zgodnie z przepowiednią Levi - zostanie w styczniu następnym prezydentem.

Jej stryj miał za co być wdzięczny Jaredowi, pomyślała Robin. Wszyscy mu wiele zawdzięczali. Szczególnie ona. Spojrzała na syna, który nadal spoczywał w ramionach dziadka. Skoro sam nazwał go wnukiem, co było bardzo miłe, z tego wniosek, że mianował się dziadkiem. I niech już tak zostanie, pomyślała. Tak jak ona została jego córką, a on jej ojcem.

Albo Clint. Formalnie nie był nawet jego synem, a mimo to powierzył Altamirę jego rękom, ufając, że zatroszczy się o dziedzictwo, które pewnego dnia będzie należeć do niego. Tak jak powinno być.

Levi i Seth żyli szczęśliwie w Montanie. Moja kuzynka dosłownie promienieje szczęściem, pomyślała Robin.

Wznosząc toast, patrzyli sobie w oczy, zapominając o wszystkich. Seth pił szampana, Levi wodę mineralną.

Oczywiście promienna twarz Levi miała coś wspólnego z tajemnicą, jaką powierzyła jej wczoraj wieczorem, kiedy pozwoliły sobie na trochę dziewczęcych plotek, do czego nie miały już dawno okazji.

Niedługo stryj Jim będzie obchodził narodziny drugiego wnuka. Levi jeszcze mu o tym nie powiedziała, ale obiecała to zrobić wkrótce i wtedy będą się bawić na nowo. Jeszcze przed powrotem Levi i Seta do Monta-nY, a Robin i Jareda do Waszyngtonu.

## EPILOG

- Za następnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, mojego ojca - powiedziała Levi.

- Tutaj, tutaj! - zawołała Darlene Richards, wznosząc kieliszek ku McCordowi. W przeciwieństwie do Levi miała w nim szampana.

- I za mojego pierwszego wnuka - wznosił toast McCord.

Trzymał na prawej ręce Roberta Jamesa McCorda Donovana. Robił to bardzo wprawnie.

- Ale mały Cord nie może pić bąbelków - zaprote stował Clint Richards, patrząc na swego ojca. Uśmiechnął się lekko. - Prawo zabrania mu pić alkohol.

- Nie jesteś już szeryfem - powiedział senator i od wzajemnił uśmiech. - Nie sądzę też, żeby miał ochotę na szampana.

McCord pochylił się i pocałował małą, okrągłą główkę otoczoną puchem delikatnych, ciemnych włosów. Na razie Cord przypominał wyłącznie Donovanów, Robin jednak wiedziała, że krążyło w nim mnóstwo genów McCordów, które ujawnią się w stosownym czasie.

Odwaga. Determinacja. Poczucie obowiązku. Przyniesie jej to równie wielką radość jak to, że dziecko tak bardzo przypomina swego ojca.

Robin, przynajmniej na razie, pracowała w biurze stryja, a Jared w laboratorium pirotechnicznym FBI. Początkowo niepokoiła się, że będzie żałował swojej decyzji, ale Jared był szczęśliwy. Wiedziała o tym. A co ważniejsze, zrozumiał, jak wielkie znaczenie miała jego praca. Była równie ważna dla ratowania ludzkiego życia, jak poprzednia.

I był bezpieczny. Niespodziewanie w jej oczach pojawiły się łzy. Nawet gdyby miała żyć tysiąc lat, nie zapomni tej chwili, gdy oderwał wzrok od bomby, by spojrzeć w jej oczy. Modliła się, by nigdy więcej nic takiego nie zobaczyła.

Oby tak było zawsze, pomyślała, widząc z jaką miłością Jared patrzy na swego syna. Wychowa go na prawdziwego mężczyznę. Jakim był jej ojciec, jaki jest stryj Jim. I Jared Donovan.

Odwrócił się, spotykając jej wzrok. Bezgłośnie wypowiedział ustami te same słowa, co wtedy. Te same, które mówił każdego dnia. Słowa, które będzie mówił, miała nadzieję, każdego dnia przez następne pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt lat.



- Kocham cię - powiedział bezdźwięcznie Jared.  
Wreszcie zrozumiała, jak bardzo.